ROBERT BĄKIEWICZ KONTRA ROBERT WINNICKI

Kulisy rozłamu wśród organizatorów Marszu Niepodległości

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 43/499 24–30 PAŹDZIERNIKA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Jak „Newsweek" i Tusk wytropili w PiS agenturę Putina

WIELCY OJCOWIE WIELKICH TENISISTEK

Rachunek za wstrzymanie wypłaty unijnych funduszy – ile stracą Polacy?

CZY POLSKA MOŻE BYĆ POTĘGĄ?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 54 000 egzemplarzy

Debata Ziemkiewicza i Warzechy na temat skutków wojny na Ukrainie

eprasa: 1 d5f9371c43

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Benito Mussolini wobec Żydów!

Jan Jacek Bruski – **Pakt Piłsudski-Petlura**
Grzegorz Janiszewski – **Polacy w Kijowie**
Piotr Zychowicz – **Zdrada w Rydze**
Sławomir Koper – **Rubinstein i kobiety**
Jakub Ostromęcki – **Madziaryzacja Słowacji**
Keith McCloskey – **Horror na Przełęczy Diatłowa**
Mikołaj Iwanow – **NKWD kontra AK**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Historia do negocjacji**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d5f9371c43

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Szaleńcza szarża Donalda Tuska

Jak Pan Bóg chce kogo ukarać, to mu najpierw rozum odbiera – celowo wybrałem ten cytat z Fiodora Dostojewskiego, rosyjskiego, jak by nie było, pisarza, bo doskonale opisuje on postępowanie większości polskiej opozycji, znajdującej się w stanie kolejnego amoku.

Naprawdę nie potrafię zrozumieć, kto wpadł na pomysł, żeby zaatakować PiS i Jarosława Kaczyńskiego za to, że są, jak można domniemywać, ekspozyturą Moskwy w Warszawie. Tytuł książki Dostojewskiego, „Idiota", idealnie zdaje się opisywać autora tego projektu. Różne bowiem rzeczy można o obecnej władzy powiedzieć, ale z pewnością nie to, że brakuje jej animuszu proukraińskiego i że prowadzi jakkolwiek rozumianą działalność prorosyjską. Przeciwnie, na co zwracałem uwagę, można mieć często wątpliwości, czy rząd nie posuwa się za daleko, czy nie ryzykuje zbyt dużo, czy przyjaźń z Ukrainą nie staje się nadmiernym obciążeniem, czy, najkrócej, Polsce i Polakom naprawdę opłaca się występowanie w roli prymusa sankcji i najgłośniejszego zwolennika wojny w obronie Kijowa. Przez głowę mi jednak nie przeszło, że opozycja wpadnie na całkiem inną ideę: by krytykować PiS za to, że robi za mało, a nawet, co pokazuje próba odgrzania historii z rzekomym udziałem służb rosyjskich w zmianie rządu w 2015 r., że będzie to głównym elementem opozycyjnej propagandy. Tymczasem tak dokładnie się stało.

Zaczęło się od „materiału śledczego" w „Newsweeku", a skończyło się wezwaniami Donalda Tuska do powołania specjalnej komisji śledczej, która to miałaby udowodnić, że to rosyjskie służby stały za aferą podsłuchową i że to Rosjanie zainstalowali w Polsce, pośrednio przynajmniej, rząd PiS. To prawda, że w wielu polskich mediach Władimir Putin przedstawiany jest jako kompletny szaleniec, który nie kontroluje swoich poczynań i działa wyłącznie pod wpływem bliżej nieokreślonych impulsów. Ale aż tak? Miałby Putin doprowadzić do obalenia rządów Platformy i wprowadzić w to miejsce antyrosyjski PiS? W jakim celu? Żeby powstał przekop Mierzei Wiślanej? Żeby utracić odbiorców surowców?

Cóż, przedstawianie rosyjskiego dyktatora jako wariata, który od lat (a ściślej: co najmniej od 2015 r.) działa na rzecz wzmacniania wrogich Moskwie sił politycznych, jest rzeczą co najmniej osobliwą. Byłby rzeczywiście Putin samobójcą, który pod przykrywką budowy imperium realizuje plan zniszczenia Rosji? Najwyraźniej politycy opozycji uznali, że przy pomocy tej opowieści uda się im wygrać wybory i przekonać większość Polaków, że żyją w całkowitym matriksie lub, co brzmi lepiej, że są ofiarami wielopiętrowej maskirowki. Zadanie, szczerze mówiąc, karkołomne.

Żeby opozycja mogła tego typu operację propagandową przeprowadzić, musiałaby kontrolować wszystkie media i cały przekaz. W innym przypadku ta opowieść o Jarosławie Kaczyńskim jako agencie Rosji trafia do przekonania jedynie najbardziej sfrustrowanym i zgorzkniałym. Tacy ludzie łykną wszystko, bo po prostu chronicznie nienawidzą PiS. Nie mogą przyjąć, że w 2015 r., a także później partia Jarosława Kaczyńskiego demokratycznie wygrała wybory. Cierpią na swego rodzaju kompleks wyższości, czego skutkiem jest przeświadczenie, że PiS po prostu demokratycznie wygrać nie mógł. A skoro nie mógł, to nie wygrał. A skoro nie wygrał, a wygrał, to musiały za tym stać mroczne siły. A skoro w Polsce obecnie wszystko, co mroczne, łączy się z Rosją, to Moskwa musiała doprowadzić do zwycięstwa PiS. A skoro musiała, to doprowadziła.

Ciekawe, że choroba ta najwyraźniej zaczęła się znacznie wcześniej. Nie kto inny jak Donald Tusk atakował w marcu polski rząd za to, że sprowadza z Rosji „krwawy węgiel", co miało dowodzić polityki promoskiewskiej, a co skończyło się błędną decyzją rządu, by cztery miesiące przed innymi państwami Unii wprowadzić na ten surowiec embargo. To Platforma próbowała w Senacie wprowadzić natychmiastowe embargo na gaz LPG, co, gdyby nie rozsądek rządu, doprowadziłoby do katastrofy. To posłowie Platformy postanowili przebić PiS w radykalizmie i do uchwały sejmowej, dotyczącej reparacji niemieckiej, dodać podobne żądanie w stosunku do Rosji. Wreszcie to trzech posłów PO odwiedziło MSZ, by, jak powiedział jeden z nich, Bartłomiej Sienkiewicz, „sprawdzić, czy rząd PiS oficjalnie i zgodnie z prawem międzynarodowym prawnie przeciwstawił się zaborowi części Ukrainy przez Rosję czy tylko udaje protest". Teraz Donald Tusk domaga się powołania komisji śledczej, jakby zapomniał, że wcześniej nie chciała jej sama PO. Podobnie za dobrą monetę przyjmuje wypowiedzi świadków, którzy to właśnie jego i jego politycznych współpracowników najmocniej obciążają. Po prostu nie mieści się w głowie, że można działać tak głupio. Ale skoro Pan Bóg postanowił ich ukarać… ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

TEMAT TYGODNIA

12 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA SKAZANA NA WIELKOŚĆ
Nowa książka Rafała A. Ziemkiewicza

15 ŁUKASZ WARZECHA
ZNIKAJĄCY PRAGMATYZM

STRAŻNIK PAMIĘCI

18 ZOFIA MAGDZIAK
DUMNI Z POLSKOŚCI
10-lecie nagrody tygodnika „Do Rzeczy"

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
UKRAIŃCY W POLSCE. PRÓBA PIERWSZEGO BILANSU
Nie ma się czego bać

26 KAMILA BARANOWSKA
RADYKAŁOWIE OPOZYCJI
Jak „Newsweek" i Tusk wytropili w PiS agenturę Putina

28 JAKUB WOZINSKI
UNIA DWÓCH PRĘDKOŚCI PŁATNICZYCH

30 ZUZANNA DĄBROWSKA
PODZIELENI NARODOWCY

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
ILUZJE ATOMOWE
Fantaści o zagładzie nuklearnej

35 PIOTR SEMKA
WĘGRZY W PARYŻU, CZYLI SZALONE LATA 20.

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

43 WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI
Zeszyt 9: Polskie odkrycia archeologiczne na świecie

OPINIE

66 TOMASZ ROWIŃSKI
SĘDZIOWSKA REBELIA
Bunt w Sądzie Najwyższym

68 ROZMOWA Z PROF. MACIEJEM SZYMANOWSKIM
WOLNI Z WOLNYMI I RÓWNI Z RÓWNYMI

HISTORIA

70 SEBASTIAN LIGARSKI
POLSKI DZIKI ZACHÓD
Rabowane ziemie i osadnicy

ŚWIAT

74 ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM POLITEM
WOJNA ATOMOWA WYBUCHNIE POZA EUROPĄ
Azja jest kontynentem najbardziej nieprzewidywalnym

78 PIOTR WŁOCZYK
TARAN BOLSONARO

80 MACIEJ PIECZYŃSKI
NIEPOROZUMIENIE MIŃSKIE

EKONOMIA

84 ROZMOWA Z ARTUREM DZIAMBOREM
POLSKA PRZED ZAWAŁEM
Rośnie ryzyko świata bez klasy średniej

SPORT

90 ŁUKASZ ZBORALSKI
OJCOWIE SUKCESU
Gdy tata pomaga być mistrzem

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (72), PRZYBYLSKI (82), GABRYEL, WARZECHA (86), KOMUDA (93), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl d5f9371c43

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
OKŁADKA: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Demontaż szkolnej katechezy", Tomasz Rowiński, „DRz" 38/2022

Szanowny Panie Redaktorze,
na marginesie artykułu „Demontaż szkolnej katechezy" („DRz" Nr 38/494) chciałbym wyrazić pogląd, że każdemu żyjącemu w chrześcijańskiej cywilizacji niezbędny jest pewien zasób wiedzy o naszej religii, otwierający horyzonty sztuki plastycznej, muzyki i wielkiej literatury. Córka moich niewierzących przyjaciół, która nie uczyła się religii, kiedy zaczęła studiować historię sztuki, natrafiała na każdym kroku na rzeczy całkowicie dla niej nowe i niezrozumiałe; nie była w stanie pojąć kontekstu sytuacji przedstawionej jej przez artystę.

Niestety zauważyłem, że nauczanie religii w szkołach moich dzieci i wnuków sprowadza się do tego – jak pisze autor wspomnianego artykułu – że Kościół jest „fajny" i do rysowania serduszek. Pozwolę sobie przypomnieć, że w przedwojennym programie szkolnym religia była ważnym przedmiotem. Po przygotowaniu do pierwszej komunii św. przerabiało się Stary i Nowy Testament jak barwną opowieść literacką. Podręcznik zawierał wytłuszczenia słów ważnych w rodzaju: „Macie oczy, a nie widzicie, macie uszy, a nie słyszycie", które trzeba było wykuć na pamięć. W następnych latach był czas na liturgię, dla chłopców na ministranturę, omówienie znaczenia szat, gestów i przebiegu uroczystości w cudownej oprawie liturgii przedsoborowej, a parę lat później historii Kościoła. Liceum to był czas na dogmatykę i etykę. Piątka z religii na świadectwie była czymś obowiązkowym, czwórka zwracała uwagę, niższych stopni nie było. Na religii byli wszyscy katolicy, protestanci wychodzili wtedy z klasy. Z takim ładunkiem wiedzy młodzi ludzie kończyli życie szkolne. Różnie, rzecz jasna, z niej korzystali. Może warto pomyśleć o powrocie do sprawdzonych dawnych wzorów?

Z poważaniem
Marian Hanasz

eprasa.pl d5f9371c43

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czarnek krzepi

O tej sprawie nie można było przeczytać w żadnym polskim medium. Dopiero z edycji portalu Deutsche Welle przeznaczonej dla polskiego odbiorcy dowiedziałem się, że minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek odbył w Berlinie rozmowy o zasadach finansowania języka polskiego i niemieckiego w naszych krajach.

„Polska i Niemcy bliżej kompromisu" – tak swój artykuł zatytułowała redakcja DW. Przemysław Czarnek w wywiadzie dla niemieckiego portalu mówi: „Jestem zadowolony z tych rozmów, zwłaszcza z koordynatorem rządu z Niemiec ds. współpracy z Polską Dietmarem Nietanem, który zadeklarował, że trwają intensywne prace nad tym, aby w końcu powstał w Niemczech odpowiedni fundusz (finansujący na szczeblu federalnym lekcje języka polskiego jako języka ojczystego). Jest to zresztą niemieckim zobowiązaniem wynikającym z traktatu o dobrym sąsiedztwie z 1991 r. [...] Gwarantuję również, że jeśli rzeczywiście Niemcy zaczną wykonywać swoje zobowiązania międzynarodowe i finansować na poziomie federalnym nauczanie języka polskiego jako ojczystego, to my wrócimy do pełnego finansowania języka niemieckiego jako ojczystego dla mniejszości niemieckiej".

Dziennikarz DW w odpowiedzi wskazał, że RFN bardzo krytycznie oceniła polską decyzję o zmniejszeniu dotacji dla mniejszości niemieckich. Zapytał: „Czy rozumie pan niezadowolenie Berlina?". Odpowiedź Czarnka brzmiała: „Jak strona, która od 30 lat nie wywiązuje się ze swoich zobowiązań międzynarodowych, mając 2 mln Polaków w Republice Federalnej Niemiec, może krytykować Polskę, która łoży w dalszym ciągu 120 mln zł na naukę języka niemieckiego jako ojczystego w Polsce? [...] Zapytajmy, czy gdybyśmy tego ruchu nie zrobili i nie zmniejszyli środków na nauczanie języka niemieckiego jako ojczystego dla mniejszości niemieckiej w Polsce, to czy strona niemiecka w ogóle dzisiaj podnosiłaby ten temat".

Warto zwrócić uwagę na przebieg wypadków. Niemcy od wielu lat zbywali kwestie federalnego funduszu na potrzeby nauki języka polskiego jako ojczystego w kraju naszych sąsiadów dla dzieci mających polskie korzenie, twierdząc, że to jest kompetencja landów. A każdy land prowadzi swoją niezależną politykę. Jednak w stosunku do zobowiązań państwa polskiego wobec nauki języka niemieckiego jako ojczystego, głównie na terenie województwa opolskiego i śląskiego, wymagano od państwa polskiego bardzo poważnego podchodzenia do tego obowiązku. Gdy minister Czarnek zagrał va banque i obciął o połowę pieniądze na nauczanie mniejszości niemieckich w Polsce, pierwszą reakcją Berlina było święte oburzenie. Zaprotestował związek wypędzonych, w bardzo dramatycznym tonie wypowiadało się wielu niemieckich polityków i wreszcie – doszło nawet do potępienia decyzji polskich władz przez Radę Europy. A jednak okazało się, że po pewnym czasie decyzja ministra Czarnka zdaje się wywoływać zmianę w polityce Berlina. I jedynym, co może zdumiewać, jest to, że o skuteczności szefa MEN musimy się dowiadywać z portalu reprezentującego stanowisko niemieckiego rządu. No cóż. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. ©℗

FOT. ROB PINNEY/GETTY IMAGES

WIELKA BRYTANIA POGRĄŻONA W CHAOSIE

Po zaledwie 44 dniach sprawowania władzy szefowa rządu w Londynie Liz Truss ogłosiła swoją rezygnację. – W obecnej sytuacji nie jestem w stanie zrealizować mandatu, który otrzymałam od Partii Konserwatywnej – oznajmiła, zapisując się na kartach historii jako najkrócej urzędujący premier Wielkiej Brytanii. Nagły koniec rządów Truss sprawił, że kraj znów pogrążył się w chaosie. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

dwaj panowie g

Podsumujmy miniony tydzień – pijacki rajd Jurka Stuhra, donosy o seksualnej napaści Lisa i zeznania na temat sześciuset tysięcy ojro dla Tuska w reklamówce. Walka klas zaostrza się w ramach postępu rewolucji. Chcieliśmy więc poinformować, że słyszeliśmy o nadchodzących zaostrzeniach.

Otóż plotki, jakoby sądy robiły na złość PiS, są tylko częściowo prawdziwe. Jest kilka sądów, które mimo woli mu sprzyjają. A nawet szykują grunt pod efektowną kampanię wyborczą. Mimo woli, bo lęk przed odpowiedzialnością za tzw. opieszałość postępowania sprawia, że będą musiały wreszcie wydać wyroki w sprawach takich tuzów jak autor doktryny Neumanna, czyli Neumann, Krzysztof Kwiatkowski czy Stanisław Gawłowski. Pierwszy z odłożonych wyroków już zapadł: skazano Ligię K. Wyjątkowo łagodnie, w zawiasach. A zarzucano jej nie kradzież batonika, za co w III RP idzie się siedzieć, lecz przywłaszczenie ćwierć bańki.

Na wyrok czeka też sędzia Łączewski. Ten sam, który chciał nawiązać kontakt z człowiekiem, o którym myślał, że jest Tomkiem Lisem, i pomóc mu w zwalczaniu opozycji. Potem nałgał, że to nie on i że dokonano mu włamu na konto. Wyleciał z zawodu i teraz żebrze w Internecie o zlecenia dla prawnika. Bo ani radcowie, ani adwokaci nie chcą – czy też raczej nie mogą – do swoich gildii przyjąć człowieka z prokuratorskimi zarzutami.

Jeśli zaś chodzi o Tomka Lisa, to wyroku nie należy się tak szybko spodziewać, ale jak mawiają śledczy, postępowanie jest rozwojowe. Co zdumiewające, prokuratorzy nie mogą narzekać na brak współpracy ze strony jego byłego koncernu. Zdziwienie będzie jednak mniejsze, jeśli zdradzimy, że po prostu nikt w RASP nie chce siedzieć za współudział i ukrywanie przestępstwa. Przy okazji: Tomku, linia obrony „jestem niewinny, bo nie zostałem nawet przesłuchany" jest daremna. Podejrzanych słucha się dopiero, gdy się im stawia zarzuty. A to dzieje się dopiero na samym końcu śledztwa.

Współczujemy więc Jackowi Żakowskiemu, który tymczasem się wzruszył oraz postanowił rozgrzeszyć Tomka i przytulać go ponownie w audycjach TOK FM. Taki stary wyjadacz, z noblistami robił wywiady, a nic nie kuma. Cóż, nie darmo Bronek Wildstein mówi o Żakowskim od lat „Jaś Fasola polskiego dziennikarstwa".

W sprawie Jerzego Stuhra – bronimy Stuhra! To nie jego wina, że sobie chlapnął i siadł za kółko! Winien jest Wereśniak Piotr. Scenarzysta. To on kazał komisarzowi granemu przez Stuhra w „Kilerze" nazywać się Ryba, a komendzie dał kryptonim Akwarium. Ryba tymczasem, jak wiadomo, lubi pływać. No i tak już zostało.

Bronimy też tych, którzy bronią Stuhra. Gdyż wzbogacają naszą wiedzę o ukrytych mechanizmach rządzących światem. Na przykład Agnieszka Holland skomentowała 0,7 promila Stuhra słowami: „Nie wypił za dużo, we Włoszech by to przeszło". I tak od razu pomyśleliśmy: Czy to aby nie wyjaśnia, dlaczego Roman Giertych zwany Koniem tak bardzo lubi mieszkać we Włoszech?

Skoro już o Eine Totalopposition. Szok. Pierwszy raz w życiu zainspirowała nas Kidawa-Błońska Małgorzata. Wszystko dlatego, że mamy bzika na punkcie historii, więc mocno wstrząsnęła nami jej teza, że Pałac Saski zbudowali ruskie. Teza mniej więcej tak prawdziwa, jak opowieści PeŁo o zbrodniach reżimu PiS. Ale spodobał nam się Kidawowy tok myślenia. O czym za chwilę więcej.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

No więc tak: przyjmijmy za słuszne, że nie należy odbudowywać tego, co zbudowali ruskie. Bo to, co od zaborcy – hańbi. Logiczny wniosek jest taki, że to, co odbudowano, trzeba by wyburzyć. Zauważamy więc, że pałac na placu Bankowym w Warszawie, gdzie urzęduje prezydent stolicy Rafcio Czajkowski, został zbudowany przez ruskich. Zgłaszamy go więc do wyburzenia.

W Gdańsku inna sytuacja. Ratusz, w którym obraduje zdominowana przez PeŁo rada miasta, postawiony został przez szkopów. Czyli dobrze. Nie hańbi. A z punktu widzenia PeŁo – wręcz cudownie. W końcu nie bez powodu poseł Artur Łącki wykrzyczał Kaczyńskiemu, że woli być w partii niemieckiej. Co jest zrozumiałe, bo to w końcu polityk ze Szczecina. A budynek sejmiku województwa, w którym zasiadał, też zbudowali Niemcy.

Z życia elit. Pojawiła się ciekawa plotka na temat Kondzia Szymańskiego, odwołanego niedawno ministra do spraw europejskich. Otóż złe języki twierdzą, że zbierało mu się od dawna za zbyt łagodny stosunek do elit PeŁo. Ze szczególnym uwzględnieniem europosłanki Róży Thun, do której ponoć mówi Różyczko. Nie wierzymy w tę plotkę. Znamy młodość Róży Thun. Wiemy, że jej typ to raczej twardy robociarz Krzysztof Wyszkowski.

Na koniec wreszcie coś poważniejszego. Ważna informacja dla zagapionych: Polską nie rządzi już premier, tylko ciało. W dodatku nie jest to ciało premiera. To znaczy jest, ale tylko w jednej piątej. Tym ciałem jest zespół składający się z premiera, wicepremierów i szefa kancelarii, o którego powołaniu poinformował nowy szef kancelarii, czyli Marek Kuchciński. Skład ciała to zatem jeden Morawiecki, jeden Gliński, jeden Błaszczak, jeden Sasin i jeden Kuchciński. I tak słowo stało się ciałem. Wiecie, czyje słowo. Naczelnika. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

PiS, wszędzie PiS

Obelgi miotane przez wyznawców lewicowo-liberalnej opozycji na „pisowskich funkcjonariuszy medialnych" i „propagandystów" są stałym przejawem frustracji tego środowiska, do tego stopnia, że właściwie przestaliśmy na nie zważać – ot, coś jak poryki pijaków dochodzące spod sklepu całodobowego.

Z tego powodu uchodzi uwadze ogółu charakterystyczna ewolucja, którą pojęcia te przechodzą. Dziś „medialnymi funkcjonariuszami PiS" dla peowskiego hardkoru nie są już pracownicy „Gazety Polskiej" czy mediów państwowych – ale „zdrajcy" z Onetu, TVN, czy nawet „Gazety Wyborczej". Normalny człowiek nie uwierzy, ale te media, zdaniem „obrońców demokracji", po prostu roją się od agentów PiS. W minionym tygodniu np. zdemaskowany został jako – by użyć charakterystycznego języka tego obozu – „pisowskie ścierwo" redaktor Piasecki z TVN. Wystarczyło, że zadał zaproszonej do studia Izabeli Leszczynie kilka pytań, na które zupełnie nie umiała ona odpowiedzieć. Mimo że każdy, kto zetknął się z błyskotliwą inteligencją kandydatki PO na ministra finansów, musi przyznać, że naprawdę nie było to trudne, Piasecki ściągnął na siebie furię. Jak śmiał w „naszej" telewizji dociskać „naszą", zamiast wspólnie z nią jechać po znienawidzonych pisowcach?

Dziennikarze sejmowi coraz częściej opowiadają, że w prywatnych rozmowach politycy opozycji wylewają frustrację, a coraz częściej i agresję, na media antypisu – ich zdaniem nie dość jeszcze antypisowskie – że to przez nie społeczeństwo wciąż popiera „reżim". Zjawisko to wyjaśnił już dawno Tomasz Lis: po prostu TVN, Polsat, nawet duża część RASP (właściwie cały, poza jego tygodnikiem) to jeden wielki spisek, wszyscy oni zostali kupieni przez rząd i realizują jego propagandę. Natychmiast po ujawnieniu tej prawdy RASP Lisa wyrzucił – trzeba jeszcze dowodów? Dobrze, jest dowód: teraz „Newsweek" podpuścił Tuska do uwiarygodnienia niejakiego W., który, jak się okazało, nadawał wprawdzie na PiS, ale na Tuska jeszcze bardziej. Wszystko pasuje, nie trzeba być mecenasem Giertychem, by to dostrzec. Spisek, jeden wielki sPiSek! ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Paszcza Lewiatana

Całe lata temu – w 1994 r. – brałem udział w programie Moniki Olejnik „Lewiatan" na temat rejestracji stowarzyszeń homoseksualnych. Dla większości uczestników debaty (m.in. marszałka Mikołaja Kozakiewicza) pytanie o rejestracje miało charakter czysto retoryczny, ja zwróciłem uwagę, że jest inaczej, skoro nawet Europejska Konwencja Praw Człowieka (co potem powtórzy konstytucja) uznaje moralność publiczną za jedną z granic wolności stowarzyszeń, której ochrona nie narusza istoty samego prawa. Sprawę rejestracji tych stowarzyszeń, przekonywałem, powinna więc rozstrzygać zasada nadrzędna, a nie prywatne emocje. Nie chodzi o to, czy takie stowarzyszenia budzą zachwyt czy niesmak, ale czy ich charakter i postulaty są zgodne z moralnością publiczną. Z zasadami etycznymi, na których opiera się polskie prawo, które chronią dobro wspólne, np. prawo do wychowania dzieci i prawo do przekazu kultury (co przecież stanowi nadrzędny sens powszechnej, publicznej edukacji).

Jeśli natomiast uznamy, że homoseksualizm to styl życia równie dobry jak monogamiczne małżeństwo, to wówczas nie ma żadnego powodu, żeby odmawiać zwolennikom tego nastawienia zmian w ustawodawstwie rodzinnym, adopcji dzieci czy prezentacji tego stylu życia jako propozycji w szkołach.

Przez kolejnych prawie 30 lat norma „moralności publicznej" była praktycznie martwa. Zupełny wyjątek stanowiła decyzja prezydenta (wówczas Warszawy) Lecha Kaczyńskiego, który zakazał demonstracji homoseksualnej, powołując się (z oporami, wolał bowiem „bezpieczeństwo") na moralność publiczną właśnie. Więcej podobnych przypadków nie było. Efekty widzimy.

Jeśli chcemy jeszcze tę tendencją zahamować – to czas poważnie podjąć polską politykę praw człowieka, począwszy od prezentacji na forum międzynarodowym propozycji Konwencji Praw Rodziny. Zwłoka, sabotowanie tej inicjatywy, równa się zgodzie na dalszy rozkład społeczeństwa. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Giorgia on My Mind

Giorgia Meloni godna jest soulowej pieśni. Wszystko, co osiągnęła, zawdzięcza wyłącznie sobie. Wychowywała się w trudnych warunkach, bez ojca. Zbudowała najpopularniejszą dziś partię polityczną w Italii. W bastionie kultury macho będzie pierwszą kobietą na czele rządu.

Gdyby feministki miały ciut więcej rozumu, wciągnęłyby ją na swoje sztandary. Meloni na oczach całej Italii wystrychnęła na dudka Berlusconiego

Gdyby feministki miały ciut więcej rozumu, wciągnęłyby ją na swoje sztandary. Tym bardziej że niewiasta na oczach całej Italii wystrychnęła na dudka i upokorzyła spryciarza nad spryciarzami – Berlusconiego, męskiego szowinistę jak się patrzy.

Zwycięska w wyborach centroprawicowa koalicja, w której Giorgia ma więcej szabel niż partnerzy razem wzięci, utraciłaby większość parlamentarną, gdyby opuściły ją Liga Salviniego albo Forza Italia Berlusconiego. Stwarza to wymarzone warunki do politycznego szantażu, po który postanowił sięgnąć Berlusconi w bitwie o stołki dla swoich.

Na wybory przewodniczącego senatu nie stawili się jego senatorzy, co oznaczało, że kandydat Meloni Ignazio La Russa nie otrzyma większości głosów. Ale cudem je otrzymał! Jak się okazuje, rezolutna kobieta nie uległa szantażowi, przepędziła szantażystę na cztery wiatry i w nocy przed głosowaniem dogadała się z kilkunastoma senatorami opozycji. Słowem: majstersztyk politycznej intrygi.

Po głosowaniu La Russa podszedł do piszącego coś w notatniku wściekłego Berlusconiego, a ten, waląc pięścią w pulpit, potraktował go bardzo grubym słowem. Przy okazji reporterom udało się sfotografować bazgroły w notatniku. Nazajutrz fotka trafiła na pierwsze strony włoskich gazet. Były to inwektywy pod adresem Meloni: „Bezczelna, zarozumiała, arogancka, agresywna".

Giorgia skomentowała: „Zapomniał napisać, że nie ulegam szantażom". Berlusconi, po czterech dniach refleksji, co prawda w garniturze, a nie we włosienicy, na oczach kamer wszystkich włoskich telewizji udał się ukorzyć do siedziby partii Bracia Włosi i Meloni przeprosił.

Kto wie, czy nie doczekaliśmy się włoskiej Margaret Thatcher. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl d5f9371c43

KAMILA BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

FOT. BARTOSZ KRUPA/DD TVN/EAST NEWS

PRAWO I POGARDA

Jeśli idzie o show-biznes, to miniony tydzień należał do aktora Jerzego Stuhra, który w Krakowie, będąc pod wpływem (0,7 promila!), potrącił motocyklistę i, jak donosiły media, próbował uciec z miejsca zdarzenia. Trzeba przyznać, że gdy już było jasne, że sprawa się wysypała, a Internet aż huczy, Stuhr postanowił przyznać się i przeprosić. „Bardzo żałuję i przepraszam, że wczoraj podjąłem tę najgorszą w moim życiu decyzję o prowadzeniu samochodu" – napisał w oświadczeniu aktor. Dodał też, że zapewnił, iż wcale nie zbiegł z miejsca zdarzenia, lecz zatrzymał się „na życzenie jego uczestnika". A jeszcze niedawno w wywiadzie dla Onetu ten sam Jerzy Stuhr narzekał, że u obecnie rządzących „najbardziej mu przeszkadza ta pogarda do prawa [...]". Pewnie teraz będzie przeszkadzać mu ciut mniej. A może wcale?

SŁABA SŁABOŚĆ

Na ratunek nadszarpniętemu wizerunkowi Jerzego Stuhra ruszyły ochoczo inne gwiazdy show-biznesu.

– Jak to mówią, nie wypił za dużo, we Włoszech by to przeszło – wyznała Agnieszka Holland.

– Nie powinien tego robić, to jest bardzo przykre, niepotrzebne. Mam nadzieję, że to będzie nauczka dla niego – stwierdziła Holland. I dodała, że „to słabość, której nikt nie powinien się dopuszczać, a już na pewno nie ktoś z tak dużym autorytetem". Słabe to jest nazywanie tego, co się wydarzyło, słabością.

DZIECI DO PRACY

Aktorkotancerkocelebrytka Agnieszka Kaczorowska, która popularność zawdzięcza roli Bożenki w „Klanie", co jakiś czas przebija się ze swoimi mądrościami. I tak było tym razem. Kaczorowska wystąpiła sobie w podcaście parentingowym, gdzie opowiadała o wychowaniu dzieci i o tym, dlaczego angażuje je we współprace reklamowe na swoim Instagramie. Stwierdziła, że ona też pracowała od najmłodszych lat, więc dlaczego jej córki nie mogą. – Czyli jeszcze trzy lata i Emilka do pracy, niech zarabia na swoje utrzymanie! – zakpił prowadzący, na co niestety Agnieszka nie zwróciła uwagi i z pełną powagą odpowiedziała: – Poniekąd trochę pracuje... One zaczynają zarabiać na swoją przyszłość – stwierdziła, wprawiając prowadzącego rozmowę w lekkie zdumienie. – Ale może to one zbierają na swoje konto, które kiedyś będzie mogło dać im świetny start w dorosłość? – brnęła dalej w ten temat. – Wszystko zależy od punktu widzenia. Ludzie patrzą z klapkami na oczach. Tak, jak jest łatwiej, jak jest prościej, jak jest w zgodzie z modą. A ja zachęcam do tego, żeby zadbać o swoje życie – zaapelowała Agnieszka. Ona zadbała, decydując się na dzieci. Teraz one zarabiają, a ona opowiada o tym w wywiadach. Musimy przyznać, że nie docenialiśmy Bożenki.

KWESTIA SZACUNKU

Piękny popis dał aktor Sebastian Fabijański podczas występu muzycznego w jednej z warszawskich knajp. Całe zdarzenie zostało opisane przez jednego z naocznych świadków. Fabijański apelował do publiczności, by ta wstała na jego widok, a nie siedziała przy stolikach. – Halo, proszę wstać, wszyscy proszę wstać, to jest kwestia szacunku – miał pokrzykiwać. – Halo, to jest kwestia szacunku, proszę wstać, ja przecież stoję. Widzicie, żebym siedział? To wy też powinniście wstać, na tym polega szacunek – powtórzył, gdy na poprzedni apel sala odpowiedziała ciszą. Potem już naprawdę mocno się zdenerwował. – Powinniśmy się dogadać w kwestii szacunku. Wszyscy pozostali też powinni wstać. Ja stoję, nie powinniście siedzieć, to jest kwestia szacunku – próbował jeszcze. Po opublikowaniu tych pięknych cytatów w internetach Fabijański tłumaczył, że „to było zwykłe niedogadanie między nim a lokalem". – Chaotycznie organizowane to wszystko w pędzie, ja z planu zdjęciowego i tak dalej. Jeśli ktoś się poczuł urażony tą sytuacją, która miała miejsce, to oczywiście przepraszam. Nie było to moją intencją – przyznał. Co z tego, skoro nam żyć nie daje ta okropna niepewność, dotycząca finału tej historii? Czy w końcu ktoś jednak wstał?! ©℗

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

eprasa.pl d5f9371c43

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie, jesteśmy wielkimi fanami Netflixa, zwłaszcza w nadchodzące długie zimowe wieczory. Of kors jak każdy normalny mieszkaniec tego kraju (tzn. taki, który ma Netflixa, chodzi do starbunia, głosuje na KO albo Lewicę, sprząta kupę po psie, nawet jeśli nie ma psa, kasuje bilety itd.) współużytkujemy Netflixa z jakimiś nieznanymi ludźmi z neta.

No i otósh Netflix chce ukrócić te praktyki i sprawić, iż takie postępowanie będzie trudniejsze. Musimy więc powiedzieć to wyraźnie: Netflix prawem, nie towarem. Nie wolno nam ograniczać dostępu do dóbr kultury! Niestety, ale działa chyba tutaj rynek, pod naporem którego szefowie platformy będą się musieli uginać. Smutno nam, kiedy sobie pomyślimy, iż krwiożerczy kapitalizm rodem znad Wisły dotarł i do siedziby Netflixa i teraz odbije się to na naszych kieszeniach.

W ogóle gdybyśmy mieli inny rząd, to pewnie mielibyśmy dopłaty do konta. Spójrzcie sami – PiS-owski rząd refundował telewizory, iżby przypadkiem po zmianie standardu nadawania starsze osoby z mniejszych ośrodków nadal były w stanie oglądać wiadomości. Dlaczego więc odpowiednio postępowy rząd miałby nie dofinansować nam odpowiednio postępowej rozrywki?

W ogóle to, pewnie wiecie, już w ten weekend cofamy zegarki o godzinę, sprawiając, iż doba potrwa o godzinę dłużej. Niby to nic takiego, ale policzcie sobie sami: w ciągu tygodnia jest to już siedem godzin, a w ciągu miesiąca – aż 30, a więc więcej niż jeden dzień.

W ten sposób rząd chce maksymalnie oddalić termin wyborów, iżby przeczekać kryzys i nie oddać władzy w ręce brawurowo idącej jak po swoje opozycji. Dla nas też nie jest to dobra wiadomość, iż jeszcze dłużej będzie ciemno, zimno i nudno – zwłaszcza jeśli odetną nam Netflixa.

W tym roku wydłużenie dnia o dodatkową godzinę zbiega się w czasie z przygotowaniami do corocznego grobbingu. Podczas gdy cały świat będzie obchodził wesołe i kolorowe Halloween, to w tym kraju odbędą się znów te smętne obchody Święta Zmarłych.

W ogóle jakie macie plany na grobbing? Raczej wybieracie się do małych ośrodków na uzupełnienie słoików ostatni raz przed Winter Holidays czy raczej zostaniecie w wielkich ośrodkach, ciesząc się, iż napływowe podkarpacie wyjechało, a wy macie miasto dla siebie?

My nawet byśmy pojechali, ale wizja dwudniowego churchingu w połączeniu z grobbingiem i nieekologicznym zniczingiem nas nieco odstrasza. Zamiast tego weźmiemy sobie jeden dzień wolny, o ile of kors nasz supervisor pozwoli, i zrobimy sobie postępowy długi weekend, czyli bez grilla i disco polo.

Listopad będzie w tym roku wyjątkowo ciężki także dlatego, iż w tym roku przypada nie tylko rocznica wybuchu powstania listopadowego (sprawdzaliśmy dwa razy, iżby się upewnić – przypada, to pewne info), lecz także odbędą się mistrzostwa świata w piłce nożnej rozgrywane w Katarze.

A listopad to dla Polaków, wiadomo, niebezpieczny miesiąc. Dlatego już w przyszłym roku obok – jak zawsze – świętowania kolejnego przegranego powstania będziemy być może wspominać porażkę piłkarzy z reprezentacją Arabii Saudyjskiej.

Przybędzie więc to, co Polacy lubią najbardziej – kolejna martyrologiczna rocznica, kiedy można będzie sobie ponarzekać i pozwalać winę na innych, tym razem np. na sędziego.

Na wszelki wypadek tylko przypominamy, iż cieszenie się z narodowych sukcesów w razie pokonania Arabii Saudyjskiej jest niewskazane, iż to rozbudzanie demonów patriotyzmu i budowanie myślenia o sobie jako o mocarstwie po pokonaniu słabszego od nas, a więc w sumie żadna to sztuka. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Reżim szantażuje

Donald, trzeba Jureczka bronić!
Czekaj, Janka, ale bronić w związku z czym?
No przecież reżim go wrabia!
Czekaj. Napruty był? Był. Motocyklistę potrącił? Potrącił. Nawet sam nie zaprzecza.
Czy ja ci to muszę tłumaczyć?! Po tym, jak ludzi wieszają na tym płocie z Białorusią, topią w rzece...
Kogo topią? Skąd wiesz?
Mówiła mi koleżanka, która się dowiedziała od kuzynki, która zna kogoś, kto tam mieszka. A ten ktoś w Internecie przeczytał. Poza tym ja po prostu wiem, że oni są do tego zdolni! Alkohol mogli Jureczkowi podrzucić, a motocyklistę podstawić.
To czemu sam nie zaprzecza?
Bo go szantażują! Pewnie, że mu syna zamkną.
Wody ci może podam, bo się zaczerwieniłaś strasznie?
Ha! Ciebie też szantażują?! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nikt inny poza PiS-em nie blokuje tych pieniędzy europejskich".

DONALD TUSK, *przewodniczący PO, podczas konferencji*

eprasa.pl d5f9371c43

Polska skazana na wielkość

Rafał A. Ziemkiewicz

Ponieważ Niemcy wiążą z Moskwą i Pekinem nie sympatie, lecz najbardziej żywotne interesy, przestały się one nadawać na strategicznego partnera USA w regionie. Jedynym kandydatem do tej roli stała się Polska. W poprzedniej układance oddana pod niemiecką kolonizację w ramach przyszłego państwa unijnego, w obecnej staje się potencjalnym partnerem, przez którego może Ameryka zbudować Trójmorze i poszerzyć je na wschód – twierdzi poniżej Rafał A. Ziemkiewicz w tekście napisanym na kanwie swojej najnowszej książki pt. „Wielka Polska", która właśnie trafia do księgarni

Tuż przed pandemią Eurostat przeprowadził we wszystkich państwach Unii Europejskiej sondaż, nieco inaczej formułując rutynowe pytanie – tym razem postanowiono zbadać, jak wygląda w różnych krajach nie tyle poparcie dla Unii, ile wiara w jej przyszłość. Zapytano więc nie „czy popierasz członkostwo swego kraju w UE?", ale „czy przyszłość swego kraju widzisz w UE czy poza nią?".

W ten sposób okazało się, że Polska, według metodologii pierwszej będąca państwem najbardziej euroentuzjastycznym (od 80 do 90 proc. społeczeństwa deklaruje poparcie dla UE), jest zarazem, według metodologii drugiej, państwem najbardziej eurosceptycznym. Aż 48 proc. Polaków przyszłość Polski widzi poza Unią Europejską, podczas gdy w niej – 46 proc. Byliśmy jedynym krajem w tym badaniu, gdzie liczba tych, którzy widzą przyszłość poza Unią, przeważyła nad tymi, którzy spodziewają się trwania w niej.

Wyniki badania przemknęły przez media, ale najwyraźniej nie zrobiły na nikim wrażenia – jakby były jakąś chwilową osobliwością, nieporozumieniem. Nigdy nie słyszałem, by Eurostat bądź jakikolwiek inny ośrodek powtórzył to

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

pytanie albo poszedł śladem tego, co ono ujawniło. Co zaś najważniejsze dla nas: ta wiedza zupełnie nie przebiła się do świadomości naszej „klasy politycznej". Zarówno władza, jak i lewicowo-liberalna opozycja żyją w głębokim przekonaniu, że miażdżąca większość Polaków nie wyobraża sobie życia poza Unią, a zatem ten, kto w ogóle bierze pod uwagę inny wariant, skazuje się na polityczną marginalizację.

WYSZARPAĆ I WIAĆ

Ponieważ polska debata publiczna zdominowana jest przez bieżącą politykę, w praktyce oznacza to brak jakichkolwiek umysłowych wysiłków, które by były obliczone na zmierzenie się z sytuacją odzyskania przez Polskę samodzielności i jej zagospodarowania. Gorzej nawet, widać paniczną wręcz ucieczkę przed dopuszczaniem takiej myśli, choćby w najbardziej teoretycznych rozważaniach. Przedziwna sytuacja, choć powtarzająca się w naszych dziejach regularnie: „prosty lud" wie w swoim zdrowym rozsądku, że projekt unijny idzie ku upadkowi, trzeba wyszarpać z niego, ile się jeszcze da, ale jeśli przestanie nam się opłacać, to trzeba wiać (bo tak trzeba zinterpretować wynik wspomnianych badań), a „oświecone" salony i przywódcy polityczni nic nie rozumieją i bujają w obłokach.

Tylko nieliczni zauważają (ostatnio dołączył do tego grona Rafał Woś artykułem na Interii „Bruksela prze do polexitu"), że polexit to perspektywa realna i tak naprawdę niezależna od nas, że zostaniemy do niego zmuszeni przez próbujących ratować własną skórę eurokratów. Federalizacyjna, a nawet więcej – centralizacyjna polityka Unii Europejskiej nie pozostawia nam bowiem innego wyboru niż zgoda na członkostwo „drugiej kategorii", czyli de facto kolonizację i eksploatację przez kraje „starej Unii", głównie Niemcy – albo właśnie wypchnięcie poza wspólnotowe struktury.

Co zrobimy, kiedy przestanie być możliwe udawanie, że wciąż jest, jak było, że to nadal schumanowska Unia wolnych narodów, do której wchodziliśmy, a nie neomarksistowski związek socjalistycznych republik europejskich? Co zrobimy, kiedy trzeba się będzie zdecydować: wóz albo przewóz? A ta chwila nadchodzi nieuchronnie.

Postanowiłem napisać o tym książkę, która w tym tygodniu trafi do czytelników. Nieubłagalne cykle drukarskie sprawiają, że ostateczny tekst musiałem zamknąć na przełomie lipca i sierpnia. Dziś z całą odpowiedzialnością mogę jednak stwierdzić, że wszystko, co stało się po odesłaniu do drukarni ostatniej korekty, upewnia mnie, że co najmniej wskazałem w tej książce realny i nieuchronnie spełniający się na naszych oczach scenariusz wielkiej, geopolitycznej przemiany, która zupełnie zmienia miejsce Polski w światowej i europejskiej „kolejności dziobania". Stoimy z jednej strony przed katastrofą dotychczasowej polskiej strategii (jeśli to stosowne słowo), opartej na ludowej pseudomądrości „stój w kącie, znajdą cię", na kompleksie „brzydkiej panny bez posagu" i na bezmyślnym „żeby było jak na Zachodzie"

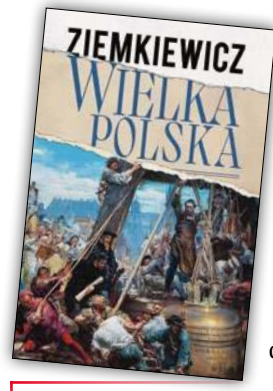

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„WIELKA POLSKA"
FABRYKA SŁÓW 2022

– z drugiej strony zaś przed wielką historyczną szansą budowy silnego państwa stabilizującego cały region, zapewniającego bezpieczeństwo i dobrobyt swoim obywatelom, a także innym narodom.

Czy trafnie proponuję działania i reformy niezbędne, by sprostać tej sytuacji – to osobna kwestia. Rzecz oczywista, że gdybym nie był co do tego głęboko przekonany, nie oddawałbym książki do druku – ale nie traktuję swoich propozycji jako prawd objawionych, zresztą konkretne działania polityczne muszą być przecież dostosowane do konkretnych okoliczności, a tych nie sposób przewidzieć w szczegółach. Bardziej niż na trafności prognozy zależy mi na wyrwaniu nas z umysłowej gnuśności, w której upłynęło polskim elitom opiniotwórczym i politycznym ostatnie 30 lat.

Nie mam jednak żadnych wątpliwości co do podstawowych uwarunkowań dziejącej się na naszych oczach zmiany. Nie zamierzam tu streszczać wywodu, który wymagał formy długiego, uporządkowanego eseju – wskażę jednak na kilka uwarunkowań, które uznaję za decydujące. Raz jeszcze powtórzę: wszystko, co zdarzyło się po jego napisaniu, uważam za potwierdzenie moich tez.

KURS NA BAŁKANIZACJĘ

Rzecz pierwsza to niemożność realizacji celów „pogłębionej integracji europejskiej". Unijne elity żyją w swoim świecie, oderwane od realiów, nieświadome społecznych nastrojów, nie potrafią więc przewidzieć skutków wcielania w życie utopii, której są oddane. Te zaś muszą być takie, jak przyniosły podobne działania w przeszłości. Gdy dobrowolny związek narodów zamienia się w centralnie zarządzane oberpaństwo, dokonujące na szeroką skalę redystrybucji bogactwa i wymuszające posłuszeństwo wobec wymyślonych przez innych rozwiązań, kończy się to narastaniem wzajemnych pretensji i roszczeń (wszyscy czują się okradani przez państwo dominujące, a tam z kolei panuje przekonanie, że utrzymują tłumy darmozjadów) i losem byłej Jugosławii. Myśl, że mocą propagandy, eurodyrektyw i przyznawania albo pozbawiania dodatkowych funduszy można osiągnąć to, czego nie

eprasa.pl d5f9371c43

udało się osiągnąć wojskową i polityczną przemocą, jest wręcz groteskowa. Zwłaszcza gdy w ideologicznym obłędzie uczyniono oficjalnym hasłem tej operacji działania oznaczające, w imię enigmatycznego „ratowania planety", gwałtowne zubożenie objętych nią społeczeństw.

Kurs na „stany zjednoczone Europy" jest więc w istocie kursem na wielką bałkanizację. Elity unijne nie dostrzegają tego, ponieważ żyją w symbiozie z imperialnymi (acz starannie swój charakter ukrywającymi) elitami politycznymi Niemiec. To Niemcy, jako dominująca gospodarka, której dominację nad resztą Europy spotęgować ma jeszcze „klimatyczna" polityka, mają w myśleniu eurokratów „przejąć odpowiedzialność" za projekt europejski i „pozbawić możliwości egoistycznego blokowania europejskich decyzji" krnąbrną Polskę i inne mniejsze kraje (co zresztą otwarcie zapowiada kanclerz Scholz).

Niemcy nie są jednak w stanie spełnić tej roli, ponieważ ich gospodarcza potęga jest równie „przehajpowana" jak potęga „drugiej armii na świecie", gromionej od wielu miesięcy przez pogardzanych „chachłów". Cała ta potęga opierała się na taniości surowców z Rosji i podzespołów z Chin. Bez nich i bez „wspólnej europejskiej waluty", która również pada ofiarą wojny – proszę tylko zobaczyć wykres kursu dolara do euro – Niemcy stają się krajem o nieproporcjonalnych do swych realnych możliwości uroszczeniach.

Te uroszczenia byłyby może do zrealizowania, gdyby popierały je Stany Zjednoczone, wracające po prezydenturze Trumpa do roli światowego hegemona. Tak się w istocie zapowiadało – USA wstępnie podpisały pod koniec 2021 r. porozumienie, na mocy którego wycofywały się z Europy, pozostawiając ją Niemcom, związanym z Rosją neobismarckowskim sojuszem, którego symbolem stały się rury Nord Stream. Nie czyniły jednak tego bezwarunkowo: pozwalały Rosji być mocarstwem regionalnym (acz z perspektywą dalszego osłabiania go) tylko pod warunkiem przejścia do antychińskiego bloku z USA na czele. Putin, demonstracyjnie ogłaszając sojusz z Chinami i atakując Ukrainę, spektakularnie tę propozycję odrzucił.

To spowodowało zmianę całej amerykańskiej polityki w regionie. Ponieważ Niemcy wiążą z Moskwą i Pekinem nie sympatie, lecz najbardziej żywotne interesy, przestały się one nadawać na strategicznego partnera USA w regionie. Jedynym kandydatem do tej roli stała się Polska. W poprzedniej układance oddana pod niemiecką kolonizację w ramach przyszłego państwa unijnego, w obecnej staje się potencjalnym partnerem, przez którego może Ameryka zbudować Trójmorze i poszerzyć je na wschód.

Nową geopolitykę określa w wielkim stopniu upadek Rosji. Bez względu na to, ile irańskich dronów i rakiet będzie mógł wystrzelić jeszcze Putin, widać, że własnych już wyprodukować nie jest w stanie. Z pozoru niewyczerpane zasoby Rosji wyczerpują się na naszych oczach, podcięta demografia za sprawą utraty kilku setek tysięcy poborowych doznaje ostatecznej katastrofy, sojusze, na które liczył Putin, okazały się mieć charakter doraźny – od słabnącej Rosji wielu chce coś wyszarpać, ale nikt nie zamierza jej ratować. Nie ma pytania, czy Rosja przegra konfrontację z USA i ze zmuszoną, nolens volens, występować po stronie Ameryki Europą Zachodnią – lecz tylko kiedy i jakim kosztem. Jakikolwiek by on był, Amerykanie wydają się zdecydowani go ponieść.

Nową geopolitykę określa w wielkim stopniu upadek Rosji. Nie ma pytania, czy ona przegra, jest tylko: kiedy i jakim kosztem

Ceną, którą możemy za to uzyskać, jest pomoc – oby jak najdalej idąca – w uwolnieniu się od unijnego uzależnienia. Wspólnym interesem zarówno Polski, jak i ponoszącej największe straty (co oznacza: wymagającej niebawem intensywnej odbudowy) Ukrainy, a także USA jest odbudowa jagiellońskiego „commonwealthu", który wypchnie Rosję z Europy i przywróci właściwe proporcje żyjącym od dziesięcioleci w skrajnej rozrzutności państwom zachodnioeuropejskim.

Nie sądzę, żeby Polacy, naród, który – według często przeze mnie cytowanych danych Forum Davos – w ciągu ostatnich 30 lat dokonał drugiego w świecie skoku w gospodarczym i cywilizacyjnym rozwoju, ustępując w tym rankingu tylko Chinom, nie był w stanie sprostać tym wyzwaniom. Nie wierzę, żeby nie zdecydował się ich prędzej czy później podjąć. Nawet jeśli eurokratom się uda, tak jak to planują, dzięki zupełnie już bezczelnemu łamaniu traktatów i zarzuceniu pozorów powtórzyć operację, którą udało się kiedyś przeprowadzić we Włoszech i w Grecji, i zainstalować w Warszawie Tuska (osobiście sądzę, że nie), to jego władza nie potrwa długo. Przede wszystkim dlatego, że nie będzie strumieni pieniędzy do rozdawania, którymi „europejska" władza zamierza kupić sobie życzliwość, a przynajmniej obojętność Polaków wobec restauracji rządów sprzed 2015 r. Przeciwnie, szybko się okaże, że rzekome miliardy KPO i innych funduszy to bogactwa wirtualne, a nie obiecywane w klipach Tuska palety z banknotami – za to, w przeciwieństwie do nich, realne są koszty i haracze nakładane przez „starą Unię", by kosztem środkowoeuropejskich i południowych peryferiów podtrzymać „welfare state" na Zachodzie.

Z różnych przyczyn – na wymienienie większości z nich nie ma tu miejsca – idziemy ku wielkiemu kryzysowi, który dotknie zresztą nie tylko Polskę. To oczywiście zła wiadomość, ale jest w niej także wiadomość dobra: trzeba kryzysu, żeby wyzwolić się z „imposybilizmu" państwa z dykty, z „Polski resortowej", z systemowych, ustrojowych patologii wymyślonych podczas Okrągłego Stołu dla sparaliżowania państwa i zapewnienia w nim bezkarności postpeerelowskim elitom, a zakonserwowanych prawniczym bublem, którym jest konstytucja Kwaśniewskiego i Mazowieckiego z lat 90. Proszę mi wierzyć, że nie ma w tym, co piszę, nic z owego „Nieszczęścia wołam!" z „Wesela" – raczej zdroworozsądkowe myślenie zamordowanego przez Putina publicysty Niemcowa: „Reformy zaczynają się tam, gdzie kończą się pieniądze".

Po dziesięcioleciach międzynarodowej dekoniunktury Polska staje więc nagle przed wielką szansą. Oczywiście nie może jej zmarnować. Marnowanie historycznych szans już się nam zdarzało – choć lepiej pamiętać momenty, kiedy umieliśmy je fantastycznie wykorzystać, jak w latach 1918 i 1920. Rzecz w tym, że siły, które popychają nas ku odbudowaniu Polski jako państwa samodzielnego i ważnego, są dziś potężniejsze od sił rozkładu i marginalizacji. Polska może być wielka. A prawdę mówiąc – musi być wielka. Jak to kiedyś Polacy śpiewali: triumf albo zgon.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

Znikający pragmatyzm

Łukasz Warzecha

W „Wielkiej Polsce" Rafała A. Ziemkiewicza widzimy zamykanie oczu na znaczącą sferę rzeczywistości – żeby uratować naszą pomyślność, zdolność do prowadzenia jakiejkolwiek aktywnej polityki, a może nawet suwerenność, musimy teraz przede wszystkim myśleć w kategoriach pragmatycznych

W połowie lektury „Wielkiej Polski", najnowszej książki mojego redakcyjnego kolegi Rafała A. Ziemkiewicza, miałem poczucie, że kojarzy mi się ona ze znaną skądś anegdotą. Gdy doszedłem do końca, już wiedziałem: to historyjka o amerykańskim pisarzu, tworzącym w gazecie powieść w odcinkach, zawarta przez Marka Hłaskę w „Pięknych dwudziestolatnich". Pozwolę ją sobie tutaj przytoczyć.

„Była w swoim czasie opowiastka o amerykańskim pisarzu, który pisał powieść w odcinkach. Pewnego dnia przyszedł do swego szefa.

Pisarz: – Szefie. Od jutra chcę dziesięć dolarów więcej za odcinek.

Szef: – Won.

Pisarz wychodzi, gwiżdżąc beztrosko. Szef łączy się z sekretarką i każe, aby przyszedł Rappaport. Rappaport wchodzi.

Szef: – Rappaport. Od tej chwili będziesz pisać dalej tę przeklętą bzdurę.

Rappaport: – Tak jest, szefie.

Zgarnia nonszalanckim ruchem manuskrypt i wychodzi; szef pogrąża się w dalszej pracy. Za godzinę wraca Rappaport; jest zupełnie pijany i trupio blady. Kładzie przed szefem manuskrypt.

Rappaport (bełkocze): – Wszystko skończone. Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam.

Zataczając się, wychodzi; szef żąda, aby przyszedł Treppengelander. Treppengelander wchodzi.

Szef: – Patrick. Masz od jutra pisać dalej tę hecę.

Treppengelander: – Tak jest.

Wychodzi. Po godzinie wraca. Trupio blady. Pijany. Rzuca manuskrypt na stół i nie mówiąc ani słowa, wychodzi. Sytuacja robi się poważna; z drukarni dzwonią. Szef woła Najlepszego. Najlepszy wchodzi.

Szef: – Ty... i tak dalej.

Najlepszy: – OK.

Po godzinie wraca: pijany i trupio blady.

Szef: – Co jest?

Najlepszy: – Nic się nie da zrobić. Bohater wyskoczył z samolotu na wysokości dziesięciu tysięcy metrów i jest bez spadochronu. Wokół niego lata eskadra odrzutowców i strzela do niego pociskami rakietowymi. Na dole czekają już na niego trzy rekiny z otwartymi paszczami. A teraz idę. Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam...

Najlepszy wychodzi; szef woła pierwszego i obiecuje mu podwyżkę. Następnego dnia ukazał się dalszy ciąg powieści odcinkowej, zaczynający się od słów: »Nadludzkim wysiłkiem woli, wydostawszy się z tych irytujących opresji, Mike Gilderstern powrócił do Nowego Jorku«".

Z wizją – celowo używam tego słowa, od którego zresztą nie odżegnuje się sam Rafał – Ziemkiewicza jest dokładnie tak, jak z historią o Gildersternie: jesteśmy na etapie, na którym bohater powieści w odcinkach wyskoczył z samolotu bez spadochronu, latają odrzutowce, w oceanie czekają rekiny, a Ziemkiewicz beztrosko opisuje nam dalszy ciąg już po „wydostaniu się z tych irytujących opresji" i powrocie Gildersterna do Nowego Jorku. Pomija przy tym ten drobiazg, jak Gilderstern to zrobił czy też – jako że tu mowa o przyszłości – ma zrobić.

I nie chodzi tu przecież o to – przed tym Ziemkiewicz przezornie się pod koniec książki zabezpieczył – żeby domagać się od publicysty szczegółowego przepisu na naprawę Polski, ale o to, że aby dojść do etapu, na którym autor buduje cały swój wywód i całą swoją wizję, musielibyśmy najpierw przebrnąć przez problemy zaiste gigantyczne.

DIAGNOZA A MOŻLIWOŚCI

Z „Wielką Polską" jest trochę jak z rządami PiS, które zresztą Rafał w swojej książce piętnuje mimo wszystko oszczędnie: na poziomie diagnozy wiele rzeczy się zgadza – choć też nie wszystko; na poziomie propozycji jest już znacznie gorzej. A właściwie nawet nie propozycji, ale realnych możliwości ich wprowadzenia w życie.

Mam teraz przed sobą inną książkę Ziemkiewicza, chyba moją ulubioną z dorobku mojego kolegi: wydane w 2014 r. „Jakie piękne samobójstwo". Rafał omawiał w niej przyczyny polskiej klęski z 1939 r. Było to znakomite studium realistycznego myślenia o polityce i tłumaczyło, dlaczego państwo nie może grać powyżej swoich faktycznych możliwości. Nie jest chyba przypadkiem, że chociaż w „Wielkiej Polsce" Ziemkiewicz przywołuje wiele swoich książek – „Polactwo", „Strollowaną rewolucję", „Czas wrzeszczących staruszków" czy „Chama niezbuntowanego" – to ani razu nie przywołuje właśnie książki „Jakie piękne samobójstwo". Po prostu dlatego, że wygląda to tak, jakby te dwie książki napisały dwie kompletnie różne osoby, choć dzieli je zaledwie osiem lat.

eprasa.pl d5f9371c43

Gdybym był bardzo złośliwy, to w kontekście zachwytów zawartych w „Wielkiej Polsce" nad wspaniałością ukraińskiej walki z Rosją i koniecznością bliskiego sprzymierzenia się przez Polskę z Kijowem przypomniałbym niektóre tweety Rafała. Na przykład taki z listopada 2018 r.: „Taka refleksja na wieczór: jeśli Ukraina tak z buta traktuje Polskę, kiedy ledwie zipie przyciskana przez ruskich i obiektywnie nas potrzebuje – to co będzie, gdy się wzmocni? Odwdzięczy nam się wtedy za to, że ją wspieraliśmy – tak na pewno uważacie, głupole, co?". Właściwie należałoby teraz poprosić autora tych słów o komentarz, bo sytuacja zbliża się do hipotetycznie tam opisanej, tymczasem w swojej książce Ziemkiewicz prorokuje, że skończy się radykalnie inaczej, niż pisał cztery lata temu. A jeszcze 29 stycznia tego roku, czyli mniej niż miesiąc przed wybuchem wojny, Ziemkiewicz pisał na Twitterze tak: „Udzielimy Ukrainie każdego wsparcia, jakiego zażąda, obiecał minister Rau. Nie każdego, na jakie nas stać czy co – każdego, jakiego zażąda. To po co nas szanować? A od Australii może jeszcze da się coś ugrać". Można zapytać, cóż się takiego zmieniło, że autor „Wielkiej Polski" stanął wkrótce po stronie zwolenników takiego właśnie podejścia – udzielania Ukrainie wszelkiej pomocy, jakiej zażąda. Ale nie bądźmy złośliwi.

W „Wielkiej Polsce" Ziemkiewicz przypomina słynne słowa Donalda Tuska, który skomentował niegdyś oczekiwania, że politycy zaprezentują jakieś wizje, słowami: „Jak ktoś ma wizje, niech idzie do lekarza". Dla Ziemkiewicza to świadectwo ograniczoności, a nawet zdrady (bo tym kryterium Rafał szafuje lekko i bez umiaru). Problem w tym, że obie skrajności są złe. Złe jest zarówno utracenie z oczu jakiejkolwiek dalszej perspektywy oraz strategicznych celów i skupienie się wyłącznie na bieżącym zarządzaniu – w tym Platforma celowała, choć to zarządzanie też jej nie wychodziło; ale tak samo złe jest skupienie się jedynie na dalekiej wizji przy kwitowaniu wszelkich uwag o bieżących problemach stwierdzeniem, że „jakoś to będzie". Odżegnując się od Tuskowego wstrętu dla wizji, Ziemkiewicz popada w tę drugą skrajność.

Problem i w tym, że w wielu sprawach można mieć wątpliwości nawet na poziomie samej diagnozy sytuacji. Ziemkiewicz opisuje bowiem bardzo skomplikowane procesy, które potencjalnie mogą mieć mnóstwo wyjaśnień, w sposób jednostronny i tak, jak pasuje mu to potem do wyciąganych wniosków. A przy tym nie opiera się właściwie na żadnych źródłach, co znacząco odróżnia „Wielką Polskę" od podobnych analityczno-publicystycznych książek ze sfery anglosaskiej.

Oto przykład. Jedną z kluczowych kwestii jest rozstrzygnięcie, dlaczego Putin właściwie wydał wojnę Ukrainie – co według publicysty ma tworzyć dla Polski wielkie możliwości – choć mógł osiągnąć więcej metodami pokojowymi, głównie gospodarczymi, współpracując z Niemcami. Ziemkiewicz objaśnia to „kacapskim mentalem" (nawiasem mówiąc, te emocjonalne określenia odrzucają czytelnika oczekującego chłodnej analizy) i stwierdza: „Putin zdołał przekonać cały świat, że Rosja jest zwykłą kleptokracją, państwem wydmuszką, rządzącym się takimi samymi zasadami jak surowcowe zagłębia w środkowej Afryce, tylko znacznie większym. Jedyną racją jej istnienia jest wyzyskiwanie własnego narodu i rabowanie zasobów własnego kraju przez zdegenerowanych oligarchów, którzy wyprzedają za bezcen wszystko każdemu, kto zapłaci, by zdobyte w ten sposób pieniądze wytransferować do Szwajcarii, Londynu czy na Lazurowe Wybrzeże, nakupować tam megawypasionych jachtów i nastawiać superluksusowych rezydencji z kiblami ze szczerego złota i diamentowymi klamkami. Przewodzący tej hordzie Putin zaś – to po prostu skupiony na sobie i bogaceniu swojej rodziny kacyk, jak wielu przed nim i po nim […]". To atrakcyjne wyjaśnienie, ale niepoparte właściwie niczym. Nie ma tu odwołania do żadnych sondaży, analiz, wypowiedzi, wywiadów – do niczego. I tak jest niestety w wielu punktach książki.

BRAK TWARDEJ MATERII

Żeby było jasne: publicysta ma pełne prawo stawiać hipotezy, choć nawet w krótkim tekście, dotyczącym jednego zagadnienia, warto dla poparcia wywodu przywołać konkret. Jeśli np. stawiamy – jak to robi Ziemkiewicz – bardzo znaczące tezy dotyczące nie tylko postępowania niemieckiej klasy politycznej, lecz także nastawienia samych Niemców, to przydałyby się jakieś twarde podstawy takich twierdzeń. Gorzej, jeśli w długim i wielowątkowym wywodzie, którym jest w gruncie rzeczy „Wielka Polska", takich bezpodstawnych spekulacji jest od groma, a na nich buduje się następnie daleko idące zalecenia i rekomendacje.

Przywołam tutaj trzy tylko kwestie, gdzie zdecydowanie brakuje „twardej materii", a które dla wniosków Ziemkiewicza mają wielkie znaczenie. Pierwsza to kwestia nastawienia USA do roli Ukrainy i Polski w regionie. Ziemkiewicz stwierdza po prostu, że Stany Zjednoczone potrzebują tu swojego przedstawiciela, a Polska świetnie się do tego teraz nadaje. I tyle. A przecież temat relacji pomiędzy dwoma tak nierównorzędnymi partnerami jest kluczowy! Dlaczego Ziemkiewicz przyjmuje, że obecna polityka amerykańska przetrwa dłużej niż kadencja Bidena, skoro widać, że republikanie już przed najbliższymi wyborami do Kongresu prezentują zdecydowanie bardziej izolacjonistyczny kurs? Ba, nawet te właśnie, listopadowe wybory mogą zmodyfikować amerykańskie podejście do konfliktu na Ukrainie. Wyjaśnieniem nie jest przeciwstawienie się obozowi chińskiemu – obejmującemu teraz Rosję i w jakimś stopniu Niemcy – ponieważ USA mają ograniczone zasoby, a tamtejsi politycy muszą się liczyć z opinią publiczną, która do kolejnych zaangażowań nie jest nastwiona entuzjastycznie. Nie są w stanie działać jednocześnie na większą skalę i w Europie, i w Azji. A to Azja jest dla nich głównym polem gry.

Tu do kalkulacji należałoby włączyć właśnie rachunek realnych amerykańskich sił, uwzględnić pomijaną całkowicie przez Ziemkiewicza kwestię stabilności światowych finansów (ile amerykańskiego długu mają Chiny?) czy nawet zająć się odbywającym się właśnie XX zjazdem KPCh, na którym Xi Jinping walczy o trzecią kadencję. A ta trzecia kadencja ustawiłaby go w pozycji porównywalnej z pozycją Mao Zedonga, co z kolei może mieć duży wpływ na dalsze działania Chin – i wobec Rosji, i Tajwanu, i USA (nawiasem mówiąc, w geopolitycznych rozważaniach Ziemkiewicza Azja właściwie w ogóle nie istnieje).

Trudno zatem powiedzieć, dlaczego Ameryka nie miałaby na którymś etapie albo pozostawić naszej części świata samej sobie – jak to już planowała zrobić od czasów Baracka Obamy, a także na początku jedynej kadencji Donalda Trumpa – albo dlaczego nie miałaby postanowić rzucić do walki z Rosją nas właśnie, składając jakieś mgliste obietnice wsparcia.

eprasa.pl d5f9371c43

Na okładce książki Rafała A. Ziemkiewicza jest fragment obrazu Jana Matejki. Nie zmieściła się jednak na niej część ze Stańczykiem, który zatyka uszy FOT. WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/MN W WARSZAWIE

Z niewątpliwą dla nas szkodą. No ale gdyby wejść w te detale, nie byłoby już tak łatwo stworzyć książki będącej plakatem rekrutacyjnym idei „Wielkiej Polski".

Druga wielka luka to przyjęcie na użytek wywodu, który Ziemkiewicz prezentuje, jedynie najbardziej z jego punktu widzenia optymistycznej wersji rozwoju wypadków. Ameryka nam pomaga, Niemcy się zwijają, Rosja w cudowny sposób zostaje pokonana… Tak, takie jest założenie Rafała, znów niewsparte nawet najbardziej pobieżną próbą analizy rosyjskiego potencjału trwania.

ANTYWOLNOŚCIOWY KURS W POLSCE

Trzecia ogromna luka to pominięcie powszechnej dzisiaj w Polsce akceptacji skrajnie antywolnościowego kursu, przyjętego już dawno, ale ogromnie wzmocnionego przez obecnie rządzących. Ziemkiewicz pisze pięknie o polskim umiłowaniu wolności i na nim zasadza swoje prognozy – tyle że pisze o czymś, czego już nie ma. Kilka ostatnich lat pokazało, że zdecydowana większość kwestiami wolności osobistej kompletnie się nie przejmuje, w zamian za obłudne obietnice zapewnienia bezpieczeństwa różnego rodzaju jest gotowa się jej natychmiast wyrzec, a ci, którzy o wolności przypominają, są na wszelkie sposoby tępieni – ba, przez obecną władzę nawet ze szczególną zaciekłością. Nie wiem zatem, skąd założenie, że miałby to być fundament nowej Polski, jej siły i atrakcyjności w Europie.

Tu trzeba wyjaśnić, że dzisiejsze bojowe nastawienie Polaków do Rosji nie wynika bynajmniej z chęci obrony osobistej wolności ani nawet niepodległości własnego państwa. To po prostu funkcja wojny polsko-polskiej i element licytacji, kto bardziej nienawidzi Putina, a kto jest jego rzekomym agentem. Ci, którzy krzyczą najwięcej, nie mają w ogóle świadomości, czym jest wojna, gdyby przyszło nam ją toczyć. Jak pokazuje polska historia – najzacieklejsi wojenni podżegacze na ogół pierwsi biorą nogi za pas, pędząc szosą na Zaleszczyki.

Najbardziej jednak rozczarowuje ostatnia część książki. Ta właśnie, w której Ziemkiewicz rysuje swoją wizję wielkiej jagiellońskiej w duchu Polski, ze zreformowanym systemem władzy wolnorynkowej, otwartej na pracowitych imigrantów, jednoczącej wokół siebie państwa regionu. Ta wizja, jakkolwiek bardzo przyjemna – z której obrazem zgadzam się w zdecydowanej większości, może poza postulatami dotyczącymi ograniczenia wolności słowa (tak, taki się u Ziemkiewicza pojawia!) – jest już kompletnie zawieszona w próżni i oderwana od realiów. Pomija zmiany w polskim społeczeństwie, kształt i jakość klasy politycznej, rozbieżne pod wieloma względami interesy państwa w naszym regionie, a impulsu sprawczego upatruje w jakimś tajemniczym przełomie i pojawieniu się jakiegoś Wielkiego Sanatora czy grupy sanatorów.

Takich mielizn jest w „Wielkiej Polsce" znacznie więcej. Ot, choćby wykreowanie skrajnie zwulgaryzowanego, po prostu nieprawdziwego podziału na „klasę pośrednią", którą Ziemkiewicz uważa za uprawiającą narodową zdradę, i całą resztę, w gruncie rzeczy powielającego retorykę PiS oraz obraźliwego dla ludzi, którzy dorobili się jakiej takiej pozycji dzięki swojej ciężkiej pracy wbrew każdej władzy.

Największą mielizną jest jednak ta opisana na początku tego tekstu. Dzisiaj Polska jest w sytuacji, gdy grozi nam wciągnięcie w gorącą wojnę i bezprecedensowy upadek gospodarczy, spowodowany nie tylko – o czym Ziemkiewicz wiele pisze – uległością wobec polityk UE, lecz także naszą wewnętrzną polityką gospodarczą oraz, powiedzmy to otwarcie, odcięciem surowców z Rosji. To uderzyło bowiem nie tylko w Niemcy, co Ziemkiewicz zauważa, lecz także w nas, czego już nie dostrzega. Gdy z powodu wojny paliwo zaczęło na potęgę drożeć (dzisiaj znów to się dzieje, nakręcając inflację, w dużej mierze z powodu funkcjonalnego sojuszu Saudów z Moskwą – tych uwarunkowań Ziemkiewicz również nie uwzględnia), autor „Wielkiej Polski" napisał na Twitterze, że benzyna może być nawet po 10 zł za litr, byle nie była „ruska". Ten brak zrozumienia ekonomicznych konsekwencji u publicysty niegdyś kojarzonego z przekazem wolnorynkowym mógł być wtedy szokujący. Wygląda na to, że w „Wielkiej Polsce" mamy konsekwentną kontynuację tego sposobu myślenia – czy może raczej zamykania oczu na znaczącą sferę rzeczywistości.

Żeby uratować naszą pomyślność, zdolność do prowadzenia jakiejkolwiek aktywnej polityki, a może nawet suwerenność, musimy teraz przede wszystkim myśleć w kategoriach pragmatycznych (Ziemkiewicz deklaruje, że tego słowa nie lubi – i to w jego rozważaniach widać) i najwyżej w średnim okresie. Żeby dojść do celu, który widzimy na horyzoncie, trzeba zadbać, aby nie połamać sobie na pierwszych metrach nóg.

Na okładce „Wielkiej Polski" widzimy obraz Jana Matejki (błędnie tytułowany „Zawieszenie dzwonu Zygmunta") ukazujący wydobycie z formy dzwonu Zygmunt w 1520 r. (Zygmunt August zlecił stworzenie dzwonu Niemcowi Hansowi Behamowi pochodzącemu z Norymbergi – nie wiem, czy Rafał, chłoszczący w swojej książce Niemców na odlew, tę ironię dostrzegł). Niestety, na okładce nie zmieścił się już ukazany u podnóża królewskiego tronu Stańczyk zakrywający sobie uszy. Według legendy błyskotliwy kpiarz, widzący często więcej niż ci, którzy go zatrudniali jako trefnisia. I to w jakiś sposób jest symboliczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

Dumni z polskości

Zofia Magdziak

Dbanie o polską tożsamość to obowiązek nas wszystkich. Jednak to praca konkretnych twórców i instytucji każdego dnia przypomina nam o polskiej historii i tożsamości. Właśnie takie postaci i instytucje od 2013 r. nagradza tygodnik „Do Rzeczy"

Nagroda Strażnik Pamięci ma już swoją tradycję, w ramach której redakcja „Do Rzeczy" od 2013 r. wskazuje i honoruje osoby oraz instytucje promujące i przekazujące – często wbrew codziennym trudnościom – polską historię i tożsamość. W ciągu ostatnich 10 lat redakcja wręczyła kilkadziesiąt nominacji i wyróżnień, gromadząc wokół Strażnika Pamięci wyjątkowe grono tych, którzy cenią sobie polskość. „Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości" – powiedział marszałek Józef Piłsudski. I zgodnie z tą dewizą „Do Rzeczy" właśnie takie dumne z polskości osoby wyróżnia.

HISTORYCZNY STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ

Pierwsze nagrody Strażnik Pamięci wręczono 5 listopada 2013 r., w wydaje się całkiem innym politycznie świecie niż ten, który widzimy obecnie. Jak zwraca uwagę redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki, inaczej wyglądała wtedy też dyskusja o wzorcach patriotyzmu. – Widzieliśmy, że taka nagroda jest szczególnie potrzebna. Nie działały takie organizacje jak np. Instytut Pileckiego, a istniejące niechętnie odnosiły się do kwestii tożsamości narodowej – przypomina. – To był okres, jak się później okazało, schyłku rządów Platformy, i te instytucje, które nawet w swojej nazwie miały słowa „naród" czy „niepodległość", działały w specyficzny sposób. Przypomnijmy choćby słowa prezydenta Komorowskiego, który mówił, że Polska jako naród musi uznać swoje winy za Holokaust. To była ta mentalność pedagogiki wstydu – dodaje Paweł Lisicki.

Właśnie w tym momencie pojawiła się w redakcji idea pokazywania tego, co jest w polskiej historii wielkie. – To była pierwsza nagroda, w której prezentowano taki sposób patrzenia na polską historię – podkreśla redaktor naczelny. O tym, że Polacy chcą mówić o historii i być z niej dumni, świadczy fakt, że już w pierwszej edycji konkursu do redakcji wpłynęło kilkaset zgłoszeń. Kandydatów do nagrody mogą bowiem (do dzisiaj) zgłaszać listownie i e-mailowo sami czytelnicy.

BEZ PAMIĘCI, CZYLI TAKŻE BEZ TOŻSAMOŚCI

Redakcja zdecydowała się na trzy kategorie – Twórca, Instytucja i Mecenas. Jak zgodnie mówią pomysłodawcy nagrody, największe zainteresowanie czytelników wzbudziła pierwsza kategoria, dająca możliwość uhonorowania konkretnej osoby, która swoimi działaniami przyczynia się do odnowienia pamięci. Nominowani to artyści, pisarze czy badacze historii, opowiadający ją w przystępny sposób.

Pierwsze wyróżnienie w tej kategorii otrzymali twórcy telewizyjnego hitu – serialu „Czas honoru", opisującego historię czterech cichociemnych i w ten sposób

eprasa.pl d5f9371c43

Laureaci konkursu Strażnik Pamięci w 2021 r. FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

przybliżającego milionom widzów obraz walki Polaków w czasie drugiej wojny światowej.

Wśród laureatów w kolejnych latach znalazł się m.in. prof. Wojciech Roszkowski, uhonorowany za całokształt pracy naukowej, ze szczególnym uwzględnieniem książki „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej", w której historyk dokonał dramatycznego bilansu naszej cywilizacji. Zapytany o znaczenie tego wyróżnienia prof. Roszkowski podkreśla, że Polacy nie pamiętają w dostatecznym stopniu o swojej historii, co wpływa na siłę państwa. – To być może banał, z którym pewnie nie wszyscy w Polsce się zgodzą, ale jesteśmy tym, co pamiętamy – o sobie, innych i o kraju, w którym żyjemy. Tożsamość buduje się z pamięci – o tym, w jakim środowisku człowiek żyje, co to środowisko mu daje. Bo przecież jeśli mówimy po polsku, to coś znaczy. Wyrażamy myśli w tym języku, w którym pewne terminy mają znaczenie – te odniesienia nas jakoś kształtują i to często są odniesienia właśnie do historii: tego, kim był Adam Mickiewicz, co się stało po III rozbiorze i jak upadł komunizm – tłumaczy historyk. – Tożsamość jest fundamentem marki kraju. To nie jest żaden luksus, że pamiętamy, kim jesteśmy, bo to nas satysfakcjonuje. Myślę, że im lepiej wiemy, co to znaczy być Polakami, tym marka naszego kraju będzie silniejsza. Nikt za nas tego nie zrobi.

O polskiej tożsamości mówił też inny laureat Strażnika Pamięci w kategorii Twórca – poeta, pisarz i eseista, niestrudzenie tłumaczący, czym jest polskość, Jarosław Marek Rymkiewicz. Dziękując za wyróżnienie podczas uroczystej gali wręczenia nagród w 2017 r., artysta został nagrodzony owacjami za słowa na temat polskiej tożsamości. – Czym jest polskość? Ona nie jest ani biologiczna, ani genetyczna, ona nie bierze się z krwi [...]. Nie bierze się z pochodzenia. Polskość to jest straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy tu niczego wybierać. To ona nas wybiera, ona chce nas mieć i wtedy nas wybiera – mówił poeta.

WYDOBYWANIE HISTORII NA ŚWIATŁO DZIENNE

– Strażnik Pamięci to nagroda, która dotyczy maleńkich i ogromnych. Wspólnym mianownikiem są bez wątpienia ludzie, bo przecież za wyróżnionymi instytucjami też kryją się konkretne osoby, dla których wartość historii Polski i przenoszenia tej wiedzy, z pokolenia na pokolenie, jest nie do przecenienia – podkreśla zastępca redaktora naczelnego „Do Rzeczy" Piotr Gabryel, zapytany o drugą kategorię nagród. Strażnicy Pamięci to bowiem nie tylko twórcy, lecz także jednostki i zespoły, które odpowiadają za działania większych i mniejszych instytucji – muzeów, stowarzyszeń czy fundacji podejmujących nowe inicjatywy.

Pierwszymi nagrodzonymi w kategorii Instytucja byli koordynatorzy prowadzonych od 2012 r. prac ekshumacyjnych na tzw. Łączce na warszawskich Powązkach Wojskowych – prof. Krzysztof Szwagrzyk i dr Andrzej Ossowski. Wyróżnienie za przywracanie tożsamości bohaterów i jednocześnie ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956 stało się w kolejnych latach drogowskazem, zgodnie z którym kapituła konkursu decydowała, kto otrzyma nagrodę. Honorowani są zarówno ci przypominający o ofiarach, jak i instytucje, które wpisują się w trend przełamywania, tak powszechnej do niedawna, pedagogiki wstydu. Przykładem takiego działania była praca nominowanego w 2018 r. Jakuba Kumocha (wówczas ambasadora RP w Bernie), który wraz z zespołem placówki przyczynił się do upowszechnienia wiedzy o roli polskich dyplomatów w ratowaniu Żydów podczas drugiej wojny światowej. Pokazanie historii tzw. grupy Ładosia i opublikowanie w kolejnych latach listy osób uratowanych przez polskich dyplomatów to bowiem element nowego sposobu mówienia o historii, który wreszcie pozwala Polakom szczycić się własnymi dokonaniami. – Dla mnie i dla moich ludzi ta nominacja była wielkim docenieniem naszej pracy – przyznaje sprawujący obecnie stanowisko szefa Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta Jakub Kumoch. Dyplomata dodaje, że takie wyróżnienia jak Strażnik Pamięci zachęcają do badań nad polską historią. – Do badania i pokazywania, że rzeczy, które wydawały się być może kiedyś detalami historii, mogą w pewnym momencie nabrać bardzo dużego znaczenia.

Jak podkreśla redaktor naczelny miesięcznika „Historia Do Rzeczy" Piotr Zychowicz, wśród nominowanych jest też wiele instytucji, które działają lokalnie, inwestując własne pieniądze i czas, aby upamiętniać ważne wydarzenia historyczne. – Moim oczkiem w głowie są organizacje skupiające świadków historii albo ludzi, którzy zostali przez historię w sposób tragiczny dotknięci – przyznaje historyk, wspominając o kilku wyróżnionych: Związku Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej 1945 r., Stowarzyszeniu Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu czy Stowarzyszeniu Rodzina Ponarska. – Lobbowałem za tymi nominacjami i cieszę się, że te osoby zostały docenione. One często poświęcają całe życie, żeby upamiętniać doświadczenia swoich rodzin, historię małych ojczyzn i kiedy są docenione, jest to dla nich ważne i wyjątkowe przeżycie – dodaje Zychowicz.

MECENASI HISTORII

W liście do organizatorów i uczestników gali Strażnik Pamięci w 2019 r. prezydent Andrzej Duda zwrócił uwagę na fundamentalne warunki, które muszą być spełnione, aby historia miała szansę trwać i być przekazywana. „Wskazują je trzy kategorie lauru: Twórca, Instytucja, Mecenas. Ze współdziałania tych trzech czynników rodzą się cenne przedsięwzięcia" – podkreślał, zwracając uwagę, że każde dzieło potrzebuje zarówno tych, którzy dla niego pracują, jak i tych, którzy wspierają je materialnie i finansowo. Trzecia kategoria Strażnika Pamięci jest więc poświęcona podmiotom publicznym lub komercyjnym, które w szczególny sposób materialnie

eprasa.pl d5f9371c43

wspierają dbałość o pamięć historyczną. – Kiedy wymyśliliśmy kategorię Mecenas, polskie firmy – nawet spółki Skarbu Państwa – z rezerwą patrzyły na pomysł wspierania działalności patriotycznej. Od tego czasu wiele się zmieniło, po 2015 r. ta płaszczyzna działalności firm jest czymś wręcz naturalnym. Dlatego staramy się, na ile to możliwe, doceniać tych, którzy robią to sami z siebie – tłumaczy Paweł Lisicki, zaznaczając przy tym, że dostrzegani są zarówno ci, którzy mogą zaoferować kilkanaście tysięcy złotych, jak i firmy inwestujące w promowanie historii miliony.

W pierwszym roku przyznawania nagrody wyróżniony został Bank Zachodni WBK, który angażował się finansowo we wsparcie wielu projektów historycznych, w tym wspomnianych prac na „Łączce" oraz produkcję serialu „Czas honoru". Podczas gali w 2013 r. podkreślono również osobiste zaangażowanie ówczesnego prezesa banku – Mateusza Morawieckiego, który później, już jako premier, gościł na uroczystościach wręczenia nagród. Jednak wśród wyróżnionych znajdują się nie tylko potężne firmy i spółki Skarbu Państwa, czego koronnym dowodem była nominacja Czesława Jamonta w kategorii Mecenas. Jamont, emeryt i kombatant, przez lata przeznaczał środki pieniężne, otrzymane jako odszkodowanie za niewolniczą pracę i przeprowadzane na nim pseudomedyczne eksperymenty w obozie koncentracyjnym Mauthausen, na cele charytatywne oraz budowę kościołów-pomników pamięci. Podczas gali w Zamku Królewskim został uhonorowany gorącymi owacjami.

STRAŻNIK WARTOŚCI

Poza trzema pierwotnymi kategoriami w tym roku po raz czwarty wręczona zostanie także nagroda Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM, przyznawana pod patronatem „Do Rzeczy". Wspólna inicjatywa tygodnika i Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka od 2019 r. podkreśla szczególne więzi łączące Warszawę i Budapeszt. – Są nią honorowane osoby, które – tak jak prof. Felczak – są silnie zaangażowane w życie publiczne i służbę społeczeństwu – tłumaczy dyrektor Instytutu dr hab. Maciej Szymanowski. – Osoby, które wykazały się głębokim patriotyzmem i nie przestraszyły się niesprzyjających okoliczności – dodaje.

Profesor Wojciech Roszkowski został uhonorowany za całokształt pracy naukowej FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Jarosław Marek Rymkiewicz został wyróżniony w 2017 r. w kategorii „Twórca" FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Laureaci wyróżnienia są niewątpliwie patriotami, którzy zwracają uwagę na zagrożenia dla społeczeństw – polskiego i węgierskiego. W 2019 r. był to ostrzegający przed propagandą ideologii LGBT abp Marek Jędraszewski, w 2020 r. walcząca o opartą na chrześcijańskim fundamencie Europę narodów minister sprawiedliwości Węgier Judit Varga, a rok później węgierski powstaniec 1956 r. i założyciel Solidarności Polsko-Węgierskiej Ákos Engelmayer. Jak podkreślił ostatni wyróżniony, „zawsze warto jest bronić własnych wartości". – Walka o najważniejsze z tych wartości jest nie tylko prawem, lecz także obowiązkiem każdego uczciwego człowieka – mówił Engelmayer.

Wraz z rozwojem DoRzeczy.pl stworzono również oddzielną Nagrodę Specjalną portalu, której laureatem zostało m.in. Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo. Spółka została odznaczona za wyjątkowe działania wobec warszawskich powstańców. W ramach akcji „Rachunek wdzięczności PGNiG" firma pokrywa opłaty za gaz bohaterów powstania warszawskiego.

POLACY ZAPATRZENI W SWOJĄ HISTORIĘ

Kim będą kolejni laureaci nagrody Strażnik Pamięci? Listę nominowanych osób i instytucji poznamy już w najbliższych dniach, natomiast uroczysta gala wręczenia nagród za rok 2022 odbędzie się 7 listopada. Jak jednak zapewnia redaktor naczelny „Do Rzeczy", pomimo przesunięcia środka ciężkości w debacie o patriotyzmie Strażnik Pamięci wciąż jest bardzo potrzebny. – W 2013 r. można było w większym stopniu dostrzec zagrożenie dla podstawowych idei – niepodległości państwa czy suwerenności. Dzisiaj głównym punktem zagrożenia jest nadal suwerenność, ale przede wszystkim w kategoriach jej rozmywania, zagrożenia wchłonięcia przez europeizm i paneuropeizm – tłumaczy Paweł Lisicki.

– Nic nie jest tak ważne dla narodu jak docenienie umiejętności opowiadania sobie i przekazywania sobie własnej historii. Oczywiście ta opowieść z czasem nieco się zmienia, ale wartością w tym przypadku jest pilnowanie, aby zmieniała się jak najmniej i jak najmniej podlegała bieżącym politycznym i kulturowym wpływom. Historia Polski jest piękną historią, warto o tym pamiętać – dodaje Piotr Gabryel.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Partnerzy główni: KGHM POLSKA MIEDŹ, PZU
Partnerzy: Fundacja, PGE, STRABAG TEAMS WORK., Lasy Państwowe, HUAWEI
Współorganizator: Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka, Zamek Królewski w Warszawie
Patronat medialny: TVP Telewizja Polska, Historia Do Rzeczy

eprasa.pl d5f9371c43

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNERZY GŁÓWNI: KGHM POLSKA MIEDŹ, PZU

WSPÓŁORGANIZATORZY: INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA

PARTNERZY: Fundacja PKO, STRABAG TEAMS WORK., PGE, Lasy Państwowe, HUAWEI

PATRONAT MEDIALNY: TVP TELEWIZJA POLSKA

eprasa.pl d5f9371c43

Ukraińcy w Polsce.
Próba pierwszego bilansu

Piotr Semka

Wizja siedmiomilionowej „inwazji" na nasz kraj wywoływała wiele obaw. Takie ugrupowania jak Konfederacja uczyniły zresztą z tego zagadnienia swój temat polityczny, prowadząc kampanię pt. „Stop ukrainizacji Polski". Czy mamy powody do obaw? Aby ustalić, jak wyglądają fakty, przeprowadziłem wiele rozmów z przedstawicielami służb imigracyjnych, wojewodami, reprezentantami mniejszości ukraińskich w Polsce i urzędnikami Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

FOT. ADOBE STOCK

Trwający od ośmiu miesięcy za naszą wschodnią granicą konflikt uczynił z Polski kraj uchodźczy. Nigdy wcześniej w tak krótkim czasie nasz kraj nie przyjął tak dużej liczby przybyszów z terenów objętych wojną. Osiem miesięcy, które mijają od rozpoczęcia najnowszej fazy wojny rosyjsko-ukraińskiej, to dobra okazja do próby oceny skali zjawiska i sytuacji przybyłych do Polski uchodźców (w wypadku osób, które przyjechały po 24 lutego – od 80 do 90 proc. kobiet i dzieci).

To wyzwanie w sposób zrozumiały wywoływało ogromne emocje. Wizja siedmiomilionowej „inwazji" na nasz kraj wywoływała wiele obaw. Takie ugrupowania jak Konfederacja uczyniły zresztą z tego zagadnienia swój temat polityczny, prowadząc kampanię pt. „Stop ukrainizacji Polski". W sieci pojawiły się nowo ukute fatalistyczne terminy: „Ukropol" czy „Ukropolin". Oskarżano władze Polski o to, że masowo przyjmując uchodźców, szykują Polsce „nowy Wołyń". Wyrażano obawy przed wyłonieniem się w Polsce ogromnej, nowej mniejszości narodowej, która miała wywołać konflikty podobne do tych, z którymi zmagała się II RP przed wojną. Słynna sprawa domniemanego ataku Ukraińców na Polaków w Warszawie, która potem okazała się fake newsem, pokazała, jak bardzo temat jest delikatny.

Aby ustalić, jak wyglądają fakty, przeprowadziłem wiele rozmów z przedstawicielami służb imigracyjnych, wojewodami, reprezentantami mniejszości ukraińskich w Polsce i urzędnikami Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Obraz,

eprasa.pl d5f9371c43

który wyłania się z tych rozmów, pokazuje, że obawy były na wyrost. Nie oznacza to jednak, że Polska może sobie pozwolić na brak prac nad jakąś dalekowzroczną polityką odnoszącą się do tych z Ukraińców, którzy zechcą pozostać w Polsce na stałe.

ILU WYJECHAŁO, ILU ZOSTAŁO?

Polska Straż Graniczna podaje, że od 24 lutego granice z Polską przekroczyło ponad 7 mln uchodźców. Ta liczba budziła największe obawy, ale osoby, które się na nią powoływały, często uznawały, że oznacza ona powiększenie się ludności Polski o 7 mln osób.

Tymczasem z tej sumy ok. 3 mln Ukrainek z dziećmi wróciło do kraju w momencie, gdy okazało się, że ich ojczyzna potrafi utrzymać armię rosyjską na stosunkowo stabilnej linii frontu. Dalsze półtora miliona wyjechało z Polski w świat; do Włoch, Wielkiej Brytanii, Kanady czy Ameryki wyjechało po ok. 100 tys. Są też kraje, które przyjmują, jak na skalę swojego potencjału demograficznego, bardzo duże grupy przybyszów znad Dniepru i Dniestru. Na Litwie, która liczy sobie ok. 3 mln mieszkańców, przebywa 100 tys. Ukraińców. Nieco mniej przyjęły Estonia i Łotwa.

Można więc podsumować, że w Polsce jest teraz ok 2,5 mln Ukraińców. Składają się na tę liczbę stara migracja i nowa. Stara emigracja, czyli obywatele ukraińscy, którzy przybyli do Polski w latach 2014–2022, liczy ok. 1,3 mln osób. Nowa emigracja, która przybyła do Polski i nie pojechała dalej, to ok. 1 mln 200 tys. ludzi. Około 400 tys. osób pobrało PESEL, który pozwala uczestniczyć w świadczeniach pomocowych ze strony państwa polskiego. Ilu Ukraińców powstrzymało się od pobrania numeru PESEL? Trudno orzec. To na pewno ci, którzy zastanawiają się, czy nie pojechać jednak do Niemiec lub wręcz za Atlantyk, do Kanady czy do USA.

Zainteresowanie opinii publicznej zwróciła niedawno uwaga Wojciecha Bakuna, prezydenta Przemyśla, który wyraził obawę, że narasta zjawisko turystyki z Ukrainy mającej nieuczciwie drenować Polskę ze świadczeń socjalnych. Urzędnicy państwowi, których pytam o możliwość takiej patologii, odpowiadają, że wykluczyć oczywiście takiego zjawiska nie można, ale wbrew obawom urzędnicy ZUS są w stanie wykryć nieprawidłowości. Przy dłuższej nieobecności świadczenia w Polsce zostają cofnięte, a ich ponowne uzyskanie jest bardzo żmudne i wymaga udowodnienia, że powrót do kraju związany był z naprawdę dramatycznymi sytuacjami losowymi. Sam prezydent Przemyśla poinformował, że prowadzone są prace w celu zmiany ustawy i uszczelnienia systemu pomocy rządowej udzielanej osobom, które przyjeżdżają z Ukrainy.

Pracujących uchodźców jest w Polsce ok. 400 tys. Płacą oni podatki i składki, odprowadzając do budżetu państwa ok. 10 mld zł rocznie

CZY UKRAIŃCY ŻYJĄ NA NASZ KOSZT?

Bartosz Marczuk, wiceprezes Polskiego Funduszu Rozwoju i były podsekretarz stanu w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, przedstawił niedawno dane oparte na badaniach GUS i Ministerstwa Rodziny. Wynika z nich, że 60 proc. przybyszów podjęło już pracę w Polsce. To odsetek bardzo wysoki, biorąc pod uwagę, że wśród uchodźców były osoby głęboko straumatyzowane tragediami wojennymi i zazwyczaj nieznające języka polskiego, który na wschodzie Ukrainy, skąd przybywało bardzo wielu uchodźców, w odróżnieniu od Lwowszczyzny, nie jest znany. Marczuk wskazuje: „Jest to wynik bardzo dobry, biorąc pod uwagę doświadczenia innych krajów, które przyjmują uchodźców z krajów ogarniętych konfliktami. W Niemczech podobny wskaźnik to 30 proc., czyli połowa tego, co w Polsce".

Jak wynika z danych Ministerstwa Rodziny nowi przybysze nie zabierają pracy Polakom. Marczuk wskazuje: „To nie jest tak, że ktoś zwalnia Polaka, żeby zatrudnić Ukraińca. Zastrzyk nowych pracowników na rynku pracy okazał się być błogosławieństwem dla wielu polskich przedsiębiorców". Faktem jest, że większość uchodźców to kobiety z dziećmi, a mimo to zdołały one wejść do pracy w magazynach, sprzedaży sklepowej oraz przy taśmach produkcyjnych w fabryce.

Przybysze z okresu po 24 lutego wypełnili luki na rynku pracy, które szacowane były na ok. 200 – 300 tys. miejsc. Oczywiście podejmowane prace są poniżej kwalifikacji. Według badań ok. 60 proc. przybyłych kobiet z dziećmi ma wyższe wykształcenie. Ale jednocześnie Ukrainki mają świadomość, że taka jest zawsze sytuacja imigrantów i że zawsze w takich wypadkach zaczyna się od pracy poniżej kwalifikacji. Swoje znaczenie ma brak nostryfikacji dyplomów i nieznajomość języka. Dla aktywizacji przybyszów zza wschodniej granicy korzystne było to, że przyjechali, gdy zaczęły się prace sezonowe w rolnictwie, hotelarstwie i gastronomii. Pytanie, czy wobec końca sezonu osoby te odnajdą się na jesienno-zimowym rynku pracy.

Pewne kontrowersje wywołała wypowiedź premiera Mateusza Morawieckiego, że w Polsce pracuje ok. miliona Ukraińców. Polski premier połączył liczbę starych uchodźców z nowymi. Tych nowych pracujących jest ok. 400 tys. Płacą oni podatki i składki ubezpieczeniowe, odprowadzając do budżetu państwa ok. 10 mld zł rocznie. Dla odmiany szacowane koszty świadczeń „500+", „300+", wyprawki i kapitału opiekuńczego dla nich to rocznie 3,2 mld zł. Nawet jeżeli ktoś obrusza się, że jest to rozdawnictwo pieniędzy, to ogólny bilans wydaje się pozytywny.

Według badań przeprowadzanych wśród społeczności ukraińskiej w Polsce od 30 do 40 proc. przybyszów deklaruje, że chce tu zostać na stałe. Wynika to z odkrycia, szczególnie przez osoby przybyłe ze wschodu Ukrainy, że w odróżnieniu od ich dotychczasowych ukraińskich doświadczeń polskie urzędy są przyjazne, załatwienie wielu spraw w urzędach przebiega znacznie szybciej. Szczególnie dla kobiet, co pojawia się w wielu ankietach, ważne jest, że są traktowane ze znacznie większym szacunkiem niż na Ukrainie. Dopiero z rozmów z kobietami, które przybyły z Charkowa, Doniecka czy Ługańska, można odkryć, jak dolegliwe dla nich były obyczaje w wielu prywatnych ukraińskich firmach, gdzie właściciele są przekonani, że mogą sobie pozwalać wobec kobiet na niestosowne komentarze czy mniej lub bardziej namolne próby zalotów. Stosunkowo bez większych konfliktów weszły do polskich szkół dzieci ukraińskie.

Bardzo korzystny dla sytuacji naszego kraju był fakt, że zadziałały tzw. sieci emigracyjne. Oznacza to, że starzy emigranci pełnili rolę bardzo umiejętnych przewodników w poruszaniu się w obrębie polskiego społeczeństwa. To miejscowi zazwyczaj załatwiali nowo przybyłym pracę. Jak wskazuje Bartosz Marczuk, bez istnienia sieci imigracyjnych nie osiągnęlibyśmy tak fenomenalnego wyniku liczby pracujących.

Według danych, które posiadają instytucje rządowe, w polskich szkołach uczy się 180 tys. dzieci, a ogólna liczba dzieci w wieku szkolnym to ponad 400 tys.

eprasa.pl d5f9371c43

W wielu wypadkach matki nie decydują się na posłanie dzieci do szkoły, nie będąc pewnymi, czy nie wrócą do kraju. Akulturacja ukraińskich dzieci w polskich szkołach przebiega według kuratorów stosunkowo dobrze. Wbrew obawom, że będą wybuchać spory między ukraińskimi a polskimi dziećmi o stosunek do takich postaci jak Stepan Bandera czy Bohdan Chmielnicki, wśród uczniów ukraińskich dominuje raczej przekonanie, że warto poznać polską wizję historii i nie wchodzić w godnościowe spory. Ogromną pomocą na tym polu są podcasty przygotowywane przez Muzeum Historii Polski wraz z grupą zapaleńców ze środowisk polsko-ukraińskich, które przedstawiają pozytywne przykłady z koegzystencji Polaków i Ukraińców, w tym współżycie w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Podcasty te są pomyślane jako materiały pomocnicze dla dzieci ukraińskich uczących się w polskich szkołach. Pisane są przez doświadczonych pedagogów ukraińskich, mających za sobą dłuższy pobyt w Polsce, i są dostosowane do świata pojęć i wizji historii dzieci przybyłych z Ukrainy.

WSZĘDZIE DOBRZE, ALE W POLSCE NAJLEPIEJ

Dobrym kontrapunktem dla doświadczeń polskich są doświadczenia Ukraińców w Niemczech. Na początku rosyjskiej inwazji Niemcy bardzo ochoczo pomagali uciekającym spod rakiet i pocisków Putina. Jednak w wypadku Niemiec ten entuzjazm szybko ostygł. Polscy gospodarze natomiast mogliby być zaskoczeni treścią skarg, które przedstawiciele niemieckich samorządów miast i wsi kierują dla władz federalnych w sprawie dodatkowych nakładów na pomoc dla uchodźców. Do końca czerwca br. w agencjach pracy, w biurach pośrednictwa i innych urzędach gmin zarejestrowało się 353 tys. Ukraińców, a ponad 146 tys. ukraińskich dzieci i młodzieży uczęszcza do niemieckich szkół.

To, co zraża wielu Ukraińców przebywających w Niemczech, to traktowanie ich według podobnych procedur, co uchodźców z Afryki i Azji. Ukraińskie kobiety, które trafiły do obozów przejściowych, zderzały się często z agresywnymi, niechętnymi i pogardliwymi dla kobiet zachowaniami przybyszów z krajów muzułmańskich. A urzędnicy niemieccy stosownie do zasad poprawności politycznej bardzo dbają, by traktowanie Ukraińców i Ukrainek nie miało żadnych znamion innego traktowania niż w wypadku przybyszów z Afganistanu czy Somalii. Można więc powiedzieć, że w wypadku Polski Ukraińcy skorzystali z faktu zatrzymania przez polskie służby graniczne fali przybyszów z krajów Trzeciego Świata poprzez kanał białoruski. Trudna do przecenienia jest też łatwość komunikacji Polaków z Ukraińcami, podobieństwa słowiańskich języków.

Akulturacja ukraińskich dzieci w polskich szkołach przebiega według kuratorów stosunkowo dobrze. Wśród uczniów ukraińskich dominuje przekonanie, że warto poznać polską wizję historii i nie wchodzić w godnościowe spory

W wypadku Niemiec, gdy uchodźcy zarejestrowali się już np. w dużych miastach, nie mogą oni po prostu przeprowadzić się na wieś do innego kraju związkowego, ponieważ wtedy mogliby nie otrzymać pomocy socjalnej. Choć sytuacja mieszkaniowa w mniej obleganych landach może być o wiele lepsza. Oczywiście żaden z urzędników niemieckich nie wypowie tego wprost, ale oczekiwano, że znacznie więcej Ukraińców przybędzie do Niemiec z fali uchodźczej, która wpłynęła do Polski. Ta nadwyżka działa na korzyść polskiej gospodarki. Dla polskich przedsiębiorców, którzy potrzebują pracowników do wielu funkcji niewymagających wysokich kwalifikacji, fala uchodźców z Ukrainy jest realną korzyścią.

PYTANIE, CO DALEJ

Zazwyczaj jest tak, że w krótkim planie wiele problemów z uchodźcami jest zamrożonych. Przybysze są zadowoleni z wyższego poziomu kultury urzędniczej i organizacji społecznej niż w swoim kraju, silna też jest pamięć o dobrodziejstwach wynikających z gościnności kraju przyjmującego przybyszów. Problemy pojawiają się zazwyczaj po dwóch, trzech latach. Wtedy kończy się tymczasowość, a zaczyna się perspektywa długoletniego pobytu, rosną aspiracje i oczekiwania wobec państwa, które przyjęło uchodźcę. Po latach pojawia się pokolenie dzieci, które urodziły się już w kraju uchodźczym i nie zawsze potrafią dostosować się do poziomu, który zadowalał rodziców. Naturalne jest wtedy pojawiające się poczucie obcości i ukrytych barier w ścieżkach kariery.

Ale wielu Polaków, którzy obawiają się powstania ogromnej mniejszości ukraińskiej w Polsce, zaskoczyć mogłyby obawy, które z kolei czasami pojawiają się w dyskusjach na Ukrainie. Tam zdarzają się głosy ubolewania, że spora część ukraińskich dzieci, która poszła do polskich szkół, z czasem przestanie mówić w rodzimej mowie i ulegnie szybkiej polskiej asymilacji. Jeszcze inni Ukraińcy w swoich wewnętrznych dyskusjach obawiają się, że wojna wydrenuje ich kraj z osób o wyższych kwalifikacjach. Krótko mówiąc, że nie będzie komu odbudowywać Ukrainy po spodziewanym zakończeniu wojny. Cytowane są głosy przyjaciół i krewnych, którzy w szczerych rozmowach przyznają, że nie mają ochoty wracać do Charkowa czy Chersonia, nawet jeżeli zakończy się wojna, gdyż są sceptyczni co do zdolności ukraińskiej administracji do zmiany swoich niedobrych nawyków. Lęk, że Ukraina po chwilowej antyrosyjskiej wojennej mobilizacji wróci w koleiny kraju częściowo upadłego, jest silnie obecny w wielu dyskusjach internetowych.

Każde zjawisko społeczne ma oczywiście swój czarny margines. W wypadku Polski to osoby, które skorzystały z wojennego zamieszania, aby zniknąć, mając niedobrą hipotekę rozmaitych grzeszków w poprzednim ukraińskim życiu. Polskie organy ścigania niechętnie wypowiadają się na temat liczby wypadków dotyczących łamania w Polsce prawa przez przybyszów z Ukrainy. To z kolei wywołuje zjawisko poczty pantoflowej, w której podawane są informacje o rzekomo przemilczanych w mediach przypadkach agresywności przybyszów. Jednak moje rozmowy z urzędnikami odpowiedzialnymi za imigrację wskazują, że takich przypadków nie ma zbyt wiele jak na liczbę Ukraińców w Polsce.

Przyszłe tendencje ilościowe w ruchu na granicy polsko-ukraińskiej zależeć też będą od przyszłych losów wojny. Natomiast tego, jak rozwinie się konflikt i kiedy ulegnie zakończeniu, nie można w żaden sposób przewidzieć. Ale można już stwierdzić jedno. Na tle bardzo alarmistycznych obaw przed zalewem Polski przez Ukraińców to wzajemne relacje Polaków z uchodźcami jawią się jako racjonalne i wzajemnie produktywne. To całkiem sporo jak na dramatyzm sytuacji w tym roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

Narodowy Bank Polski informuje

Ważny komunikat NBP

W przeciągu niecałego tygodnia (7–12.10.2022) pojawiły się 132 materiały w prasie, telewizji i radiu, nawiązujące do wypowiedzi dwóch z dziesięciu członków Rady Polityki Pieniężnej. Temat był tak intensywnie komentowany w mediach, że zapoznał się z nim więcej niż co drugi Polak. Kampania medialna tego rozmiaru może trwale ingerować w wizerunek NBP i wpływać na stabilność systemu finansowego kraju.

Przy tak dużej sile medialnej, główny przekaz większości Rady nie ma szansy przebicia, a decyzje rynkowe zapadać mogą na bazie informacji, pod którymi nie podpisuje się ani większość RPP, ani NBP. To jest wyjątkowe zaburzenie komunikacji – działania zniekształcające obraz rzeczywistości w stylu, który nie ma nic wspólnego ze standardami, do jakich dotąd byliśmy przyzwyczajeni.

Możemy zabiegać o prostowanie nieprawdziwych informacji, weryfikację w kilku źródłach, ale niewiele to zmieni – pierwszy raz w historii NBP brutalna i bezpardonowa polityka zawitała w RPP i wykorzystała siłę autorytetu, jaki przez lata budowali członkowie Rady.

Na kłamstwach nie uda się budować niczego konstruktywnego. Debata zeszła na to, czy drzwi się da otworzyć, czy działa telefon, czy da się dobrze zjeść i dostać zwrot za benzynę – do tego codzienne wywiady i wpisy w mediach społecznościowych. Setki analiz dostarczonych z NBP, opracowywanych przez wybitnych ekonomistów, pozostają nietknięte. Płacone są bardzo wysokie wynagrodzenia (ponad 37 tys. PLN miesięcznie) za studiowanie analiz i walkę z inflacją, tymczasem lepiej się pokłócić z większością tłumacząc, że nie można czytać analiz, bo ktoś blokuje klamki i nie odbiera telefonów, jak potrzebne są objaśnienia?

W historii NBP było np. tak, że za Prezesa M. Belki trzech członków RPP było z odmiennej proweniencji ideowej (prof. Z. Gilowska, prof. A. Glapiński i prof. A. Kaźmierczak – mianowani przez Prezydenta L. Kaczyńskiego przy rządzie D. Tuska i prezesurze M. Belki, byłego premiera w rządzie SLD). Jednak ci członkowie RPP nigdy nie naruszyli zasad kolektywnego działania RPP i nigdy nie atakowali Prezesa NBP, ani innych członków RPP. Byli po prostu dobrze wychowani i znali zasady współżycia społecznego oraz szanowali dobro instytucji tak ważnej, jak Narodowy Bank Polski. Pamiętajmy, że choć RPP jest organem NBP i jej członkowie są wynagradzani przez bank, to jednak członkowie Rady nie są – zgodnie z prawem – pracownikami NBP i nie przysługują im z tego tytułu żadne prawa pracownicze.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl d5f9371c43

Donald Tusk zażądał powołania komisji śledczej w sprawie rzekomej sprzedaży nagrań z afery podsłuchowej Rosjanom
FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Radykałowie opozycji

Kamila Baranowska

Najtwardszy elektorat opozycji radykalizuje się w ekspresowym tempie, kolportując coraz bardziej spiskowe teorie i oczekując podobnego radykalizmu od „swoich" polityków, a także mediów. Coś, co miało być atutem, staje się obciążeniem

Politycy z obu stron sporu przyjęli już za pewnik, że o wyniku wyborów parlamentarnych w 2023 r. ostatecznie zdecyduje rozgrywka między najtwardszymi elektoratami dwóch obozów – PiS i anty-PiS. Wygra ten, komu uda się zmobilizować więcej swoich radykałów. Dlatego spór będzie się zaostrzał, bo nic tak nie działa na zaangażowanych wyborców jak niechęć do politycznego przeciwnika. Wyborcy umiarkowani, niezdecydowani liczą się w tej rozgrywce mniej.

Dotąd utarło się, że żelazny elektorat to atut przede wszystkim PiS. To wyborców tej partii nazywano pogardliwie „wyznawcami", z automatu niejako wyborców drugiej strony zaliczając do grona tych, którzy w swoich politycznych wyborach kierują się wyłącznie chłodnym osądem. Siedem lat w opozycji sprawiło jednak, że i po drugiej stronie zaczęły funkcjonować zjawiska, z których do tej pory szeroko rozumiany obóz liberalno-lewicowy się wyśmiewał i których kompletnie nie doceniał. Coś, co śmieszyło i było powodem do drwin, gdy robił to PiS, będąc w opozycji, dziś jest powielane i chwalone jako przejaw obywatelskiego zaangażowania i chętnie wykorzystywane w politycznej walce.

TEORIE SPISKOWE

Świetnym tego przykładem jest ostatnia historia związana z reaktywacją afery taśmowej (zwanej też podsłuchową) sprzed ośmiu lat. Tygodnik „Newsweek" opublikował tekst, który miał wstrząsnąć polską sceną polityczną. „Nagrania sprzedane Rosjanom" – głosił tytuł, bez znaku zapytania, bez wątpliwości. Cały tekst opierał się na zeznaniach świadka Marcina W., który miał twierdzić, że Marek Falenta, na którego zlecenie nagrywano najważniejszych polityków w państwie, sprzedał te nagrania Rosjanom. Zarzut dziennikarza dotyczył m.in. tego, że nikt w prokuraturze nie podjął tego wątku i nie potraktował tych zeznań serio.

Po tekście „Newsweeka" zawrzało nie tylko w szeregach opozycji, lecz także jeszcze bardziej w szeregach jej najgorętszych zwolenników. Nikt nie miał wątpliwości, że ta publikacja to „ostateczny koniec PiS", „największa kompromitacja" i „niepodważalny dowód zdrady państwa". Publikacja wpisywała się bowiem idealnie w sączoną od dłuższego czasu narrację opozycji o prorosyjskich sympatiach PiS (żeby było jasne, PiS zarzuca proputinizm Platformie i Tuskowi). Narrację, której nikt poza „Silnymi Razem", bo tak określają się najtwardsi zwolennicy opozycji, nie traktuje serio. Bo trudno traktować serio zarzut o prorosyjskości PiS, gdy Polska, rządzona przez Zjednoczoną Prawicę, jest na drugim miejscu po USA w rankingu mierzącym wartość wysłanej na Ukrainę broni (według analizy niemieckiego think tanku Instytutu Gospodarki Światowej z Kilonii), o pomocy humanitarnej nawet nie wspominając.

Gdy Donald Tusk zażądał powołania komisji śledczej w sprawie rzekomej sprzedaży nagrań Rosjanom, na nic zdało się przypominanie, że w 2015 r. Platforma takiej komisji nie chciała. Gdy domagał się jej PiS, Tusk i jego partia zagłosowali przeciw. Oliwy do ognia dolał sam Tusk, który na konferencji prasowej grzmiał o rosyjskich powiązaniach PiS. – Jesteśmy poruszeni materiałem „Newsweeka", który przypomniał stare i ujawnił nowe informacje na temat podsłuchów pana Falenty i zaniechań w sprawie śledztwa, które powinno wyjaśnić udział rosyjskich służb specjalnych i rosyjskiej mafii w tej sprawi – mówił Tusk. I oskarżał rząd: – Nie chcecie, nie potraficie, boicie się wyjaśnić wszystkie kluczowe elementy tej

eprasa.pl d5f9371c43

afery, a to jest sprawa fundamentalnego bezpieczeństwa Polski, wyjaśnienie od spodu relacji między rosyjskimi służbami, politykami PiS, aferzystami, którzy zarabiali na imporcie rosyjskiego węgla.

Tekst „Newsweeka" odpowiadał na potrzebę wytłumaczenia sobie, jak to możliwe, że PiS w 2015 r. wygrał wybory i rządzi do dziś. Okazuje się, że politykom opozycji i ich zwolennikom dużo łatwiej jest przyjąć to, że za wygraną PiS stali Rosjanie, niż to, że Platforma przegrała na własne życzenie, a powodów, które się do tego przyczyniły, było co najmniej kilka.

Na Twitterze, gdzie sympatycy opozycji są najbardziej widoczni, zaroiło się jednak także od pełnych rozczarowania wpisów, że temat nie poruszył opinii publicznej tak, jak powinien. Padały stwierdzenia, że w każdym innym kraju rząd podawałby się już do dymisji, a u nas cisza. I na nic zdawały się próby wyjaśniania, że tekst oparty jest na wątłych podstawach – zeznaniach wyłącznie jednego świadka, którego wiarygodność pozostawia wiele do życzenia.

GAMBIT ZIOBRY

Jak się okazało trzy dni później, Zbigniew Ziobro ujawnił inne zeznania Marcina W. – dotyczące samego Tuska. Ten sam człowiek, którego przed chwilą uwiarygadniał były premier, zeznał, że wręczył mu łapówkę (za pośrednictwem syna Michała Tuska) w wysokości 600 tys. euro i w ogóle często wręczał, na polecenie Falenty, łapówki ówcześnie rządzącym.

Tusk wraz z Platformą wpadli we własne sidła – tak bardzo chcieli przypodobać się własnemu elektoratowi, w którym publikacja „Newsweeka" robiła furorę, że dali się wpuścić w maliny i będą mieli duży problem, by to wszystko teraz odkręcić. Pomijając już fakt, że sam pomysł powrotu do afery taśmowej jest dla Platformy dość ryzykowny. Ale czego się nie robi dla wyborców, którzy mają swoje oczekiwania i których radykalizm trzeba pielęgnować?

Zabawne jest jedynie to, że dziś ci sami ludzie, którzy są w stanie uwierzyć w każdą, nawet najbardziej absurdalnie brzmiącą teorię spiskową, kiedyś wyśmiewali się ze spiskowych teorii kolportowanych przez zwolenników PiS. Patrząc na działalność opozycji i jej sympatyków w ostatnich latach, ciężko się oprzeć wrażeniu déjà vu. Wszystko to, do czego dziś wzywają przeciwnicy PiS, widzieliśmy już lata temu… u zwolenników PiS. Na naszych oczach opozycja przejmuje praktyki, które, będąc w opozycji, stosował PiS.

ŚLADAMI PIS

Znajomo brzmią dziś ostrzeżenia przed fałszowaniem wyborów i apele o powoływanie własnych komitetów, które mają pilnować komisji wyborczych. Z tym że kiedyś przestrzegał przed tym Jarosław Kaczyński, przyczyniając się do powstania obywatelskiego Ruchu Kontroli Wyborów, a dziś przestrzega przed tym Tusk. Lider Platformy Obywatelskiej zarzucił, że Kaczyński, mówiąc o potrzebie większej transparentności wyborów, chce „podważyć wiarę Polaków w sens wyborów wtedy, kiedy wygra opozycja". Dodał, że jest to metoda, którą stosował były amerykański prezydent Donald Trump. – Jest to wstęp do agresywnej, niebezpiecznej i podważającej fundamenty demokracji polityki przez najbliższe miesiące. Zapewnił jednak, że jego środowisko polityczne zorganizuje obywatelską kontrolę wyborów. – Nie po to, żeby zmienić sposób liczenia, tylko żeby w każdym lokalu wyborczym byli ludzie, którzy będą pilnowali, patrzyli na ręce wszystkim, którzy za to nowe liczenie będą chcieli się zabrać – powiedział. Brzmi znajomo, prawda?

Równie znajomo wygląda cały organizowany oddolnie ruch mający na celu tworzenie społecznego zaplecza Platformy. Tworzone po utracie przez Platformę władzy Kluby Obywatelskie były jawnie organizowane na wzór klubów „Gazety Polskiej" czy Rodzin Radia Maryja. Tych samych, z których regularnie wyśmiewali się niegdyś sympatycy Tuska.

Kiedyś wyborców Platformy śmieszyły i raziły okładki „Gazety Polskiej" z kolejnymi teoriami dotyczącymi zamachu w Smoleńsku, którym przyklejano łatkę szalonych i spiskowych. Dziś ci sami ludzie ze śmiertelną powagą czytają wywody Tomasza Piątka, analizują tworzone przez niego egzotyczne sieci powiązań oraz dają wiarę sensacyjnym okładkom „Newsweeka".

I podobnie jak dawniej sympatycy PiS o wszelkie niepowodzenia popieranej przez siebie partii oskarżali nieprzychylne prawicy media, tak dziś wyznawcy obozu anty-PiS całe zło widzą w tych mediach, które niewystarczająco mocno atakują Zjednoczoną Prawicę, czyli w symetrystach. W ostatnich dniach boleśnie przekonał się o tym choćby dziennikarz TVN 24 Konrad Piasecki, którego wywiad z posłanką PO Izabelą Leszczyną został uznany za nieprawomyślny. Piasecki zadał jej bowiem pytanie, czy np. w sprawie KPO opozycja mogłaby skierować do KE wezwanie, by ta „darowała polskiemu rządowi niedotrzymanie standardów", przymknęła oko na formułowane zarzuty i wypłaciła pieniądze, bo są one w kraju niezwykle potrzebne.

Oprócz steku oskarżeń o „wysługiwaniu się PiS", które zalały portale społecznościowe, pojawiły się także apele o usunięcie Piaseckiego z pracy. Jeśli chodzi o dziennikarzy, to każdy wyłom w linii bezwzględnego popierania opozycji jest traktowany jak zdrada. Regularnie można przeczytać o konieczności rozliczenia mediów oskarżanych o symetryzm po wygranych przez opozycję wyborach. Środowisko „Silnych Razem" do dziś płacze po Tomaszu Lisie, nie przyjmując do wiadomości, że został on zwolniony z powodów innych niż polityczne.

Nie widać jednak, by do polityków opozycji docierało, że stali się zakładnikami wyhodowanych przez siebie radykałów, a im bardziej spełniają ich oczekiwania, tym bardziej zniechęcają do siebie całą resztę, która przecież do wygranej jest im także potrzebna. Mobilizacja swojego twardego elektoratu jest kluczowa, ale pozyskiwanie innych wyborców jest nie mniej istotne.

Jarosław Kaczyński także mierzył się z tym problemem przed 2015 r. Lata spędzone w opozycji plus politycznie ogrywana sprawa Smoleńska wytworzyły specyficzny typ elektoratu, który żądał rozliczeń, kolportował spiskowe teorie, a winnych porażek upatrywał w dziennikarzach i zmowie mediów. PiS potrafił jednak w 2015 r. wyjść do przodu i zwrócić się w kierunku pozostałych wyborców, spoza PiS-owskiej bańki. Trafił do nich konkretnymi obietnicami, propozycjami społecznymi i świeżymi nazwiskami, tak różnymi od tych, które dotąd kojarzyły się z tą partią. Co nie znaczyło wcale, że zapomniał o swoich radykałach. Po prostu zmienił proporcje, jeśli idzie o to, w jaki sposób i do kogo kieruje swój przekaz.

Nie widać, by opozycja wyciągnęła wnioski z tamtej, dokonanej przez PiS zmiany. Wręcz przeciwnie, z każdym kolejnym tygodniem rzuca się coraz mocniej w wir spełniania oczekiwań „swoich" radykałów, których traktuje jak najcenniejszy kapitał, nie widząc, że stają się coraz większym obciążeniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

Unia dwóch prędkości płatniczych

Jakub Wozinski

Perspektywa zamrożenia unijnych funduszy nie byłaby dla rządu aż tak straszna, gdyby prowadził bardziej zdyscyplinowaną politykę finansową. Nadwyrężając stan finansów publicznych uczynił Polskę szczególnie podatną na stosowany przez Brukselę szantaż

Trwająca od wielu miesięcy epopeja związana ze wstrzymaniem należnych Polsce środków w ramach Krajowego Planu Odbudowy (24 mld euro dotacji i 12 mld euro pożyczek) mogła się długo wydawać swego rodzaju przeciąganiem liny, które i tak zaszło zdecydowanie za daleko, gdyż naraziło polskie państwo na wymierne straty. W reakcji na postawę Brukseli rząd postanowił nawet przejściowo, że sam sfinansuje część projektów związanych z KPO przy pomocy Polskiego Funduszu Rozwoju, przeznaczając na ten cel 12,5 mld euro. W ten sposób pieniądze, które miały pierwotnie służyć do przeciwdziałania skutkom COVID-19, zostały przesunięte na ratowanie wizerunku Unii Europejskiej.

DZIURA NA 75 MLD EURO

Obecnie wiele wskazuje na to, że rząd Morawieckiego będzie musiał prefinansować projekty na zdecydowanie większą sumę, gdyż rzecznik Komisji Europejskiej Stefan de Keersmaecker zapowiedział, iż do czasu spełnienia żądań związanych z tzw. przestrzeganiem reguł praworządności Polska może nie otrzymać nawet 75 mld euro (ok. 360 mld zł) zapisanych jej w budżecie na lata 2021–2027 w ramach polityki spójności, a być może nawet kolejnych 31 mld euro z polityki regionalnej.

Rozkładając konsekwencje tej decyzji na czynniki pierwsze, uzyskujemy potencjalny ubytek rzędu ok. 51,5 mld zł rocznie. To spora kwota, ale pamiętać należy o tym, że Polska dokłada się do unijnego budżetu w coraz większym zakresie i jej składka stale rośnie. W obecnym siedmioletnim budżecie zapisano, że polskie państwo będzie płaciło rocznie ok. 30 mld zł, których wpłatę przy ewentualnej eskalacji konfliktu można by teoretycznie zawiesić. Wówczas jednak Bruksela odpowiedziałaby zapewne całkowitym wstrzymaniem wypłaty wszystkich środków, które można szacować na ok. 85 mld zł rocznie. Ostatecznie i tak trzeba więc się zmierzyć z luką wynoszącą co najmniej ponad 50 mld zł.

Wstrzymanie płatności na tak dużą skalę trzeba niestety rozpatrywać jako cios o naprawdę dużej sile rażenia. Siła ta jest jednak wprost proporcjonalna do skali rozchwiania finansów publicznych i całej gospodarki, której dopuścił się gabinet Morawieckiego. Mimo że w ustawie budżetowej na przyszły rok zapisano deficyt wynoszący 68 mld zł, w rzeczywistości (uwzględniając wszystkie jednostki pozabudżetowe obsługiwane głównie przez Bank Gospodarstwa Krajowego) zdecydowanie przekroczy on 200 mld zł (co stanowi ok. 4,5 proc. PKB). W następstwie polityki rządu koszty zadłużania państwa znacząco się podniosły – rentowność obligacji 10-letnich wzrosła w ciągu zaledwie roku z ok. 1,4 proc. do ponad 8 proc. obecnie. Oznacza to, że szukając środków, które wypełniłyby lukę po zamrożonych przez Brukselę funduszach, rząd byłby skazany albo na oficjalnie zadłużanie się na coraz gorszych warunkach, albo na wyprowadzanie coraz większych kwot poza budżet. Oba rozwiązania przynieść mogą jedynie coraz większą erozję wiarygodności kredytowej polskiego państwa.

Gdyby przez ostatnie lata rząd gospodarował mądrze, nie trwonił pieniędzy na zbędne programy i pozostawił sobie odpowiedni finansowy bufor na konflikt z Brukselą – który można było przewidzieć już po wyrażeniu przez Mateusza

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. ADOBE STOCK

Morawieckiego zgody na mechanizm warunkowości 2020 r. – perspektywa utraty środków z unijnego budżetu byłaby zdecydowanie mniej dotkliwa. Obecnie jednak wiąże się ona ze znacznymi kłopotami na wielu różnych odcinkach.

Jednym z nich jest choćby wpływ na słabnącą nieustannie złotówkę. Zamrożenie miliardów z unijnych funduszy może niestety mocno wpłynąć na spadek aktywności gospodarczej w całym kraju w momencie, gdy gospodarka broni się wciąż przed ostatecznym popadnięciem w recesję. Uwadze inwestorów z pewnością nie umknie to, że w polskiej gospodarce może się pojawić wielomiliardowy wyłom, i będą kontynuowali ucieczkę od waluty, która w takiej konfiguracji polityczno-ekonomicznej nie zapewnia szczególnie różowych perspektyw. Już same pogłoski o tym, że Polska może mieć ograniczony dostęp do unijnych funduszy, spowodował, że polska waluta ponownie osłabiła się względem najmocniejszych walut świata.

WĘGIERSKI PRECEDENS

Swego rodzaju zapowiedzią tego, co może się stać u nas, jest sytuacja na Węgrzech. W przypadku kraju rządzonego przez Viktora Orbána Komisja Europejska nie tylko wstrzymała wypłatę 7 mld euro z Funduszu Odbudowy, lecz także we wrześniu dodatkowo zagroziła zamrożeniem dodatkowych 7,5 mld euro z polityki spójności. Razem stanowi to ponad 8 proc. węgierskiego PKB, co w zrozumiały sposób odbiło się mocno na kursie forinta, który stracił na wartości najbardziej spośród wszystkich walut naszego regionu. W przypadku Węgier coraz bardziej realne staje się jednak odblokowanie unijnych środków jeszcze przed końcem roku.

Węgry za brukselski szantaż finansowy zapłaciły także wyższą niż gdzie indziej inflacją, która we wrześniu przebiła już psychologiczną barierę 20 proc. i wymusiła na banku centralnym dużo agresywniejsze podwyżki stóp procentowych, które sięgają już 13 proc. W tym kierunku może podążyć także Polska, mimo że same działania banku centralnego bez odpowiedniego współdziałania z rządem zdają się nie mieć aż tak wielkiego wpływu na stopę inflacji.

Dla rządu Zjednoczonej Prawicy walka o unijne fundusze ma także szczególne znaczenie ze względu na to, że odpowiadają one za nawet 60 proc. finansowania wszystkich inwestycji publicznych. Kulejący od samego momentu objęcia władzy wskaźnik inwestycji był trzymany na jako takim poziomie głównie za sprawą środków rozdysponowywanych przez Brukselę. Gdyby miały zostać teraz ograniczone lub wstrzymane, odbiłoby się to negatywnie na kondycji całej gospodarki.

CIOS W TRUDNYM MOMENCIE

Komisja Europejska zdecydowała się wyprowadzić cios w momencie, który jest dla polskiej gospodarki i polskiego państwa szczególnie trudny. Ponosząc znaczne koszty wynikające z goszczenia na swoim terytorium kilkumilionowej masy uchodźców oraz wywołanego błędnymi politycznymi decyzjami kryzysu energetycznego, Polska stała się jeszcze bardziej podatna na wszelkiego rodzaju wstrząsy. Rząd stara się stworzyć wrażenie, że jest w stanie poradzić sobie niemal z każdym wydatkiem, ale niestety możliwość beztroskiego zadłużania właśnie się kończy.

Rok 2020 stał w Polsce pod znakiem długo niespotykanych ekscesów w zakresie polityki fiskalnej i monetarnej, które w sporej mierze zaowocowały później nagłym wzrostem inflacji. Zamiast dążyć za wszelką cenę do uzdrowienia finansów publicznych, rząd uznał jednak, że trwająca wojna usprawiedliwia podejmowanie nadzwyczajnych środków. Zapomniał przy tym najwyraźniej, że Komisja Europejska wcale nie zakopała wojennego topora i będzie się starała przeprowadzić kolejny atak, kiedy tylko pojawi się ku temu odpowiednia okazja. Rządzącym nie dał niestety do myślenia nawet fakt, że Bruksela nie przekazała Polsce żadnej większej sumy na pomoc uchodźcom z Ukrainy, choć pierwotnie obiecała zupełnie co innego.

Premier Morawiecki ma teraz twardy orzech do zgryzienia, lecz to właśnie jego trzeba obarczyć główną odpowiedzialnością za obecny stan rzeczy. To przecież on wyraził zgodę na uruchomienie mechanizmu warunkowości przy wypłacie unijnych funduszy, przyzwalając tym samym na precedens, który zachęcił eurokratów do dużo bardziej zuchwałych poczynań. Również na Morawieckim spoczywa odpowiedzialność za to, że Polska została doprowadzona do stanu, w którym groźba wstrzymania wypłaty unijnych funduszy posiada tak wielki ciężar gatunkowy. Premierowi łatwo przychodzi zwalanie winy na Władimira Putina, ale prezydent Federacji Rosyjskiej nie przejął jeszcze władzy nad polskim budżetem i bankiem centralnym.

Przy okazji zamrożenia Polsce wielomiliardowych funduszy warto także po raz kolejny zastanowić się, na ile ich wydatkowanie jest rzeczywiście adekwatne i zgodne z polskimi interesami. Aż 30 proc. unijnego budżetu na lata 2021–2027 i 37 proc. środków z Funduszu Odbudowy przeznaczane są na politykę klimatyczną, która obecnie stanowi jeden z głównych powodów nie tylko kryzysu energetycznego, lecz także samej galopującej w coraz szybszym tempie inflacji. To właśnie współudział w unijnej agendzie zeroemisyjności przyczynił się walnie do tego, że nasza rodzima gospodarka chwieje się właśnie w posadach, a tysiące firm drży o przetrwanie.

Dla obozu Zjednoczonej Prawicy wielkim politycznym testem będzie nie tyle doraźne rozwiązanie obecnego sporu i odblokowanie należnych Polsce środków, ile przygotowanie długofalowej strategii uniezależnienia się od pozostających do dyspozycji Brukseli dotacji. Naiwne postrzeganie funduszy unijnych jako środka umożliwiającego szybkie doścignięcie państw zachodnich musi wreszcie zostać zastąpione bardziej realistyczną oceną. Skoro możliwe było ekspresowe uniezależnienie się od dostaw rosyjskiego gazu i ropy, to uczynienie tego samego w odniesieniu do dotacji nie powinno wydawać się zbyt trudnym zadaniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

Robert Bąkiewicz (z lewej) i Robert Winnicki na Marszu Niepodległości

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Podzieleni narodowcy

Zuzanna Dąbrowska

Inne hasła, inne plakaty i wzajemna niechęć. W środowisku organizującym Marsz Niepodległości doszło do rozłamu. Pytanie, jak wpłynie on na największą patriotyczną manifestację w Polsce

11 listopada, jak co roku, ulicami Warszawy przejdzie Marsz Niepodległości. Dla mediów lewicowo-liberalnych to symbol odradzającego się faszyzmu. Kto jednak choć raz wziął udział w wydarzeniu, wie, że obok zupełnych skrajności (które organizatorzy starają się wyeliminować) to przede wszystkim manifestacja zwykłych Polaków, chcących wspólnie świętować kolejne rocznice odzyskania niepodległości. Trasa tegorocznego przemarszu jest taka sama jak zwykle – uczestnicy przejdą od ronda Romana Dmowskiego na błonia przed Stadionem Narodowym. Inna jest za to atmosfera towarzysząca przygotowaniom.

Wszystko za sprawą rozłamu, do którego doszło w środowisku tworzącym wydarzenie. Z jednej strony są Robert Winnicki i związani z nim działacze z Ruchu Narodowego (współtworzącego Konfederację) oraz Młodzieży Wszechpolskiej. Z drugiej – Robert Bąkiewicz. Ci pierwsi zaprezentowali hasło „Polska państwem narodowym" i plakat (bez mocniejszej symboliki) wcześniej. 5 października odbyła się konferencja prasowa, podczas której Winnicki wskazał: – To jest nasze hasło, nasze tegoroczne przesłanie, pod którym chcemy, żeby maszerowały dziesiątki tysięcy polskich patriotów.

Ramię w ramię z Robertem Winnickim stoi Witold Tumanowicz, jeden z dwóch wiceprezesów Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Drugi, Tomasz Kalinowski, jest jednym najbliższych współpracowników szefa stowarzyszenia, Roberta Bąkiewicza. I to właśnie Bąkiewicz, kilka chwil przed ogłoszeniem hasła przez Winnickiego, zapowiedział, że właściwe plakat i motto tegorocznego Marszu poznamy 11 października. Ostatecznie 14 października szef Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, podczas konferencji przed stołecznym ratuszem, ogłosił, że w tym roku wydarzenie odbędzie się pod hasłem „Silny Naród – Wielka Polska". Plakat jest niezwykle wymowny – na tle barw narodowych umieszczono rysunek polskiego kawalerzysty, który kieruje szablę w kierunku Rosjanina z literą „Z" na czole („Z" to

eprasa.pl d5f9371c43

symbol rosyjskiej agresji na Ukrainę). Całość stylizowana jest na polskie antybolszewickie plakaty propagandowe z okresu wojny 1920 r. – W dzisiejszych czasach ogromnego zagrożenia Europy rosyjskim imperializmem, zmianami geopolitycznymi uważamy, że państwo polskie, ojczyzna, musi postawić opór temu złu, które szerzy się na świecie, i prezentować silną postawę. Tę postawę może prezentować tylko silny naród – przekonywał Bąkiewicz w jednym z wywiadów.

POCZĄTEK ROZŁAMU

Wszyscy wymienieni wyżej politycy i działacze od lat angażują się w organizację Marszu Niepodległości. Jednocześnie od pierwszego Marszu z 2011 r. bezpośrednim organizatorem jest stowarzyszenie, którym kieruje Bąkiewicz (w 2016 r. został pełniącym obowiązki prezesem stowarzyszenia; w 2017 r. walne zgromadzenie członków wybrało go na prezesa).

W którym więc miejscu nastąpił rozłam? Wydaje się, że momentem przełomowym był 2018 r. i 100. rocznica odzyskania niepodległości. Ówczesna prezydent stolicy Hanna Gronkiewicz-Waltz poinformowała, że wydarzenie się nie odbędzie, argumentując to rzekomą niemożnością odpowiedniego zabezpieczenia. W wyniku batalii sądowej zakaz uchylono. W tym czasie stowarzyszenie dogadało się z rządem, aby zorganizować jeden, wspólny marsz narodowy, który patronatem obejmie prezydent Andrzej Duda (przejęcie wydarzenia przez władze centralne miało być wyjściem awaryjnym na wypadek, gdyby sądy utrzymały zakaz Hanny Gronkiewicz-Waltz w mocy). Ostatecznie prezydent wygłosił przemówienie na rozpoczęcie Marszu pod nazwą „Dla Ciebie, Polsko". Następnie przeszedł wraz z przedstawicielami rządu. Tuż za nim szedł Marsz Niepodległości z hasłem „Bóg, Honor, Ojczyzna". Był to frekwencyjny rekord.

Choć od 2018 r. Marsz odbywał się co roku (w pandemicznym roku 2020 w nieco zmienionej, samochodowej formie), to niesnaski wśród organizatorów narastały. Po pierwsze, powodem jest rzekome „dogadanie się z PiS" Roberta Bąkiewicza. – Trzeba ratować inicjatywę Marszu, dlatego podjęliśmy aktywność bez oglądania się na Bąkiewicza, który przez nikogo nie jest już traktowany jako człowiek samodzielny, tylko kolejna marionetka Jarosława Kaczyńskiego – mówi „Do Rzeczy" Robert Winnicki.

Pytanie, czy tak jak prawdopodobne jest pokonanie „wroga zewnętrznego" w postaci nieprzychylnych władz stolicy, uda się zasypać podziały wewnętrzne lub chociaż je wyciszyć

Prezes Ruchu Narodowego podkreśla, że to struktury RN właśnie organizują Marsz od samego początku. – W 2011 r. powołaliśmy do życia stowarzyszenie. Bąkiewicz pojawił się w nim w roku 2017 jako reprezentant ONR, z którym potem zerwał. Czujemy się zobligowani do działania, ponieważ rokrocznie bardzo spóźnia się z on organizacją Marszu, podejmuje notorycznie działania bez wiedzy zarządu, nie przedstawia co pół roku szczegółowych sprawozdań finansowych, do czego jest zobowiązany uchwałą sprzed kilku lat, i prowadzi działania służące podporządkowaniu inicjatywy rządowi. Jego polityka rujnuje dorobek tych poprzednich 12 lat – mówi „Do Rzeczy" Robert Winnicki.

W tle są niemałe pieniądze. W 2021 r. Stowarzyszenie Straż Narodowa i Stowarzyszenie Marsz Niepodległości dostały dwie dotacje z Funduszu Patriotycznego (powołanego z inicjatywy premiera i ministra kultury). Ich łączna wartość to 3 mln zł. To przede wszystkim finansowe, a także polityczne wzmocnienie Roberta Bąkiewicza. W przeszłości pojawiały się nawet pogłoski, jakoby szef Stowarzyszenia MN planował pójść do polityki i w razie potrzeby, zastępując Solidarną Polskę, stworzyć koalicję z partią Jarosława Kaczyńskiego.

MIĘDZY PIS A KONFEDERACJĄ

Zarzut o upolitycznienie pojawia się także z drugiej strony. Zarówno Winnicki, jak i Krzysztof Bosak (wiceprezes Ruchu Narodowego), który jest silnie kojarzony z Marszem, są dziś przecież aktywnymi politykami Konfederacji.

Wiceprezes Stowarzyszenia MN Tomasz Kalinowski zaznacza, że jak co roku będzie jeden, wspólny Marsz Niepodległości. – Pod biało-czerwoną flagą zmieszczą się wszystkie środowiska patriotyczne. Z tego, co wiem, politycy Ruchu Narodowego 11 listopada utworzą swój sektor i bardzo dobrze – od zawsze różne środowiska tak się organizowały. Największą tego typu inicjatywą w Marszu Niepodległości był chyba sektor PiS w 2018 r. Ważne jest, żeby tego dnia pokazać jedność i wspólnie świętować odzyskanie przez Polskę niepodległości. To jest istota tego wydarzenia – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". Kalinowski podkreśla, że hasło „Silny Naród – Wielka Polska" jest wyrazem sprzeciwu wobec lansowanych przez globalistów trendów. – Państwa narodowe bynajmniej nie są przeżytkiem. Uważam, że to hasło łączy wszystkie środowiska, które organizują Marsz Niepodległości i idą w nim. To na pewno nie jest dzień na kłótnie i podgryzanie się. Mamy ważną imprezę i nie zawiedziemy uczestników – akcentuje jeden z organizatorów MN.

Współpracownik Bąkiewicza zaznacza, że podejmowane były próby dogadania się. – Jednak chyba nie ma zbyt dużej chęci współpracy z drugiej strony, skoro atakuje się organizatorów Marszu Niepodległości językiem „totalnej opozycji". Mam wrażenie, że dziś polityka niektórym weszła za mocno… do tego stopnia, że krytykuje się antyputinowski wydźwięk plakatu tegorocznego Marszu. Nie jestem w stanie tego pojąć – nie kryje zdziwienia Tomasz Kalinowski.

WRÓG ZEWNĘTRZNY, WRÓG WEWNĘTRZNY

Możliwe, że w tym roku uda się uniknąć rytualnego już niemalże sporu z władzami Warszawy, które – jak wynika z zapowiedzi Rafała Trzaskowskiego – mają chęć zablokowania Marszu. Robert Bąkiewicz zapowiedział, że wydarzenie, w wersji mini, będzie organizowane co tydzień, aby zostało uznane za cykliczne. Dzięki temu miałoby pierwszeństwo przed innymi inicjatywami, które mogą być planowane na 11 listopada.

Pytanie, czy tak jak prawdopodobne jest pokonanie „wroga zewnętrznego" w postaci nieprzychylnych władz stolicy, uda się zasypać podziały wewnętrzne lub chociaż je wyciszyć. Atutem tego społecznego fenomenu jest przecież różnorodność (co naturalne tylko z prawej, konserwatywnej strony) – w Marszu jest miejsce na całą paletę patriotyczno-narodowych barw. Zarówno tych radykalnych, spod znaku Mieczyka Chrobrego, jak i pachnących rodzinnym piknikiem z wuwuzelą w tle.

A wszyscy wiemy, jak kończy się „wzmacnianie przez podział"...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

Iluzje atomowe

Piotr Gociek

Zimną wojnę wygrał Zachód. Propagandową wojnę o bombę atomową wygrała Rosja. Trochę pomogli w tym fantaści

Sprawa atomowa była jednym z elementów ciężkiej schizofrenii, w której żyłem jako dziecko chowane w czasach realnego socjalizmu. Z jednej strony rozszczepienie atomu miało być prostą drogą do zagłady ludzkości, drogą, na którą już wstąpiliśmy i którą podążamy szybko. Oczywiście winni byli kapitaliści, którzy chcą nas atomowo zbombardować. Na ścianie naszej klasy w podstawówce wisiały plakaty edukacyjne „Co robić w przypadku wybuchu bomby atomowej?" (podpowiadam: położyć się na podłodze pod oknem i założyć ręce na głowę). Z drugiej strony pochłaniałem dzieła fantastów, z których dowiadywałem się, że w cudownej lepszej przyszłości wszystko będzie atomowe: samochody, samoloty, statki kosmiczne, a pewnie i w ogródku będzie można sobie mały reaktorek odpalić, żeby dom ogrzać, telewizor włączyć tudzież kosiarkę do trawy uruchomić.

Zostałem więc ekspertem od bomby atomowej z dwóch powodów: bo byłem czytelnikiem science fiction oraz ponieważ byłem obywatelem PRL (zresztą krainy równie fikcyjnej jak kreacje fantastów, tyle że w inny sposób). Z zagrożeniem atomowym było jednak tak jak później z historiami alternatywnymi: najciekawsze były dopiero osadzone w odpowiednim kontekście politycznym, a nie literackim.

AGENCI W REDAKCJI

Doskonałym przykładem tego skrzyżowania fantazji i polityki było wielkie zamieszanie wokół filmu „Nazajutrz" („The Day After"). Trzygodzinna opowieść o tym, że polityka równowagi sił oparta na groźbie atomowej prowadzi do nieuchronnego fatalnego końca, pokazana została w amerykańskiej telewizji jesienią 1983 r. i obejrzało ją ponad 100 mln widzów. Część recenzji wskazywała na to, że przesłanie filmu wpisuje się w propagandę sowiecką. Niczego nie ujmując ponurym obrazom skutków ataku atomowego, trzeba bowiem przypomnieć, że Moskwa domagała się od Zachodu zmniejszenia arsenałów atomowych nie dlatego, że chciała się pozbyć własnych, ale dlatego, że amerykańskie rakiety były jedyną przeszkodą w wojnie konwencjonalnej, którą Związek Sowiecki przez całe swe istnienie chciał wydać całemu światu. Przesłanie „Nazajutrz" było na tyle postępowe, że film pokazano także w krajach pod sowiecką okupacją – w tym w PRL – oraz w samym Związku Sowieckim.

Fantaści od lat 30. XX w. igrali w swoich tekstach z potencjalnym wynalazkiem bliskiej przyszłości, którym było

eprasa.pl d5f9371c43

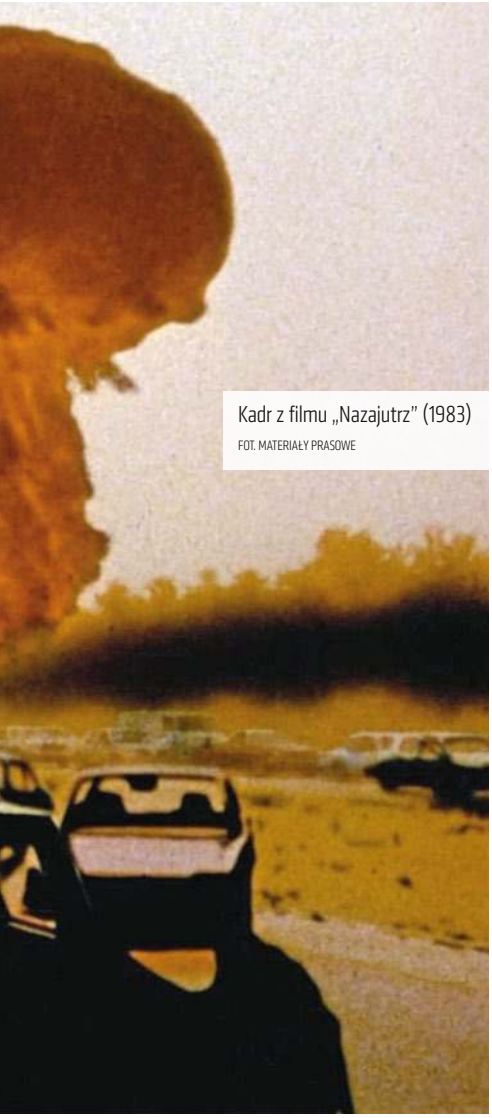

Kadr z filmu „Nazajutrz" (1983)
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

rozszczepienie atomu. Czasem byli w swoich rozważaniach tak akuratni, że ściągali uwagę FBI – gdy w 1944 r. na łamach „Astounding" ukazało się opowiadanie Cleve'a Cartmilla o bombie atomowej „Deadline", agenci pojawili się w redakcji. Fikcja była bardzo podobna to prawdy, tyle że Projekt Manhattan był przecież ścisłą tajemnicą.

Po roku 1945, zatem po zrzuceniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki, świat zmienił się nieodwracalnie – w tym świat fantastyki. John Campbell, redaktor naczelny „Astounding", wyrażał nadzieję, że może wreszcie świat zacznie traktować poważnie przepowiednie co bardziej wyedukowanych fantastów. Tak się jednak nie stało. Kwestia atomowa z jednej strony stała się sprawą polityki międzynarodowej, z drugiej jej żywot w książkach i filmach to pasmo nieustającej dewaluacji tematu. Opowieści ku przestrodze, opowieści realistyczne (jak „Ostatni brzeg" Nevila Shute'a – zresztą zekranizowany) ustąpiły miejsca historyjkom, w których atomowa zagłada jest jeno wymówką do skonstruowania malowniczego dzikiego świata „po".

Peter Nicholls zauważał w „The Encyclopedia of Science Fiction" (hasło „Holocaust and after"), że wszystkie te opowieści (także dotyczące zagłady nieatomowej) są zadziwiająco monotonne: następuje katastrofa, następnie era barbarzyństwa i brutalnej walki o przetrwanie, której nieodłącznym elementem są gwałty i mordy; wszystko to najczęściej prowadzi do odrodzenia mocno hierarchicznego społeczeństwa feudalnego wzorowanego na średniowieczu. I rzeczywiście w czasach, gdy rozpoczynałem swą poważną przygodę jako widz i czytelnik, czyli w latach 80. XX w.), symbolem opowieści o wojnie atomowej był film „Mad Max 2" i jego niezliczone (oraz niepomiernie tańsze) klony. Przyszłość była pustynią, po której jeżdżą osobnicy w pojazdach najeżonych szpikulcami, osobnicy wyglądający jak skrzyżowanie pacjenta szpitala psychiatrycznego z członkiem kapeli heavymetalowej.

Myśmy się tych historii już nie bali (zresztą nie taki był ich cel), myśmy się z nich podśmiewali. Zawsze zabawne jest bowiem (i trochę smutne) przeistaczanie się spraw poważnych we własne parodie – o czym akurat też powinni pamiętać politycy. Ale dwa słowa należą się także obronie dewaluatorów. Żaden budżet ery sprzed efektów cyfrowych nie wytrzymałby projektowania całego zniszczonego wojną atomową świata, wyprowadzenie więc akcji na stertę piachu przynosiło wielkie oszczędności. No i też zauważmy, że skutki eksplozji nad Hiroszimą i Nagasaki były paraliżujące, jeśli chodzi o poważne rozważania: jeśli niewielkie bomby przyniosły takie zniszczenie, to wojna jądrowa na dużą skalę nie pozostawi żadnego marginesu na fikcyjne fabuły. Po prostu koniec cywilizacji i koniec człowieka. Może jeszcze z epilogiem Pt. „Dogorywanie". Tu najciekawsze i najbardziej ponure dzieła filmowe przynieśli fantaści żyjący po naszej stronie żelaznej kurtyny. Wspomnijmy film polski „O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji" (1984) w reżyserii Piotra Szulkina czy film sowiecki „Listy martwego człowieka" (1987) w reżyserii Konstantina Łopuszańskiego, na podstawie scenariusza braci Strugackich.

Wyprzedził ich wstrząsający czechosłowacki film „Koniec sierpnia w hotelu Ozon" (1967) w reżyserii Jana Schmidta.

ŚWIAT PO ZAGŁADZIE

Zagłada atomowa szybko zaczęła służyć także nie jako temat sam w sobie – i nie jako wymówka do mordobicia jak w klonach „Mad Maxa 2" – ale jako gruba kreska, którą można było odciąć przeszłość i zacząć konstruować opowieści o zupełnie nowym świecie. W połowie wieku XX zaczęły się pojawiać powieści i opowiadania, w których atomowe skażenie przynosiło nie tylko tragedię, lecz także okazję do ewolucji rasy ludzkiej. Wśród niedobitków pojawiali się więc nie tylko mutanci, którzy wyglądem mieli straszyć widza czy czytelnika, lecz także tacy, którzy mieli stanowić kolejny krok w rozwoju: osobnicy obdarzeni siłami psi (czytaniem w myślach, telekinezą, umiejętnością ingerencji w świat realny przy pomocy potęgi umysłu i tak dalej).

Czasem zagłada nuklearna jest punktem wyjścia do rewanżystowskiej paraboli: w powieści Margot Bennett „The Long Way Back" (1954) przyszli mieszkańcy Afryki, gdzie cywilizacja przetrwała i się rozwinęła, podejmują wyprawę do legendarnej Wielkiej Brytanii, gdzie ponoć biali ludzie żyją w jaskiniach. Jaskinie, podziemne miasta, czasem stacje kosmiczne na orbicie albo na powierzchni Księżyca czy Marsa, ewentualnie wielopokoleniowe statki kosmiczne: oto z grubsza katalog sposobów ratunku dla nielicznych ocalałych.

Oryginalnością podejścia do tematu i prawdziwą literacką mocą charakteryzuje się jedna z najważniejszych powieści fantastycznych XX w., będąca zarazem chyba najlepszą pozycją w nurcie religijnej fantastyki. „Kantyczka dla Leibowitza" (1959, polskie wyd. 1991) pióra

eprasa.pl d5f9371c43

Kadr z filmu „Nazajutrz" (1983)
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Waltera J. Millera jr. przynosi zupełnie odmienne spojrzenie na nuklearny holokaust. Nie wszystkim zresztą się to spojrzenie podoba: Adam Roberts w „The History of Science Fiction" (2005) zarzuca autorowi, że „ryzykuje ideologiczną tępotę, interpretując zagładę nuklearną jako funkcję grzechu pierworodnego ludzkości, a nie jako dylemat polityczny czy technologiczny".

Ale to właśnie czyni książkę nowatorską i prowokującą do dziś. Zresztą jest „Kantyczka dla Leibowitza" jedną z nielicznych książek SF, które od dekad nie znikają z księgarń, jest nieustannie wznawiana, czytana i komentowana.

U Millera juniora po wojnie atomowej zaczyna się epoka sprostaczenia. Dawne dokonania zostały zapomniane i znienawidzone (wrogość do słowa pisanego jako narzędzia cywilizacji, która doprowadziła do zagłady, jest powszechna). Tymi, którzy próbują ocalić fragmenty dawnej wiedzy, są mnisi z chrześcijańskich klasztorów. Kilka wieków później mieszkańcy Ziemi znów staną w obliczu zagłady. Podpowiada nam autor, że nauka bez moralności prowadzi ku katastrofie. Pyta, co zdarzyć się może, jeśli nie pogodzimy troski o nasze dusze z niekontrolowanym rozwojem techniki. Pyta, czy jesteśmy na taki bieg spraw skazani.

Ciekawa rzecz – pod koniec „Kantyczki" Miller jr sugeruje, że Pan Bóg ma plan dla wszechświata także w przypadku, gdyby człowiek nie wykorzystał swojej szansy. Czy jest na tę katastrofę skazany? W powieści nowa cywilizacja ludzka szybko zaczyna powtarzać stare błędy. Okazuje się, że wychodząc od zupełnie innych rozważań, zbliża się Miller jr do smutnych stwierdzeń innych fantastów o nieuniknionym końcu. Z bombą atomową jest w rozważaniach Czechowa o kompozycji dramatu: „Jeśli w pierwszym akcie powiesiłeś strzelbę na ścianie, to w kolejnym musi wystrzelić. W przeciwnym razie nie umieszczaj jej tam". Strzelba, znaczy bomba, została już jednak w naszym świecie umieszczona, więc jej detonacja jest nieuchronna. Stąd bierze się też nurt melancholijnej apokalipsy atomowej, wszystkie te kameralne opowieści, w których ostatni ludzie czekają na koniec, którego odsunąć nie można. Nuklearny holokaust jako niepowstrzymana siła natury. Tyle że lont podpaliliśmy sami.

Kadr z filmu „Mad Max 2"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W mikropowieści „Głowa Kasandry" (1985) polski fantasta Marek Baraniecki pokazuje bohatera, który próbuje unieważnić ostateczną zagładę. Do wojny wprawdzie doszło, ale natura ocalała, podobnie niewielka część ludzkości. Ale zagrożenie nie zniknęło. Hornic wędruje przez bezdroża, poszukując silosów z nieodpalonymi pociskami atomowymi, a następnie je rozbraja. Najbardziej niepokoi go zaś opowieść o tytułowej „głowie Kasandry" – jest gdzieś ponoć ukryta broń, która dokończy dzieła zniszczenia na skalę światową.

Fantaści na temat możliwej zagłady atomowej wypowiadali się nie tylko w utworach literackich, lecz także w esejach i felietonach, gdzie stawiali tezę świadczącą o tym, że być może znają się na nauce, ale nie wiedzą nic o polityce. W latach 70. i 80. silny był nurt głoszący, że istnienie broni atomowej to rodzaj zbiorowego szaleństwa narzuconego ludzkości przez złych ludzi: wojskowych i polityków. I że wystarczyłoby, gdyby ludzie dobrej woli się porozumieli, a zagrożenie zniknie. Szlachetna utopia, zbrodniczy efekt: nie ma znaku równości między „złymi wojskowymi z USA" a ich sowieckimi odpowiednikami, atom był jedyną skuteczną formą nacisku na Sowietów szykujących się z jednej strony do podboju świata, a z drugiej uprawiających propagandę o potrzebie „ponadnarodowego ruchu pokojowego". Ruch ten miał rozbroić Zachód. O konieczności rozbrojenia Moskwy nikt jakoś nie mówił. A jeśli mówił, to nazywano go jastrzębiem.

Warto o tym pamiętać dziś, gdy nagłówki typu „What would the world look like after a nuclear disaster?" znów pojawiają się w mediach całego świata. I mimo że to Władimir Putin grozi użyciem broni atomowej, to tak jak w czasach rozkwitu sowieckiej propagandy znów ma być temu winien zły Zachód, ze szczególnym uwzględnieniem złych zachodnich polityków i generałów. Zimną wojnę wygrał Zachód. Propagandową wojnę o bombę atomową wygrał Związek Sowiecki, a dziś wygrywa Rosja. Trochę pomogli w tym fantaści. Dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło; w tym przypadku utopia o wspólnocie ludzi dobrej woli odrzucających atom jest ścieżką wprost do świata, w którym tyran może posunąć się do każdej zbrodni, chowając się za parasolem atomowym i groźbą jego użycia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

Miklós Vadász „Chiński kabaret w Paryżu"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Węgrzy w Paryżu, czyli szalone lata 20.

Piotr Semka z Budapesztu

W szalonych latach 20. liczni artyści węgierscy mieszkali w stolicy Francji lub ją odwiedzali. Trzech z nich uczyniło z odmalowania tamtej zwariowanej epoki artystyczną misję

Dekada jazzu i art déco wciąż inspiruje. W Krakowie, w Muzeum Narodowym, oglądać można wystawę Tamary Łempickiej, a w Budapeszcie Galeria Narodowa pokazała ekspozycję prezentującą węgierskie spojrzenia na Paryż z epoki „swinging twenties". Zaprezentowane zostało paryskie życie nocne lat 20. oczami trzech węgierskich artystów z tamtych lat: Marcela Vertèsa (1895–1961), Jánosa Vaszary (1867–1939) i Miklósa Vadásza (1881–1927).

Trzech malarzy i grafickó utrwaliło w swoich dziełach paryskich kluby nocne z lat 20. Jak piszą kuratorzy wystawy: „Art déco, które pojawiło się w sztuce dekoracyjnej i architekturze po kataklizmie pierwszej wojny światowej i pozostało jednym z definiujących trendów w latach dwudziestych w całej Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych, nie tylko miało wpływ na sztukę, lecz także określiło styl życia i ogólnego ducha całej epoki. Obrazy życia nocnego, nowoczesnej rozrywki, barów i klubów nocnych są przedstawiane na rysunkach i grafikach równie dekoracyjnie jak nowoczesne maszyny, samochody, samoloty i burzliwe miasta".

SZALEJĄCE CHŁOPCZYCE

Swoistym detonatorem nowych trendów była Międzynarodowa Wystawa Nowoczesnej Sztuki Dekoracyjnej i Przemysłowej, która odbyła się w Paryżu w 1925 r. Ta nowatorska ekspozycja zasadniczo zdeterminowała ducha i wizualną ekspresję dekady. Tętniąca życiem scena kulturalna Paryża nie ograniczała się w swej aktywności do dnia. Miasto miało nocne życie z wieloma klubami nocnymi i restauracjami, które zapewniały rozrywkę publiczności. Jazz, nowy gatunek muzyki wywodzący się z Ameryki, podbił całą Europę, a więc także Paryż, a najpopularniejsze tańce to charleston, shimmy, boston, fokstrot i tango.

Na wystawie czytamy: „Słowo »taniec« odnosiło się nie tylko do tańca, lecz także do szczególnego paryskiego uczucia, swego rodzaju szaleństwa, którego desperacko poszukiwali ludzie próbujący zapomnieć o wojennej traumie. Nowa era wprowadziła również ważną zmianę w społeczeństwie: pojawił się ideał niezależnej kobiety, który wyraźnie przejawiał się w fryzurach i ubiorach.

Pokolenie kobiet zwane „garçonne" po francusku i „flapper" po angielsku – charakteryzujące się chłopięcą fryzurą, tzw. bobem, smukłą budową i coraz krótszymi spódnicami – można było spotkać we wszystkich miejscach rozrywki". W Paryżu ten przewrót, typowy dla całej Europy, odbywał się w wyjątkowo efektownym stylu.

MADZIARZY NAD SEKWANĄ

W tej dynamicznej epoce liczni artyści węgierscy mieszkali w stolicy Francji lub ją odwiedzali. Trzech z nich uczyniło z odmalowania tamtej zwariowanej

eprasa.pl d5f9371c43

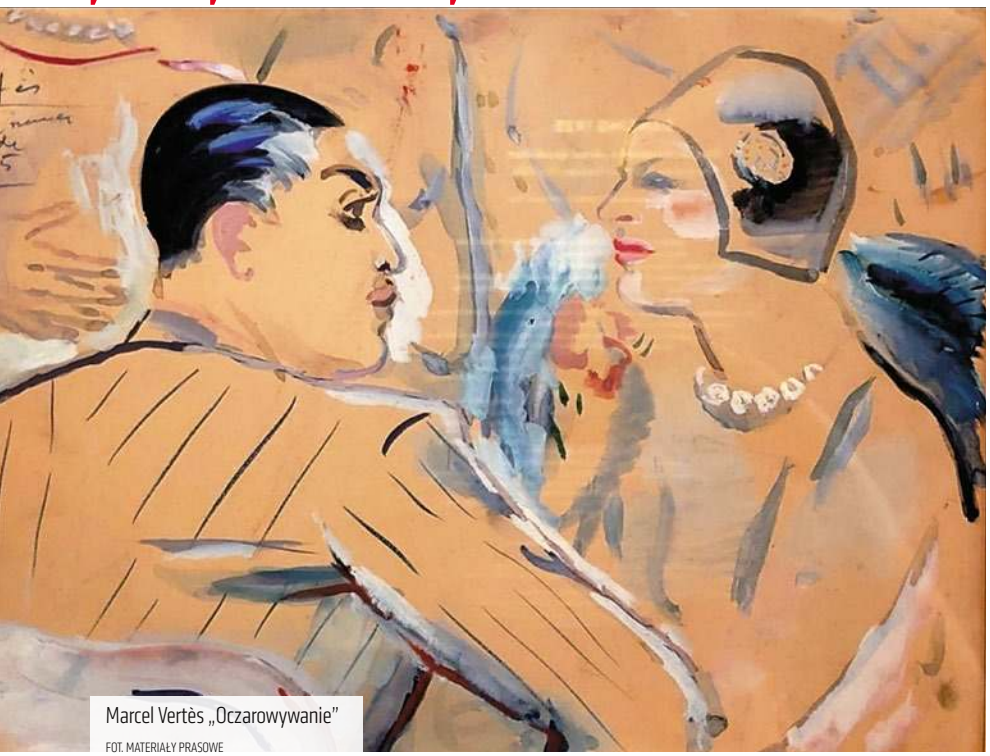

Marcel Vertès „Oczarowywanie"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

epoki artystyczną misję. Tak jak Henri de Toulouse-Lautrec unieśmiertelnił w swoich obrazach paryskie kabarety z lat fin de siècle'u – tak trójka Węgrów utrwaliła na kartonach i płótnach szalony paryski charme tamtych lat.

Ze szkicownikami w ręku siadali przy bocznych stolikach lokali i kreślili sylwetki trwoniących majątki bogaczy, luksusowych kokot i pieśniarek kabaretowych variétés. I często mijali się z odwiedzającymi Paryż w latach „années folles" rodakami. Bankierami z Budapesztu, ziemianami z wielkiej Puszty i wygnanymi z Siedmiogrodu arystokratami dorabiającymi nad Sekwaną w roli ognistych żigolaków.

Marcel Vertès, János Vaszary i Miklós Vadász, których prace prezentowane są na wystawie, nie malowali każdej, byle apaszowskiej tancbudy. Ich ulubionymi nocnymi lokalami, dziś powiedzielibyśmy „kultowymi", były kluby z najwyższej półki. Choćby Palace przy Rue du Faubourg-Montmartre, Casino de Paris przy Rue de Clichy, Chez Maxim's przy Rue Royale, Le Bœuf sur le toit przy Rue Boissy d'Anglas i wreszcie legendarny Ermitage z Champs-Elysées. To tam wypatrywali popularnych tancerzy i tancerek, znanych lub nieznanych postaci z tłumu, unieśmiertelniali ich twarze i figury w swojej sztuce. Każdy z tych lokali miał swoje specjalności. Casino de Paris stało się słynne, wprowadzając w latach 20. jako efektowny element scenografii schody, na których w latach 60. zdążyła jeszcze wystąpić Violetta Villas. Scena Le Bœuf

János Vaszary „Szansonistka"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sur le toit, czyli Byk na Dachu, posłużyła w tamtych latach jako tło do pierwszych niemych komedii Charliego Chaplina.

Jedne lokale celowały w obsłudze angielskich lordów, którzy na Sekwaną znajdowali frywolność, która w Londynie była nie do pomyślenia. Inne kabarety łowiły amerykańskich milionerów, a jeszcze inne wreszcie – zepsutych arabskich szejków, którzy przepuszczali nad Sekwaną sumy równe budżetom ich sułtanatów. Wybrane kabarety kokietowały paryskich intelektualistów, a niektóre, mimo efektownych pozorów, były po prostu

ukrytymi lupanarami. Nocne lokale wyhodowały też specyficzny typ utracjuszy znanych jako ćmy nocne. Ludzi, którzy zaczynali swój dzień wraz z wieczornymi variétés, a do domu, na sen, wracali już przy porannym świetle.

UCHWYCIĆ RUCH

Centralnym punktem wystawy jest album Marcela Vertèsa pt. „Taniec", który przywołuje sceny dancingów z paryskiej nocy. Węgierski ilustrator i grafik Marcel Vertès przybył do Paryża na początku lat 20. XX w. Na Węgrzech, w okresie istnienia Republiki Rad, Vertès tworzył plakaty rewolucyjne i po upadku czerwonego reżimu Béli Kuna wolał uciec z kraju. Tylko on z całej trójki bohaterów wystawy związał się z komunistyczną ekipą Kuna. W 1925 r., równolegle do paryskiej wystawy światowej, Vertès wydał swój album z 12 litografiami. Arkusze albumu obrazują orkiestry jazzowe, tańczące tłumy, ekstrawaganckie pary, eleganckie panie i panów oraz inne migawki z nocnych imprez, takich jak sprzątanie o świcie czy znużona hulankami podróż powrotna do domu.

Kolejni malarze „parysko-węgierscy" z tamtych lat na wystawie to János Vaszary i Miklós Vadász, którzy również szlifowali paryski bruk po okrojeniu Węgier z formatu wielkiego imperium do skali małego kraiku nad Dunajem. Vaszary przybył do Paryża w 1925 r. Jego ulubionym tematem były występy tancerek w nocnych klubach. Jak nikt inny umiał uchwycić piękno kobiety w tańcu. Kariery Miklósa Vadásza i Marcela Vertèsa mają ze sobą wiele wspólnego. Vadász zaczynał jako ilustrator gazet, a po pierwszej wojnie światowej przeniósł się z głodującego Budapesztu do Paryża, gdzie pracował dla tych samych magazynów co Vertès. Najbardziej ceniony nad Sekwaną był Miklós Vadász, określany mianem następcy Toulouse'a-Lautreca.

eprasa.pl d5f9371c43

Miklós Vadász „Wieczór w hotelu Excelsior na Lido w Wenecji"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Nikt od czasów mistrza z przełomu wieków nie był w stanie uchwycić pary tańca, wieczorowych sukienek i szumu francuskiego szampana tak indywidualnie jak on" – pisał jeden z krytyków artystycznych tamtej epoki.

Atmosferę lat 20. oddają też na wystawie w Galerii Narodowej starannie wybrane materiały wideo przywołujące tamte czasy. Kroniki filmowe Pathé i fragmenty francuskich filmów niemych z lat 20.

BYŁO, MINĘŁO...

Tamten świat musiał budzić skrajne uczucia. Z jednakowym obrzydzeniem patrzyli na niego zarówno ówcześni komuniści obiecujący lepszy, nowy świat postępu, jak i zwolennicy faszyzmu, którzy widzieli w nim metamorfozę przegniłej moralnie plutokracji. Był to poniekąd autentyczny taniec na grobach ofiar wojennej hekatomby. Najwięcej pieniędzy mieli ci, który zarobili na wojnie dzięki dostawom dla armii lub spekulacjom na giełdzie. To im kłaniali się w pas kelnerzy w nocnych klubach Paryża.

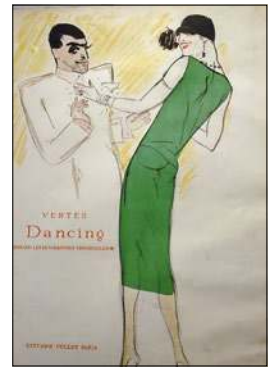

Widok hedonizmu wyższych sfer pchał wielu intelektualistów ku komunizmowi. Tak było w wypadku polskiego postępowca Brunona Jasieńskiego. Przybył on do Paryża w roli korespondenta „Wieku Nowego", „Kuriera Lwowskiego" i „Gazety Porannej", ale szybko wtopił się w miejscowe kręgi komunistyczne. Przewodnikiem młodego pisarza po paryskiej „frankokomunie" był wtedy Zygmunt Modzelewski, ojciec późniejszego kontestatora marksizmu à la PRL Karola Modzelewskiego. Wraz z Modzelewskim seniorem i polskimi robotnikami uwiedzionymi przez lewicę Jasieński stworzył amatorski teatr na Saint Denis. Ta robotnicza sztuka, zakładająca wysoki poziom samoświadomości aktorów robotników, miała być antytezą tego, co reprezentowały kabarety pełne bladych opiumistów i starych satyrów z wypchanymi portfelami.

To wtedy Jasieński napisał powieść „Palę Paryż" – satyrę na gnijący kapitalistyczny świat burżujów. W finałowej scenie – już po upadku burżujów – pola Champs-Élysées zostają zaorane i obsiane zbożem. Niecałą dekadę później Ukraina zostanie skazana przez dyktatora z Kremla na śmierć głodową. Ciekawe, czy gdy już trafił z rozkazu Stalina do syberyjskiego łagru, to w nocy śnił mu się grzeszny, ale wizualnie porywający świat paryskich lokali?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Dancing 1925" w Galerii Narodowej w Budapeszcie czynna była do 25 września br.

REKLAMA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

KUPUJ
TYGODNIK „DO RZECZY"
W PLACÓWKACH
„POCZTY POLSKIEJ"

Sprawdź listę punktów sprzedaży:
tygodnik.dorzeczy.pl/sprzedaz

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

tv

Chcecie bajki?

Egzotyka? Sensacja? Styl? Nigdy nie rozgryzłem, dlaczego „Shantaram" pióra Gregory'ego Davida Robertsa stał się w Polsce tak wielkim bestsellerem. W wersji serialowej lepiej widać: to bajka, bajka idealnie skrojona pod potrzeby zachodniego odbiorcy, bajka o dobrym białym i szlachetnych tubylcach, pełna zaklęć w stylu rozmaitych poradników psychologicznych czy powiastek o samorealizacji (jeden z zachodnich recenzentów kąśliwie stwierdził, że serial „Shantaram" to „Jedz, módl się, kochaj" dla mężczyzn).

Chcecie bajki? Oto bajka: Żył sobie pewien dobry człowiek, który przez złą dziewczynę spróbował heroiny, potem napadł na bank i trafił do więzienia, z którego musiał uciec, gdyż inaczej czekałaby go niechybna śmierć ze strony wstrętnych stróżów prawa. Na lewym paszporcie trafił do Indii, gdzie odkrył prawdziwy sens życia, znalazł przyjaciół w slumsach Bombaju, leczył biedaków i odkrywał w sobie sumienie, choć zarazem wplątał się w mroczne interesy miejscowego półświatka. Roberts raz twierdził, że to niemal autobiografia, innym razem, że fikcja osnuta na tle prawdziwych wydarzeń; nieważne, ciekawe historie przytrafiają się tylko tym, którzy ciekawie potrafią o nich opowiadać. Opasła powieść dawała czytelnikowi okazję do posmakowania egzotyki ze szczyptą mistyki, wielką porcję niebezpiecznych przygód i złudzenie obcowania z jakąś prawdą o człowieku.

Serial podkręcono na potrzeby współczesnych wymogów, eksponując zatem panie, zwłaszcza takie, które mają się ku sobie. Przesłanie zaś jest następujące: opresyjny system nie daje ludziom szczerze żałującym za grzechy okazji do poprawy, ale oni sami mogą dojść do oświecenia, jeśli tylko da się im szansę. Przypuszczam, że wątpię; na tysiąc bandziorów być może jeden sam się wydźwignie, reszta po prostu będzie dalej czynić zło. Od telewizyjnej rozrywki nie wymagamy jednak wiarygodności, ale ciekawej historii. Serial „Shantaram" jest dziełem nierównym, są w nim fragmenty kapitalne, są i nieco nudne, a większość postaci uroczo stereotypowa. Na pewno niepotrzebne są pompatyczne monologi spoza ekranu. Dla Charliego Hunnama („Synowie anarchii") to ponoć rozgrzewka przed walką o rolę Jamesa Bonda, dla widza – kolorowy eskapizm z dodatkiem krwi, seksu i mętnej religijności oraz okazja do bezpiecznego (bo z własnej kanapy) wzruszania się ciężkim losem innych. ©℗

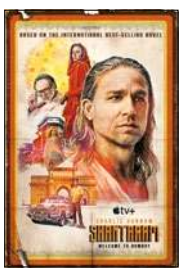

★★★☆☆☆

SEZON 1
„SHANTARAM"
USA 2022

wyst. Charlie Hunnam, Antonia Desplat, Alexander Siddig

NOWE SERIALE: „THE PERIPHERAL"

prime video

Nominowany do Oscara scenarzysta Scott Smith („Prosty plan") oraz producenci serialu „Westworld" (Jonathan Nolan, Lisa Joy) łączą siły, by przenieść na mały ekran powieść ojca cyberpunku Williama Gibsona („Neuromancer"). Gdybyśmy mieli wgląd w przyszłość – co by to zmieniło? A gdyby tylko ktoś chciał, byśmy sądzili, że to przyszłość, żeby nami manipulować? Komplikujmy dalej: a wgląd w rozmaite możliwe wersje przyszłości? W rolach głównych Chloë Grace Moretz, Gary Carr i Jack Reynor. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***„The Peripheral", USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *reż. Michael Giacchino* ***„Wilkołak nocą" („Werewolf by Night"),*** *USA 2022* Disney+

• *sezon 2* ***„Barbarzyńcy" („Barbaren"),*** *Niemcy 2022* N

• *miniseria dokumentalna* ***„Zakładnicy" („Hostages"),*** *USA 2022* HBO max

eprasa.pl d5f9371c43

Auto pełne łgarzy

KINO

Wykluczeni są na topie. Zwłaszcza tacy, którzy dążą do poprawy swego losu, nie oglądając się na prawo i staroświecko pojmowaną moralność. W „Parasite" zaradni bezrobotni z Seulu obrośli w piórka kosztem umysłowo ociężałych bogaczy. „Baby Broker" to z kolei ballada o handlarzach niemowląt z Busan (o zgrozo, w procederze partycypują ludzie Kościoła). Trochę kryminał, trochę kino drogi, lecz bez amerykańskiej werwy. Bohaterowie po przejściach: wychowanek sierocińca, właściciel pralni z więziennym stażem i prostytutka, która pokłóciła się ze sponsorem. Interes idzie kiepsko, jeżdżą starym rzęchem, ale gdy zrozumieją, że pieniądze nie są najważniejsze, przesiądą się do pendolino i wynajmą apartament w eleganckim hotelu.

Nawet policjantki śledzące poczynania bandy trojga coraz bardziej z nią sympatyzują. Widzowie też nie mają innego wyjścia.

Akcja rozgrywa się w Korei Południowej, reżyser to Japończyk, ale konkluzja jest godna Erazma z Rotterdamu: ludzie są z natury dobrzy, tylko czasem brakuje im rozeznania. Trup typa spod ciemnej gwiazdy nieco zakłóca przekaz, można jednak sądzić, że gdyby denat dożył napisów końcowych, na pewno i on by się poprawił. W Cannes Koreeda dostał nagrody i owacje na stojąco, co wróży ekspansję „feel good movie" również w następnych sezonach. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. HIROKAZU KOREEDA
„BABY BROKER" („BEU-RO-KEO")
KOREA PŁD. 2022

wyst. Kang-ho Song, Dong-won Gang, IU

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DOM ZŁY

HBO max

Powiedzieć, że wróciła moda na filmowanie powieści Agathy Christie, byłoby nadużyciem, bo ona nigdy nie minęła. W „Domu zbrodni" da się zauważyć wpływ amerykańskiego czarnego kryminału. Detektywa próbującego rozwikłać zagadkę zabójstwa 86-letniego milionera rozprasza kobieta fatalna (a nawet dwie). Wszyscy podejrzani są ekscentrykami. Rzecz jest, jak należy, stylowa, intryga rozgrywa się w neogotyckim zamczysku, a w obsadzie, mimo zawirowań towarzyszących realizacji projektu, ostało się kilka znakomitości. Najbardziej rzucają się w oczy Glenn Close ostrzeliwująca kretowiska z dubeltówki tudzież wódka z Katowic. Powieść jest uważana za jedną z najlepszych w dorobku „królowej kryminału", jednak utytułowany scenarzysta (Julian Fellowes, autor „Gosford Park" i „Downton Abbey") nie zrobił nic, by wyeliminować fabularne klisze. Finał w 1949 r. szokował czytelników, dziś tylko zasmuca.

★★★☆☆☆

REŻ. GILLES PAQUET-BRENNER
„DOM ZBRODNI" („CROOKED HOUSE")
WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Max Irons, Stephanie Martini, Glenn Close

W BLASKU SZPADY

cda PREMIUM

Dwieście pięćdziesiąt lat temu zmarł Théophile Gautier: malarz, poeta, krytyk i obieżyświat. Nagrodę Złotego Pióra powinien dostać za relację z podróży do dzikiej Hiszpanii, ale sławę dał mu „Kapitan Fracasse", uważany za wzór z Sevres powieści płaszcza i szpady. Książkę zekranizowano dziewięć razy, za najbardziej solenną uchodzi wersja z 1961 r. Obcowanie z nią przypomina wizytę w antykwariacie. Polski widz może rozpoznać w fabule kuzynkę „Potopu". Isabelle, pani serca tytułowego bohatera, jest jeszcze większą mimozą niż Oleńka, a na jej cnotę dybie donżuan w typie Bogusława Radziwiłła. Czterdziestosiedmioletni Marais fechtuje lepiej niż Olbrychski. Ale jak to w antykwariacie, rarytasy nie leżą na wierzchu. Siłą tej bajki o zdeklasowanym arystokracie jest drugi plan. Dla takich asów jak Philippe Noiret, Jean Rochefort i Louis de Funès warto dotrwać do ostatniej sceny. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. PIERRE GASPARD-HUIT
„KAPITAN FRACASSE" („LE CAPITAINE FRACASSE")
FRANCJA 1961

wyst. Jean Marais, Gérard Barray, Geneviève Grad

GRA TYGODNIA: „A PLAGUE TALE: REQUIEM" ★★★★★☆

Pierwsza odsłona „A Plague Tale" mnie wynudziła. Do bólu liniowe skradanie, rzucanie kamykami i garami dla odwrócenia równowagi – delikatnie rzecz ujmując, nie była to najbardziej porywająca rozgrywka, z jaką miałem do czynienia. Dlatego do „Requiem" podchodziłem z rezerwą i pozytywnie się zaskoczyłem. Liniowość nadal przeszkadza, choć jej poziom jest mniejszy niż w „Innocence". System walki pozostawia sporo do życzenia, gra ma parę mocno nierealistycznych rozwiązań, ale wzruszająca opowieść ze średniowiecznej Europy jest doprawdy wspaniała. Graficznie – petarda. Tylko że przy takiej liczbie FPS-ów słowo next-gen w odniesieniu do najnowszych konsol brzmi jak najkrótszy dowcip na świecie. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *akcja, skradanka, TPP*
- ***Platforma:*** *XSX, PS5, NS, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Asobo Studio; Focus Entertainment*

eprasa.pl d5f9371c43

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pożegnanie z Mockiem

Swoją najnowszą powieścią Marek Krajewski żegna się ze swoim firmowym bohaterem – Eberhardem Mockiem, pracownikiem Prezydium Policji w niemieckim Wrocławiu. Poznaliśmy go w roku 1999, gdy autor – wtedy 33-letni – wydał świetnie przyjętą „Śmierć w Breslau". Dała ona początek serii z Mockiem w roli głównej, którą finalizuje obecnie „Błaganie o śmierć", już 13. tom tego cyklu. Nie jest on chronologiczny, fabuła poszczególnych powieści rozgrywa się w różnym czasie, a na koniec Krajewski cofa się aż do roku 1919. W Breslau obecne są liczne ślady niedawno zakończonej wojny, a miasto wypełniają „hordy zwolnionych z wojska młodych mężczyzn, wściekłych na cały świat i biednych jak myszy kościelne". Niebogaty jest też Ebi Mock, młodszy asystent policyjny, pomieszkujący ze swoim ojcem w pokoju nad dawnym sklepem rzeźniczym na odległym osiedlu Klein Tschansch (Księże Małe).

Temu znakomitemu policjantowi zawodową karierę, którą w końcu – jak wiemy – zrobi, wybitnie utrudniają skłonności do kobiet, niegdyś nazywanych sprzedajnymi, i alkoholu. Czas wolny od prowadzenia dochodzeń śledczych najchętniej spędzałby w lunaparach i knajpach, na te ostatnie brakuje mu jednak środków, dlatego też skołatane nerwy uspokaja pitą w ukryciu dereniówką. Niestety, po pijanemu zdarza mu się gubić rzeczy osobistego użytku, a nawet akta prowadzonych spraw kryminalnych.

W domu nocuje niechętnie, gdyż nie wytrzymuje utyskiwania ojca, który „chciałby już bawić wnuki, tymczasem 36-letni Eberhard, przebywając, wedle słów starego, tylko »wśród złodziei i kurew«, małe miał szanse na spotkanie przyzwoitej kandydatki na żonę. Willibald chciał się przed wszystkimi chełpić synem, który »wyszedł z biedy,

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

a jest wielkim panem«, tymczasem ten – rozstrojony wojennymi przeżyciami – staczał się coraz bardziej…". Z rodzicielem ma Ebi swoje porachunki, ten szewc wychowywał bowiem synów żelazną ręką. Brat Ebiego, Franz, majster na kolei, wyrzucił ojca ze swego mieszkania po tym, jak ten obraził jego żonę, i zerwał z nim kontakty, raz na zawsze. Eberhard boi się wyrzutów sumienia, sam nie czując się do końca w porządku, i tak obraca się „w błędnym kole nałogu, poczucia krzywdy i synowskich powinności".

W Breslau królują korupcja i przemoc, obejmując wszystkie dziedziny życia, także raczkujący w mieście sport. Mocka interesują walki bokserskie odbywające się na Kępie Strzeleckiej, a tam właśnie dochodzi do zabójstwa, gdy pięściarz uderzony odpowiednio wzmocnioną rękawicą umiera na ringu. Ma to z całą pewnością związek z ustawianiem walk i nielegalną bukmacherką, ale że ofiarą pada nieślubny syn ważnej tamtejszej persony, bogatego przemysłowca, sprawie zostaje nadany priorytet, a policjantów uświadamia się, że brak postępów w śledztwie spowoduje przeniesienie ich do policji wodnej w Miliczu, gdzie będą ścigać kłusowników łowiących po nocach karpie w stawach hodowlanych.

Mockowi to nie grozi, bo ewidentnie jest najlepszy. Ale w tym wypadku przekroczy wszystkie możliwe granice, a jego postępowanie niewiele różnić się będzie od zachowań zwyrodniałych przestępców, których ściga. Śledztwo to łączy się bowiem bezpośrednio z jego prywatnym dochodzeniem, poszukiwaniem zaginionego niemowlęcia, które niewykluczone, że jest jego dzieckiem. I prostytutki imieniem Herta, którą darzy uczuciem.

Od dewiantów roi się w „Błaganiu o śmierć", jak zresztą i w innych powieściach Krajewskiego. Mamy więc wiele zboczeń na czele z nekrofilią, szczęśliwie pisarz oszczędził nam kanibalizmu, o którym tylko się śpiewa w przeboju wrocławskich podwórek. Biednych, bo to miasto przeżywające swoje wzloty i upadki w 1919 r. wpadło jedną z wielu depresji znaczących jego historię. Jak i sam Eberhard Mock, zastanawiający się nad swoim falowaniem i spadaniem.

W „Głowie Minotaura", powieści Marka Krajewskiego z 2009 r., obok Eberharda Mocka pojawił się drugi jego bohater, komisarz Edward Popielski. Był to start drugiej, lwowskiej serii kryminałów tego samego autora. Liczy ona niewiele mniej tomów, bo 11. Nie ukrywam, że niecierpliwie czekam na kolejne książki o „Łyssym", te szczególnie, których akcja dzieje się przed wojną, w mieście zawsze wiernym. Jakoś mi wypady tego komisarza w inne rejony Polski mniej przypadły do gustu. A co z Mockiem, żegnającym się z czytelnikami słowami: „Nie chcę już dłużej znać siebie samego"? Otóż z posłowia Marka Krajewskiego wynika, że po cichu spodziewa się on: „(na co się raczej nie zanosi), iż kiedyś powołam go znów do życia, aby tropił morderców w zaułkach Wrocławia". A zatem może to nie jest pożegnanie ostateczne. ©℗

★★★★☆

MAREK KRAJEWSKI „BŁAGANIE O ŚMIERĆ" ZNAK, KRAKÓW 2022

eprasa.pl d5f9371c43

PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIA

Feliks W. Kres

Żadne dzieło sztuki niczego nie dowodzi ani niczego nie stwierdza, bo twierdzenia i dowody to dziedzina nauki, nie sztuki" – pisał Feliks W. Kres w „Galerii złamanych piór". Argumentował, że tylko autor może wiedzieć, co chciał powiedzieć. A mimo to spędzał lata, niestrudzenie tocząc spory: we wspomnianej książce podpowiadał kandydatom na pisarzy, jak pisać (a właściwie: jak nie powinni pisać), sam polemizował nieraz z tymi, którzy usiłowali w jego dokonaniach fantasy dopatrzeć się czegoś innego, niż widział tam i wkładał on sam. Pamiętam spór sprzed ćwierćwiecza o ekonomię i geografię poszczególnych krain Szereru. Czy kraje wymyślone przez Kresa mogą funkcjonować? Gdzie i co się uprawia? Ile opadów deszczu na metr kwadratowy? Jaki tam produkt brutto? I tak dalej.

FOT. FABRYKA SŁÓW

Może się to komuś wydać absurdalne wobec cyklu fantasy, ale według mnie to wyraz najwyższego uznania. Kres chciał w swoich książkach rozmawiać w czytelnikiem na poważnie, czytelnicy czynili to samo, więc i całkiem poważnie do analizy i dyskusji brali się krytycy i konkurenci. Pamiętam entuzjazm, z jakim fani przyjęli pierwsze opowiadania Kresa (prawdziwe nazwisko: Witold Chmielecki), gdy pojawiały się w latach 80. i 90. w „Fantastyce", „Feniksie" czy „Voyagerze".

Kres wskazywał polskiej fantasy zupełnie inną ścieżkę niż Andrzej Sapkowski. Podczas gdy Sapek był kpiarzem, postmodernistą, tricksterem, mistrzem językowych zabaw i w ogóle fantastą postnowoczesnym, Kres wolał klimaty mroczne i bardzo poważne (nie tylko dlatego, że drugą z jego serii „Zjednoczone Królestwa" jest dark fantasy). Żmudnie pracował nad tym, by czytelnik odwiedzający jego krainy miał poczucie obcowania z prawdziwymi postaciami, które dokonują prawdziwych, trudnych wyborów (i noszą na sobie prawdziwe zbroje, władają prawdziwą bronią). Jego zamiłowanie do detalu było niezwykłe. Ale żeby nie popadać w przyczynkarstwo: ważniejsze jest to, że świat Szereru – miejsce akcji głównego cyklu Kresa „Księga Całości" – to kreacja unikatowa na skalę światową, miejsce, w którym tajemnicza moc obdarzyła inteligencją ludzi, koty i sępy.

W 2011 r. rzucił pisanie, kilka lat później ogłosił, że to tylko pauza; ostatnie lata przyniosły renesans zainteresowania jego twórczością, zapowiedział dwie nowe książki. Zmarł przedwcześnie, 13 października, w wieku 56 lat. Będzie go bardzo brakowało. ©℗

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obydwie części „Dziennika wojennego", korespondencje z Niemiec, Austrii i Francji, radiowe pogadanki, trzy teksty o kwestiach polskich (w tym „Powstanie warszawskie i jego krytycy"). Przekład i wybór: Bartłomiej Zborski.

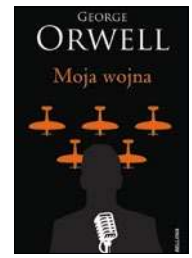

GEORGE ORWELL „MOJA WOJNA" BELLONA

Wybrane i przełożone przez Andrzeja Kopackiego wiersze jednego z najwybitniejszych współczesnych poetów niemieckich, znanego w Polsce z tomu „Mizantrop na Capri". Czas na przekład esejów niemniej fascynujących.

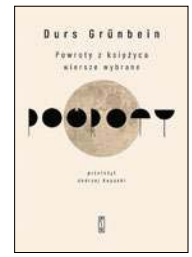

DURS GRÜNBEIN „POWROTY Z KSIĘŻYCA" PIW

Syn Arkadego Fiedlera pisał już o Majach, o Andach i Amazonii, a teraz zaprasza do Boliwii, gdzie rzadko zaglądają turyści i reporterzy. Książka ciekawa i bogato ilustrowana. Ale tato miał bardziej chwytliwe tytuły!

ARKADY RADOSŁAW FIEDLER „DO GŁĘBI INTRYGUJĄCY KRAJ" BERNARDINUM

Kolejny powrót do świata „Gry o tron", album-przewodnik po historii rodu Targaryenów, czyli bohaterów serialu „Ród smoka". Książka obejmuje czas od podboju Westeros przez przybyszów z Valyrii do bratobójczej wojny domowej. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

GEORGE R.R. MARTIN „PANOWANIE SMOKA" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „WIELKIE WYPRAWY"

Drugi tom dzieł Kasprzaka w serii „Klasyka Polskiego Komiksu". Tom „Bogowie z gwiazdozbioru Aquariusa" zbierał komiksy fantastyczne, nowy zbiór przynosi opowieści historyczne i przygodowe. Najważniejszą częścią obszernego wyboru są dwa albumy świetnego cyklu „Podróżnicy", który powstał dla słynnego belgijskiego wydawnictwa komiksowego Le Lombard; wielkie wrażenie robi „Spadająca gwiazda: Marilyn Monroe", opowieść malarska, nastrojowa, wybijająca się na tle innych, także godnych uwagi osiągnięć autora. ©℗

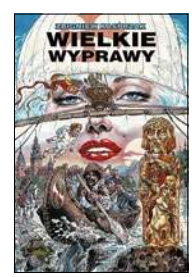

ZBIGNIEW KASPRZAK „WIELKIE WYPRAWY" EGMONT 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl d5f9371c43

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Porcelany żal

Nie tylko pomniki, znicze i kwiaty, nie tylko dziury po kulach w ścianach kamienic. Ślady powstańczego zrywu z 1944 r. zapisały się i przetrwały także na tak delikatnych przedmiotach jak porcelana. Rozbita w drobne kawałki, często nosząca ślady ognia trawiącego stolicę – odnajdywana jest w wykopach budowlanych, w piwnicach, na strychach i w antykwariatach.

W „Piosence o porcelanie" Czesław Miłosz pisał: „Różowe moje spodeczki, / Kwieciste filiżanki, / Leżące na brzegu rzeczki / Tam kędy przeszły tanki. / Wietrzyk nad wami polata, / Puchy z pierzyny roni, / Na czarny ślad opada / Złamanej cień jabłoni. / Ziemia, gdzie spojrzysz, zasłana / Bryzgami kruchej piany. / Niczego mi proszę pana / Tak nie żal jak porcelany [...]".

Na wystawie „Niczego mi tak nie żal jak porcelany" pokazano szczątki porcelany i fajansów głównie z XVIII w. W dużej części pochodzi ona ze zbiorów prywatnych i nigdy wcześniej nie była pokazywana publicznie. ©℗

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

GDZIE? *Warszawa, Zamek Królewski*
KIEDY? *do 17 stycznia 2023 r.*

FOT. ARKADIUSZ PODSTAWKA

WIWAT MUZEUM!

Efektem zbiorowego wysiłku edukatorów wszystkich działów Muzeum Narodowego we Wrocławiu jest wystawa „Wiwat Muzeum!". A na niej dzieła sztuki powstałe od średniowiecza do wieku XXI. Rzeźba średniowieczna, współczesna, malarstwo nowożytne i współczesne, sztuka ludowa, rzemiosło artystyczne... Kuratorzy wybierali takie dzieła, które ich zdaniem najlepiej oddają hasło będące tytułem ekspozycji, która szuka odpowiedzi na pytanie o rolę muzeum we współczesnym świecie. ©℗

GDZIE? *Wrocław, Muzeum Narodowe*
KIEDY? *do 22 stycznia 2023 r.*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Nie wierzcie liderom

Wypowiedzi Rogera Watersa o wojnie na Ukrainie spowodowały odwołanie jego przyszłorocznych koncertów w Polsce. To właśnie na albumie „Animals" sprzed 45 lat pojawiają się pierwsze utwory pokazujące megalomanię lidera Pink Floyd w opisie problemów świata. Właśnie ukazało się nowe, przygotowywane przez cztery lata wydanie płyty.

Wychodząc bezpośrednio od Orwellowskiego „Folwarku zwierzęcego", Waters skomponował trzy utwory, w których dzieli rasę ludzką na psy, świnie i owce. Kompozycje są momentami nieznośnie rozciągnięte, ale żadna z nich nie posiada ani uroku, ani nie jest tak różnorodna jak 26-minutowa „Shine on You Crazy Diamond" z wcześniejszego albumu. Wydanie albumu z nowym remiksem dokonanym przez Jamesa Guthrie'a było opóźnione ze względu na kłótnie dotyczące treści okolicznościowego tekstu. Nowa wersja płyty jest głośniejsza, surowsza i bardziej wściekła. Uwypuklone zostały śmiałe linie blues-rockowej gitary Davida Gilmoura i hipnotyczne space-rockowe pasaże. Według Watersa świat ludzki nigdy nie był w tak złej kondycji jak dziś i pewnie dlatego romantyczne zdjęcie Battersea Power Station z oryginalnej okładki zastąpiła mroczna, współczesna, czarno-biała fotografia. Rozbudowane wydanie albumu zawiera książkę oraz cztery płyty z remiksem Guthrie'a, każda z nich jest zapisana w innym formacie dźwiękowym (analog, DVD, Blu-ray, CD). ©℗

★★★★☆
PINK FLOYD
„ANIMALS"
WARNER

★★★★☆
THE CULT
„UNDER THE MIDNIGHT SUN"
BLACK HILL

Pierwszy od sześciu lat album Brytyjczyków, którzy przemierzyli drogę od gotyku przez hard rock do psychodelicznego metalu. Melodyjny baryton Iana Astbury'ego i pełne pogłosów gitary Billy'ego Duffy'ego jak zwykle uwodzą, ale na płycie brakuje muzycznej różnorodności.

★★★★★
BRIAN ENO
„FOREVERANDEVERNOMORE"
VERVE

Pierwszy piosenkowy album rockowego intelektualisty od 2005 r. W kilku utworach wspomaga go śpiewem córka – Darla Eno. Album składa się z przestrzennych medytacji z ekologicznym przesłaniem, będących osobistymi refleksjami Briana nad stanem naszej planety i jej przyszłością. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI

Zeszyt nr 9

Polskie odkrycia archeologiczne na świecie

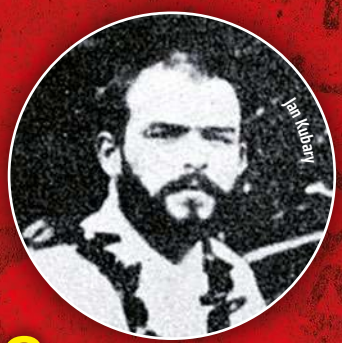

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl d5f9371c43

Z dr. Wojciechem Ejsmondem, archeologiem z Polskiej Akademii Nauk
rozmawia Piotr Włoczyk

Polskie perły nad Nilem

Profesor Michałowski z przedstawicielami Unesco w Abu Simbel, 1961 r. Od lewej: prof. J. Černý, Z. Jeżewska, prof. Michałowski, prof. S. Donadoni

FOT. DZIAŁ DOKUMENTACJI NAUKOWEJ INSTYTUTU KULTUR ŚRÓDZIEMNOMORSKICH I ORIENTALNYCH PAN

eprasa.pl d5f9371c43

PIOTR WŁOCZYK: Odkryty przez naszych archeologów słynny „Cud z Faras" musiał być dla nich nie lada zaskoczeniem. Na co początkowo nastawiali się nasi archeolodzy?

DR WOJCIECH EJSMOND: Polacy spodziewali się znaleźć tam świątynię faraońską z czasów Nowego Państwa, czyli sprzed ok. 3,5 tys. lat. Jednak w miarę postępu prac wykopaliskowych, zamiast oczekiwanych kamiennych bloków, oczom badaczy zaczęły się ukazywać ceglane mury i malowidła przedstawiające… Jezusa Chrystusa, Maryję i świętych. Zabytek ten był dużo młodszy od wyczekiwanej świątyni faraońskiej, ale odkrycie katedry z Faras było bardziej spektakularne i stało się sensacją na skalę światową. Ta chrześcijańska katedra powstała w VII w. n.e. Była rozbudowywana i upiększana przez kolejne stulecia, ale w końcu została porzucona i przykryły ją piaski pustyni.

Jak Polacy poradzili sobie z zabezpieczeniem bezcennych fresków?

Malowidła były bardzo delikatne i w każdej chwili mogły odpaść od ścian. Na szczęście nadzorujący te prace prof. Kazimierz Michałowski zawsze miał pod ręką specjalistów z różnych dziedzin i tym razem nie było inaczej. Towarzyszący mu konserwatorzy zaproponowali nowatorską metodę ratowania malowideł, które bez strat udało się zdjąć ze ścian. Przeniesiono je następnie do Muzeum Narodowego w Chartumie, gdzie kontynuowano prace konserwatorskie.

Duża część tych malowideł trafiła jednak do Muzeum Narodowego w Warszawie. Jak do tego doszło?

Podczas ratowania zabytków dolnej Nubii rządy Egiptu i Sudanu podjęły decyzję, że biorące udział w tych pracach misje zagraniczne będą mogły zabrać ze sobą część zabytków. Profesor Michałowski wysłał do Warszawy te malowidła, które uznał za najbardziej wartościowe dla dalszych badań. To była niepowtarzalna okazja, ponieważ bardzo rzadko się zdarza, by gospodarze byli aż tak hojni i przekazali aż połowę znalezisk. Nawiasem mówiąc, do dziś rząd sudański jest nam bardzo przychylny. Sudańczycy dobrze nas wspominają i pracujący tam polscy archeolodzy wciąż mogą wywozić ze sobą dużo zabytków.

„Cud z Faras" być może nigdy nie zostałby odkryty, gdyby Egipt nie rozpoczął gigantycznej inwestycji na Nilu.

Gdy na początku lat 60. Egipcjanie kończyli budowę Wielkiej Tamy Asuańskiej, która miała stworzyć jezioro Nasera – ogromny zbiornik wodny na Nilu na granicy Egiptu i Sudanu (część tego akwenu znajdowała się po sudańskiej stronie granicy) – wśród archeologów na całym świecie doszło do wielkiej mobilizacji. Badacze starożytnego Egiptu i Nubii dosłownie ścigali się z czasem.

Faras. Zdejmowanie malowidła

FOT. DZIAŁ DOKUMENTACJI NAUKOWEJ INSTYTUTU KULTUR ŚRÓDZIEMNOMORSKICH I ORIENTALNYCH PAN

Poza odkryciem katedry w Faras Polacy ratowali wówczas emblematyczny zabytek starożytnego Egiptu. Dlaczego światowi eksperci wybrali prof. Michałowskiego na przewodniczącego komitetu ds. ratowania tej świątyni?

Jezioro Nasera miało pochłonąć również świątynię Ramzesa II w Abu Simbel. Zwyciężył pomysł, który gorąco popierał Michałowski, zakładający „pokrojenie" świątyni na kawałki i przeniesienie jej ok. 65 metrów wyżej, z kolei np. brytyjskie, francuskie i włoskie projekty przewidywały przeniesienie nietkniętego monumentu – skrajnie trudne przedsięwzięcie, wręcz nierealne – albo pozostawienie go na miejscu, czyli po prostu zalanie wodą.

Gdyby nie zespół, którego kierownikiem był prof. Michałowski, i jego zdroworozsądkowe podejście, świątynia najpewniej zniknęłaby pod wodami Nilu i nie moglibyśmy jej podziwiać w pełnej krasie.

Czym dla Egipcjan jest ten zabytek?

Świątynia Ramzesa II w Abu Simbel to jeden z najbardziej znanych monumentów starożytnego świata. Był manifestacją potęgi tego słynnego faraona. Można wręcz powiedzieć, że była to propagandowa budowla. Usytuowano ją na granicy państwa, by każdy, kto wkraczał do Egiptu z terenów Nubii (dziś Sudanu), widział te kolosalne rzeźby. Efekt musiał być piorunujący dla ludzi, którzy widzieli to po raz pierwszy – oto wchodzili do mocarstwa.

Cały ten monument został „pokrojony", ponumerowany i przeniesiony kilkadziesiąt metrów wyżej. Poszczególne elementy zostały tak dobrze spasowane, że praktycznie w ogóle nie widać łączeń.

Chyba bez przesady można nazwać prof. Michałowskiego ojcem sukcesu polskiej egiptologii?

Historycznie rzecz biorąc, prof. Michałowski to najważniejszy archeolog z Polski. Można go wręcz nazwać ojcem polskiej archeologii śródziemnomorskiej. Profesor Michałowski zapoczątkował, jeszcze przed 1939 r., polskie wykopaliska w Egipcie. Chciał też rozpocząć polskie badania w Grecji, ale wojna mu to uniemożliwiła. Nie będzie przesadą, jeżeli powiemy, że wprowadził on polską archeologię na światowe salony. Właśnie dzięki prof. Michałowskiemu funkcjonuje polska misja w świątyni grobowej królowej Hatszepsut w Deir el-Bahari.

To kolejna perła Egiptu.

Po wielkich piramidach i Karnaku jest to bez wątpienia najbardziej znany zabytek w Egipcie. Teren, na którym znajduje się świątynia, był badany przez Francuzów, Brytyjczyków i Amerykanów, czyli narody o największym doświadczeniu i dorobku, jeżeli chodzi o egiptologię. Poprzednie misje stwierdziły, że stanowisko w Deir el-Bahari jest już dokumentnie przebadane. W latach 50. pojawiła się sprzyjająca sytuacja polityczna, ponieważ Egipt flirtował z ZSRS i prof. Michałowski, jako że pochodził przecież z bloku wschodniego, dostał od Egipcjan propozycję, że może wybrać jakiekolwiek stanowisko. Była to niesamowita okazja.

Profesor wybrał świątynię w Deir el-Bahari i rozpoczął w 1961 r. prace

eprasa.pl d5f9371c43

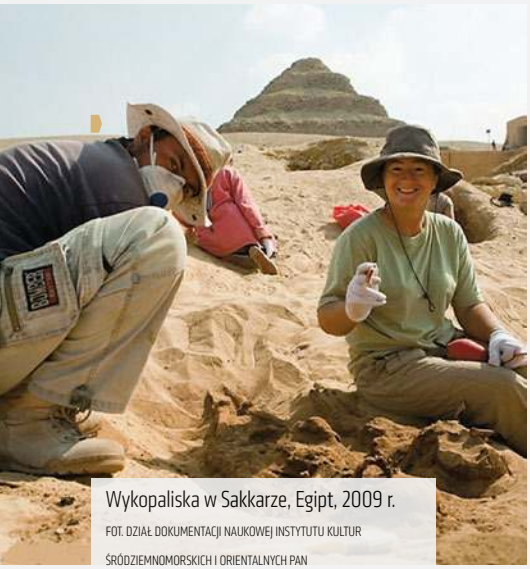

Wykopaliska w Sakkarze, Egipt, 2009 r.
FOT. DZIAŁ DOKUMENTACJI NAUKOWEJ INSTYTUTU KULTUR ŚRÓDZIEMNOMORSKICH I ORIENTALNYCH PAN

Doktor Wojciech Ejsmond i Dániel Takács podczas badania reliefów w skalnej świątyni
FOT. P. WITKOWSKI

mające na celu dokumentowanie i zrekonstruowanie tego zabytku. Zaczęto odbudowę kolumnad i zespołu reliefów. Przy okazji oczyszczano cały ten teren. Polska misja odkryła w trakcie prac archeologicznych nieznaną wcześniej świątynię Totmesa III. Znaleziono tam świetnie zachowane rzeźby, m.in. przedstawiającą samego Totmesa III. Aż dziw bierze, że wcześniej pracujące tam misje archeologiczne jej nie znalazły. Przecież prowadziła do niej rampa, którą było widać, ale jakoś nikt nie pomyślał, że musi do czegoś prowadzić.

Na zdjęciach rzeźba wygląda na nietkniętą.

Jest to obecnie bodaj najbardziej znany zabytek w muzeum w Luksorze. Odkrycie tak monumentalnej, nieznanej wcześniej świątyni również było sensacją na skalę światową.

Dzięki renomie naszych archeologów polskim specjalistom zaproponowano badania w Dolinie Królów – w grobowcu Ramzesa III. Profesor Michałowski dostawał w tamtym czasie kolejne propozycje badań, m.in. w Aleksandrii, gdzie Polacy odkryli jeszcze jedną perełkę – najstarszy zachowany uniwersytet z salami wykładowymi z IV w. n.e. Wiemy, że istniały starsze akademie, ale nie są one znane archeologicznie.

Profesor Michałowski wykształcił całą plejadę utalentowanych następców. Jednym z jego uczniów jest prof. Karol Myśliwiec, który zasłynął badaniami przy piramidzie Dżesera.

Profesor Myśliwiec szybko stał się bardzo rozpoznawalny w środowisku egiptologów za sprawą udziału w różnych misjach, kierowaniu polskimi wykopaliskami w Tell Atrib i wysokiej klasy publikacjom. Dzięki tej renomie udało mu się uzyskać od Egipcjan pozwolenie na wykopaliska w Sakkarze. Znajduje się tam najstarsza piramida. Sakkara była nekropolą stołecznego Memfis. Profesor Myśliwiec zrobił coś, co nikomu wcześniej nie przyszło do głowy. Wszyscy badacze do tamtej pory kopali na wschód, północ i południe od piramidy Dżesera, dokonując wspaniałych odkryć – m.in. natrafiono na grobowce wezyrów i innych władców. Nikt nie wpadł jednak na pomysł, by kopać po zachodniej stronie.

Jak to możliwe?

To faktycznie zadziwiające przeoczenie, podobnie jak w przypadku świątyni Totmesa III. Pewnym wytłumaczeniem może być fakt, że zachodnia strona wyglądała niepozornie – była dosyć równa i piaszczysta, gdyż nie była rozorana przez rabusiów. Na pierwszy rzut oka nie zdradzała żadnego potencjału do odkryć. Początkowo Polacy znaleźli tam „standardowe" obiekty, czyli pochówki z czasów

Wykopaliska w Banganarti, Sudan, 2001 r.
FOT. DZIAŁ DOKUMENTACJI NAUKOWEJ INSTYTUTU KULTUR ŚRÓDZIEMNOMORSKICH I ORIENTALNYCH PAN

eprasa.pl d5f9371c43

grecko-rzymskich. Gdy jednak prof. Myśliwiec zszedł niżej, zaczęły się zarysowywać ściany skalne. Była to tzw. Sucha Fosa. Jest to rodzaj wykopu, który ciągnie się dokoła piramidy Dżesera. Do dziś nie ma pewności, do czego to służyło. Zdaniem obecnie kierującego misją prof. Kamila Kuraszkiewicza było to coś w rodzaju trójwymiarowego modelu drogi zmarłego faraona w zaświaty. Z czasem, niekiedy setki lat po śmierci Dżesera, w ścianach „Suchej Fosy" najważniejsi urzędnicy państwowi – m.in. wezyrowie, czyli odpowiednicy premierów – zaczęli wykuwać swoje własne grobowce. Profesor Myśliwiec znalazł w „Suchej Fosie" świetnie zachowany grobowiec wezyra Merefnebefa. Kolor dekoracji malarskiej jego ścian jest czasami tak dobrze zachowany, że można odnieść wrażenie, iż pochówku dokonano kilka dekad temu, a nie kilka tysięcy lat temu. Odkrycie to również było sensacją na skalę światową.

Wygląda na to, że wielkie odkrycia Polaków w Egipcie to wciąż otwarty rozdział, w końcu cały czas pracują tam nasi archeolodzy. Które stanowiska dają dziś największe nadzieje na sukces?

Naukowcy z Krakowa i Poznania pracują obecnie w delcie Nilu na stanowisku Tell el-Farcha. Po polsku oznacza to „Wzgórze Kurczaka". To niewielki pagórek obok miejscowości Gazala. Profesor Krzysztof Ciałowicz i dr Marek Chłodnicki rozpoczęli tam wykopaliska w latach 90. Wcześniej działali w Tell el-Farcha Włosi, którzy znaleźli tam pozostałości osady z czasów formowania się cywilizacji egipskiej (IV tysiąclecie p.n.e.). Polscy archeolodzy odkryli w najstarszych warstwach stanowiska pozostałości po rdzennych mieszkańcach, tzw. kulturę dolnoegipską. Została ona w późniejszym okresie zastąpiona przez kulturę górnoegipską z południa. Te wykopaliska mogą pomóc ustalić, co się stało, że doszło do tej wielkiej zmiany. Do tej pory uważano, że miał miejsce podbój. Najnowsze badania podważyły to twierdzenie i wskazują na stopniową infiltrację ludności z południa. Tell el-Farcha było ważnym centrum politycznym i handlowym. Badania prowadzone w tym miejscu pomagają nam zrozumieć, jak doszło do jednoczenia się starożytnego Egiptu w jedno państwo.

Pan z kolei kieruje misją archeologiczną w Egipcie w mikroregionie Gebelein. Czytelnicy mogą kojarzyć to miejsce z odnalezienia słynnych, liczących 5,5 tys. lat, wyjątkowo dobrze zachowanych mumii z okresu predynastycznego. Czy kolejne tego typu odkrycia są pańskim głównym celem?

Niewykluczone, że natrafimy tam na podobne mumie, ale doświadczenie uczy, że w archeologii lepiej się nie nastawiać na konkretne znalezisko. Ziemia zawsze zaskakuje archeologa. Zazwyczaj bowiem działa to tak, że duże odkrycia przychodzą niespodziewanie. W Gebelein zajmuję się głównie „wykopaliskami archiwalnymi".

Czyli?

Zanim Egipt wyłonił się jako zjednoczone państwo, wcześniej istniały na tamtych terenach mniejsze organizmy polityczne. W Gebelein znajdowała się stolica jednego z tych protopaństewek. To głęboka „prehistoria", jeżeli chodzi o Egipt, mówimy bowiem o IV tysiącleciu p.n.e.

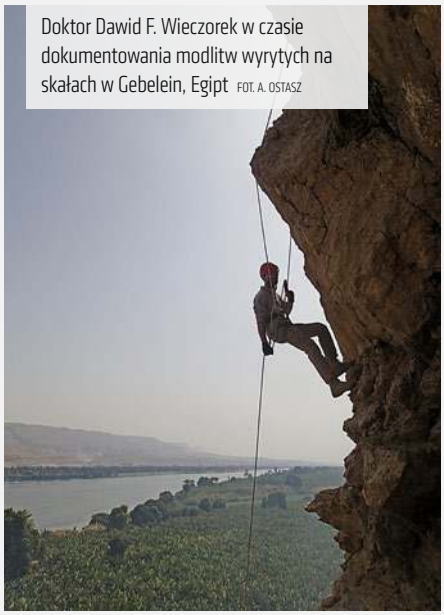

Doktor Dawid F. Wieczorek w czasie dokumentowania modlitw wyrytych na skałach w Gebelein, Egipt FOT. A. OSTASZ

Miejsce to było dosłownie przeorane przez poprzednie misje archeologiczne, ale badacze zazwyczaj nie publikowali wyników swoich badań...

Dlaczego? Nie znajdowano tam niczego ciekawego?

Jak najbardziej odkrywano tam cenne rzeczy. Wyjaśnienie jest bardzo prozaiczne. Wyobraźmy sobie, że dana misja archeologiczna jedzie do najważniejszych miejsc w Egipcie, jak np. Dolina Królowych, i na koniec zahacza o Gebelein. Zwykle bowiem w XIX w. i na początku XX w. misje pracowały w kilku wybranych miejscach. Na tle odkryć z Doliny Królowych znalezienie w Gebelein jakichś „rozbitych skorup" czy grobowca z malowidłami, co prawda prowincjonalnymi w stylu, nie wygląda zbyt spektakularnie. Badacze skupiali się na „większych" odkryciach i po prostu mało komu chciało się publikować wyniki badań z Gebelein, skoro do wyboru były też królewskie grobowce. Dodatkowo miejsce to było systematycznie grabione przez rabusiów, których łupy trafiały potem na rynek antykwaryczny. W ten sposób kolekcje Muzeum Brytyjskiego, Luwru czy Muzeum Egipskiego w Turynie zapełniły się setkami zabytków z Gebelein, ale tak naprawdę nie wiadomo było, skąd dokładnie zostały zabrane, jaki był ich pierwotny kontekst itp. Moim zadaniem jest zrekontekstualizowanie tych zabytków, czyli ustalenie, gdzie je znaleziono, w jakim kontekście były używane, jak je datować. Wyniki tych prac są kapitalne.

Co udało się ustalić na temat statusu Gebelein?

Jeszcze nie tak dawno badacze dyskutowali, czy Gebelein należy uznawać za stolicę jednego z protopaństw, które weszło potem w skład królestwa egipskiego, czy raczej była to głęboka prowincja. Moje badania pokazały, że mamy tu do czynienia ze stolicą z prawdziwego zdarzenia, gdzie byli lokalni władcy i bardzo bogata elita. Gebelein było niedoceniane, bo wcześniej nikt nawet nie dokonał podsumowania wcześniejszych badań, przez co nie było wiadomo, jak wyglądały bogactwo i znaczenie tego terenu na tle innych stanowisk archeologicznych w Egipcie.

Gebelein było białą plamą na archeologicznej mapie Egiptu, ale udało nam się to zmienić.

Poza „wykopaliskami archiwalnymi" prowadzimy tam też „normalne" badania, w których biorą udział znakomici badacze z kilku krajów. Przykładowo znaleźliśmy nieznaną wcześniej nekropolę, gdzie odkryliśmy duże, wykute w skale grobowce, a nieco dalej na północ wykutą w skale świątynię. Z kolei na skałach w jej pobliżu odkryliśmy najstarsze egipskie modlitwy z terenu świątynnego…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Wojciech Ejsmond jest archeologiem, pracownikiem naukowym Instytutu Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych PAN. Kieruje misją archeologiczną w Egipcie w mikroregionie Gebelein oraz współprowadzi badania egipskich mumii w Warszawie.

eprasa.pl d5f9371c43

Lepszy niż Indiana Jones

Wojciech Simon

Jego odkrycie pełnej malowideł nubijskiej katedry, zwanej „cudem w Faras", wzbudziło sensację na całym świecie. Profesor Kazimierz Michałowski odnosił wiele sukcesów również na innych stanowiskach archeologicznych. Twórca polskiej szkoły archeologii nie lubił jednak, gdy ktoś mówił, że mu się „poszczęściło". Bardzo starannie dobierał bowiem miejsca wykopalisk, dzięki czemu odkryte przez niego zabytki budziły podziw zwiedzających z wielu państw

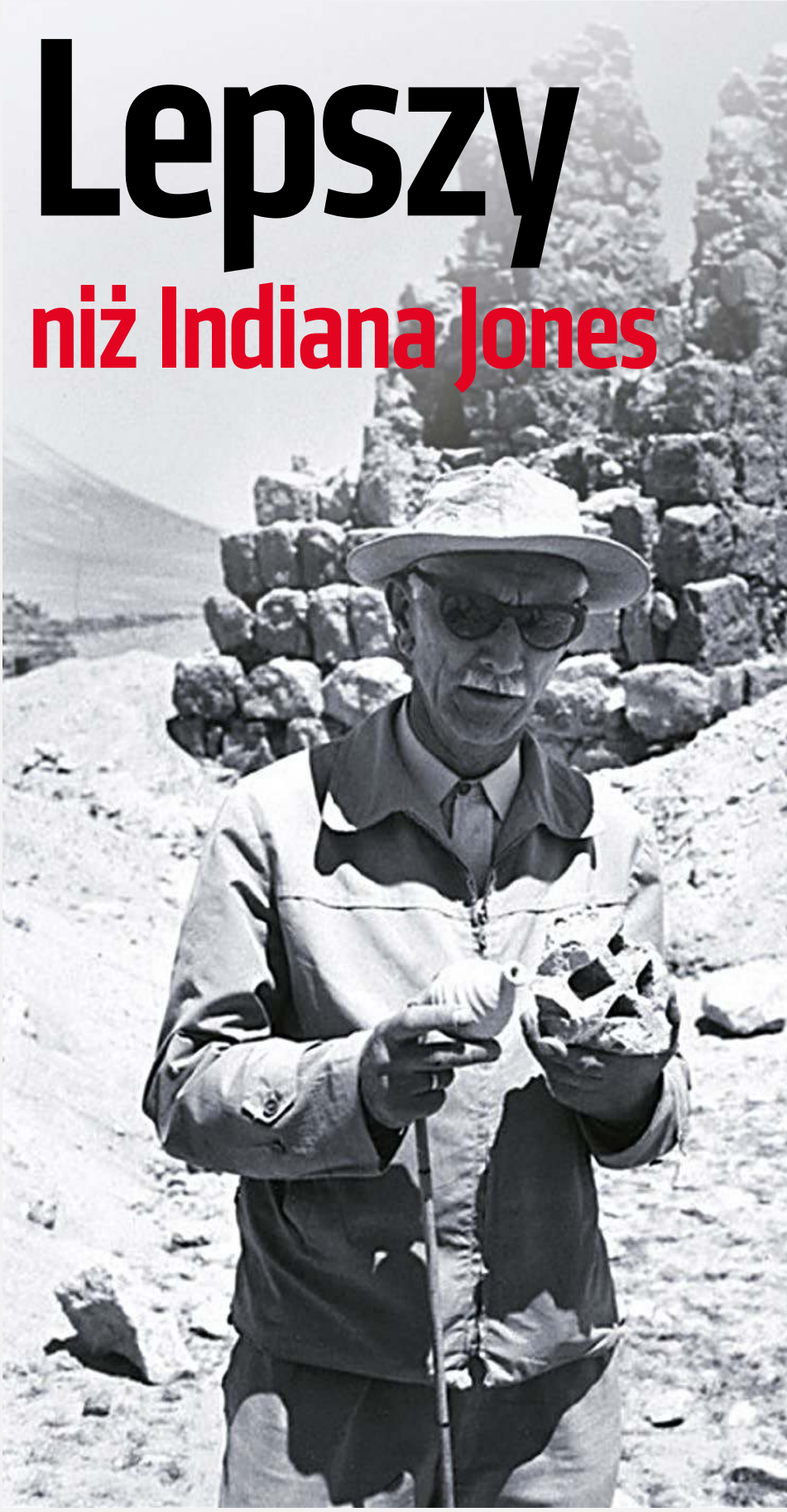

Polscy archeolodzy od wielu lat odnoszą spektakularne sukcesy, a nazwisk najsłynniejszych z naszych rodaków uczą się studenci na uniwersytetach w różnych krajach świata. Polskim archeologom szlaki przecierał już choćby znany pisarz, mecenas i teoretyk sztuki Stanisław Kostka Potocki – uczony arystokrata, który w Wilanowie założył jedno z pierwszych muzeów, a także przetłumaczył, poprawił i uzupełnił dzieło „O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski". Potocki, prawdziwy człowiek renesansu, był zafascynowany sztuką antyczną. Nie tylko kolekcjonował greckie wazy, lecz także wielokrotnie zwiedzał cudem zachowane dla potomnych włoskie Pompeje czy Herkulanum i prowadził własne wykopaliska w Nola pod Neapolem.

ARCHEOLOGICZNA ELITA ELIT

Historia polskiej archeologii oficjalnie sięga XIX w., gdy na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie zaczęła działać Katedra Archeologii. Na początku wieku XX, dokładnie 14 grudnia 1901 r., w Tarnopolu urodził się zaś nie tylko przyszły ojciec polskiej szkoły archeologii, lecz także jeden z najwybitniejszych archeologów świata i wybitny znawca archeologii śródziemnomorskiej. Po ukończeniu tarnopolskiego gimnazjum wstąpił w roku 1918 do wojska odradzającej się Rzeczypospolitej Polskiej. Studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie był słuchaczem m.in.

eprasa.pl d5f9371c43

Kazimierz Michałowski na wykopaliskach w Palmyrze, 1962 r. (fotografia z wystawy: Wiesław Prażuch „Wizerunki", Stara Galeria ZPAF, Warszawa 1988) FOT. WIESŁAW PRAŻUCH/CYFROWE.MNW.ART.PL/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 PL

wykładów słynnego filozofa Kazimierza Twardowskiego. Interesował się jednak nie tylko filozofią, lecz także z zaciekawieniem zgłębiał wiedzę z dziedziny historii sztuki. Tajniki klasycznej archeologii poznawał nie tylko we Lwowie, lecz także w Berlinie, Heidelbergu, Münster, Rzymie, Atenach czy Paryżu. Podczas zagranicznych studiów odwiedził również Wenecję, Mediolan czy południową Francję.

W roku 1924 uzyskał tytuł doktora, po czym kontynuował karierę naukową w Katedrze Archeologii Klasycznej. Siedem lat później został profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, na którym stworzył Katedrę Archeologii Śródziemnomorskiej. Na początku lat 30. XX w. brał udział we francuskich wykopaliskach w greckich Delfach, na Tasos oraz na Delos.

ODKRYCIA W EDFU

W roku 1934 prof. Kazimierz Michałowski wyruszył do Egiptu. Dwa lata później został kierownikiem ekspedycji archeologicznej w Tell Edfu w Górnym Egipcie, która przyniosła mu międzynarodowe uznanie. Dzięki trafnie wybranemu stanowisku – co nigdy w przypadku polskiego archeologa nie było dziełem przypadku czy szczęścia, lecz długich analiz i rozważań – podczas badań odkryto m.in. zabytki z okresu Starego Państwa. Wiele odkrytych wówczas zabytków, w tym m.in. ślepe wrota i stele, papirusy etc., przywieziono do Warszawy. W 1937 r. otwarto w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawę przedstawiającą najciekawsze przydzielone Polsce znaleziska, a sam profesor współorganizował dział sztuki starożytnej w Muzeum Narodowym.

Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej Michałowski – porucznik rezerwy pułku piechoty – wrócił do zagrożonej niemiecką inwazją ojczyzny. Po latach za osiągnięcia w walce z wrogiem otrzymał Srebrny Krzyż Virtuti Militari. Gdy dostał się do niemieckiej niewoli, został internowany, a jego zapiski z odkryć archeologicznych uległy zniszczeniu. W obozach jenieckich w Lienzu oraz Woldenbergu przekazywał współwięźniom wiedzę z różnych dziedzin, objaśniając również znaczenie hieroglifów.

Po zakończeniu wojny, w roku 1945, przyjechał do Podkowy Leśnej. Poznał tam Krystynę Baniewicz, którą wkrótce poślubił. Zdruzgotany widokiem Warszawy, przypominającej – jak zauważył

W obozach jenieckich w Lienzu oraz Woldenbergu przekazywał współwięźniom wiedzę z różnych dziedzin, objaśniając również znaczenie hieroglifów

– „ruiny miasta starożytnego, jeszcze niezupełnie odkopanego", odrzucił propozycję Francuzów objęcia stanowiska archeologicznego godnego profesora UW i rozpoczął odbudowę polskiej nauki. Pracował jako dziekan Wydziału Humanistycznego UW, a także jako prorektor Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1956 utworzył zaś Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej Polskiej Akademii Nauk. W latach 1956–1959 prowadził wykopaliska w Mirmeki na Krymie, gdzie badał pozostałości antycznej greckiej kolonii. Jego prace potwierdziły znaczenie Mirmeki jako ważnego ośrodka Królestwa Bosporańskiego, a część odkrytych zabytków – m.in. terakoty, ceramika czy stemplowane imadła – trafiły do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.

OD AMAZISA DO ABU SIMBEL

W roku 1957 prof. Michałowski – twórca terminu „archeologia śródziemnomorska", łączącego archeologię z egiptologią – powrócił nad Nil. Słynny polski naukowiec na miejsce pierwszych wykopalisk mógł wskazać jedno z najbardziej prestiżowych stanowisk niedaleko piramid. Świadomie pierwsze w pełni polskie wykopaliska rozpoczął jednak w obszarze Delty Nilu. Wybrał Tell Atrib, czyli starożytne greckie Athribis (staroegipskie Hut-ta-heri-ib), które w czasach faraońskich było historyczną stolicą 10. nomu (regionu) Dolnego Egiptu.

W 1959 r. w stolicy współczesnego Egiptu, Kairze, prof. Michałowski założył Polską Stację Archeologii Śródziemnomorskiej. Podczas prac w Palmyrze (od 1959 r.), Aleksandrii (od 1960 r.) oraz Deir el-Bahari (od 1961 r.) polscy archeolodzy odkryli m.in. skarb pełen złotych monet i biżuterii, marmurowy posąg bogini Ateny, fundamenty świątyni faraona Amazisa z VI w. p.n.e., a także świątyni z czasów Taharki, wraz depozytami fundacyjnymi obu faraonów. Odkryty wówczas przez Polaków materiał stał się punktem wyjścia do datowania, a także ułatwił zrozumienie wielu różnych

eprasa.pl d5f9371c43

kategorii zabytków. Polscy archeolodzy pod kierunkiem prof. Michałowskiego prowadzili również prace badawcze w Aleksandrii, gdzie natrafili m.in. na łaźnie z czasów Cesarstwa Rzymskiego czy egipski „amfiteatr", który podczas dalszych prac okazał się być aulą uniwersytetu z czasów rzymsko-bizantyńskich, a architekci odkryli również sale wykładowe z IV w. naszej ery. To prawdziwa architektoniczna perełka, Polacy odkryli bowiem najstarszy zachowany uniwersytet.

W kompleksie świątynnym w Deir el-Bahari polscy archeolodzy brali udział w rekonstrukcji świątyni Hatszepsut – kobiety faraona. Tuż obok świątyni królowej prof. Michałowski z zespołem odkrył także odsłoniętą spod rumowiska skalnego świątynię grobową faraona Totmesa III, pasierba Hatszepsut i jednego z największych władców starożytnego Egiptu. Ich odkrycie znów było sensacją na globalną skalę.

Polscy archeolodzy cieszyli się coraz większą renomą. Charakterystyczne dla misji naukowych prowadzonych pod kierunkiem prof. Michałowskiego było zaś to, że zawsze miał on pod ręką najlepszych specjalistów z różnych dziedzin, od antropologa poprzez architekta i konserwatora do rzeźbiarza czy malarza.

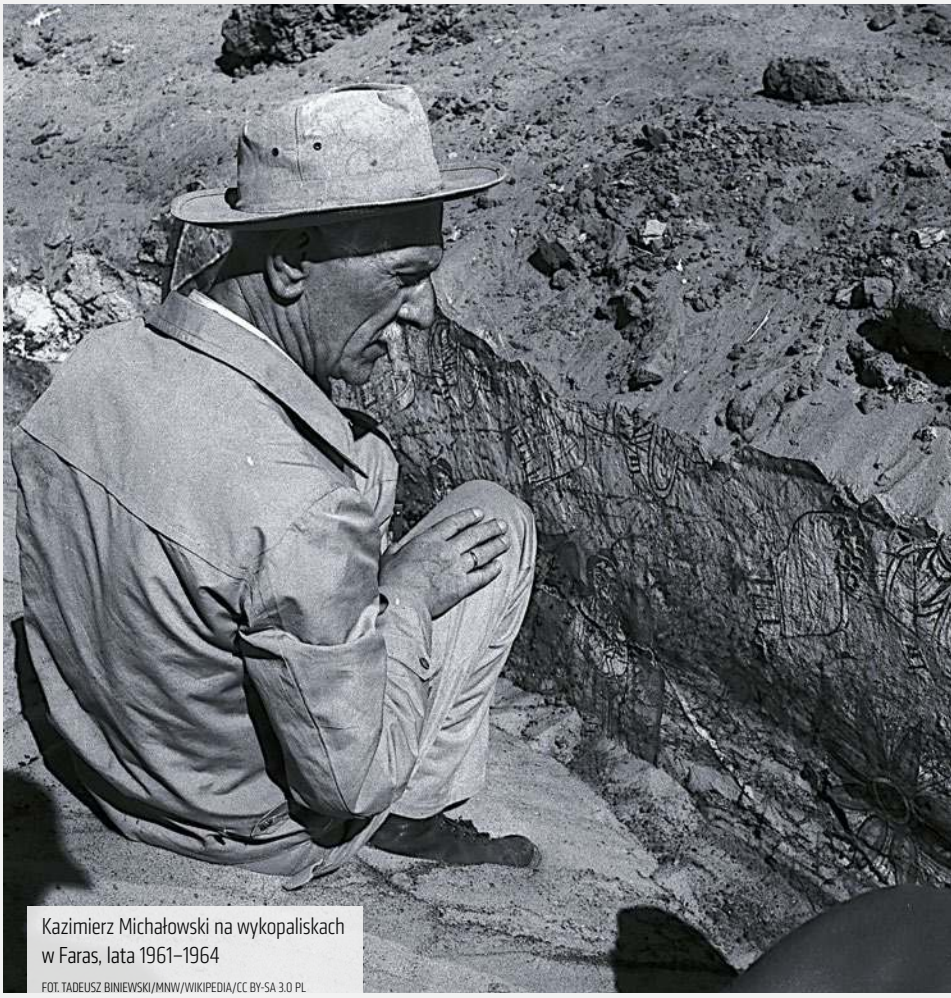

Kazimierz Michałowski na wykopaliskach w Faras, lata 1961–1964

FOT. TADEUSZ BINIEWSKI/MNW/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0 PL

„CUD Z FARAS"

Słynny polski archeolog, egiptolog i historyk sztuki zapisał się na kartach historii m.in. jako twórca jednej z dziedzin archeologii, zwanej „nubiologią". Za terminem, który wymyślił słynny Polak, kryje się nauka, której przedmiotem są kultura materialna oraz dzieje Nubii, a więc historycznej krainy znajdującej się w północno-wschodniej Afryce, południowym Egipcie i północnym Sudanie. Od 1972 r. znamienity polski naukowiec był prezesem International Society for Nubian Studies. Nie bez powodu. Archeolodzy działający właśnie pod kierownictwem prof. Michałowskiego uratowali zabytki ukazujące potęgę starożytnego Egiptu, których istnienie zagrożone było przez budowę na Nilu Wysokiej Tamy Asuańskiej. Ogromny autorytet polskiego profesora w międzynarodowym środowisku naukowym sprawił, że w latach 60. XX w. to właśnie jego wybrano na przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Ekspertów do spraw Ratowania Skalnych Świątyń Abu Simbel. Obie budowle – Wielka Świątynia Ramzesa II oraz Świątynia Nefertari – zostały wydrążone w skale nad zachodnim brzegiem Nilu, ok. 300 km na południe od Asuanu. Aby zabytkowe budowle nie zostały całkowicie zalane, archeolodzy przeprowadzili skomplikowaną i kosztowną (szacowaną na 36 mln dol.) operację pocięcia świątyń na bloki i przeniesienia ich ponad lustro wody Jeziora Nasera, ok. 65 m wyżej w stosunku do ich pierwotnej lokalizacji. Misja zakończyła się powodzeniem, a w roku 1979 przeniesione świątynie zostały wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Na akcie erekcyjnym, wmurowanym w piedestał posągu Ramzesa II w sanktuarium wielkiej świątyni, uwiecznione zostały trzy podpisy: prof. Michałowskiego, przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego UNESCO oraz ministra kultury Egiptu.

Podczas akcji ratowania zabytków Nubii w latach 60. XX w. zespół kierowany przez prof. Michałowskiego dokonał m.in. sensacyjnego odkrycia na terenie wykopalisk w Faras, prowadzonych w latach 1961–1964 w małej wiosce leżącej w pobliżu granicy sudańsko-egipskiej. I to właśnie prace archeologiczne prowadzone na tym stanowisku odegrały ogromną rolę w naukowej karierze prof. Michałowskiego; tamtejsze wykopaliska miały również historyczne znaczenie dla rozwoju polskiej archeologii.

Najstarsza budowla, ukryta w piaskach w obrębie fortyfikacji, okazała się być wczesnochrześcijańskim kościołem z cegły mułowej. W pierwszej nubijskiej katerze z VII w. n.e. polscy naukowcy odkryli 169 malowideł ściennych wykonanych techniką tempery na suchym tynku, a także ok. 750 inskrypcji w językach greckim, staronubijskim oraz koptyjskim. Sławę polskim badaczom przyniosło również odsłonięcie niezwykłej listy lokalnych biskupów i kapłanów. Przy okazji odnaleziono także wyroby rzemieślnicze, w tym malowane naczynia ceramiczne. O tym, jak przełomowe było odkrycie polskich archeologów, może świadczyć rozgłos, jaki towarzyszył mu w światowym mediach, a także określenie znaleziska jakże znaczącym zwrotem: „cud z Faras".

JEDYNA TAKA GALERIA

Znaczna część odkrytych zabytków za zgodą lokalnych władz została przetrans-

eprasa.pl d5f9371c43

portowana do Muzeum Narodowego w Warszawie, które od 1972 r. prezentowane są w Galerii Faras. W 2014 r. przeprowadzono gruntowną rearanżację galerii i obecnie można w niej oglądać liczący ponad 60 arcydzieł zespół malowideł pochodzących z katedry w Faras, a także kamienne części wystroju kościoła, inskrypcje, ceramikę etc. Jednym z najsłynniejszych przykładów dawnej sztuki nubijskiej jest tajemniczy i wręcz hipnotyzujący portret św. Anny (VIII w.). Na kolejnych malowidłach przedstawieni są również m.in. św. Ammoniusz, pustelnik z el-Tuna (VIII w.), bp Petros pod opieką św. Piotra Apostoła (974–997), bp Marianos pod opieką Chrystusa i Matki Boskiej z Dzieciątkiem (1005–1036). Galeria Faras jest więc punktem obowiązkowym dla każdego miłośnika historii sztuki, zwłaszcza że jest ona jedyną w Europie galerią sztuki malarstwa nubijskiego.

Polska szkoła archeologiczna dzięki prof. Michałowskiemu zyskała międzynarodową sławę nie tylko ze względu na wielkie odkrycia, lecz także z powodu spektakularnych umiejętności polskich konserwatorów i utrzymanych przez Polaków dobrych stosunków z lokalną ludnością. Połączenie tych zalet sprawiło, że nie tylko udało się np. oddzielić kolejne warstwy malowideł w Faras, zdjąć ze ścian 110 z nich, lecz także bezpiecznie przetransportować je do Muzeum Narodowego Sudanu w Chartumie i muzeum w Warszawie, gdzie poddano je kolejnym etapom konserwacji.

SUKCES NA CYPRZE

Profesor Michałowski prowadził również misje na Nea Paphos na Cyprze (od 1965 r. do 1970 r.). Wykopaliska w Nowym Pafos, mieście założonym pod koniec IV w. p.n.e., już podczas pierwszych dni prac przyniosły niezwykle ciekawe odkrycia, kiedy to polscy archeolodzy odsłonili marmurowe rzeźby Asklepiosa i Artemidy oraz odnaleźli skarb ze srebrnymi monetami z czasów Aleksandra Wielkiego, a także Filipa Arridajosa. Archeolodzy pod kierunkiem profesora odnaleźli również malowidła z Domu Aiona przedstawiające Apolla i Muzy. Polskie wykopaliska – po prof. Michałowskim kierownikami badań w tym miejscu byli jeszcze Wiktor Andrzej Daszewski, Henryk Meyza oraz Ewdoksia Papuci-Władyka – pozwoliły nie tylko potwierdzić datę założenia starożytnego miasta, lecz także udowodniły bezsprzecznie, że Nea Pafos było centralnym ośrodkiem politycznym wyspy. Niezwykłe bogactwo zabytków odnajdowanych na terenie miasta sprawiło zaś, że zostało ono wpisane na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO.

DZIESIĄTKI KSIĄŻEK, ARTYKUŁÓW I ODZNACZEŃ

Słynny polski archeolog krzewił także wiedzę o archeologii i sztuce – zarówno na uczelniach, jak i w środowisku lokalnym. Wychował wielu znakomitych uczniów, którzy dzięki jego doświadczeniom mogli poszerzyć zakres prowadzonych przez polską szkołę archeologiczną badań o nowe okresy i obszary. Na wielu stanowiskach, na których profesor rozpoczął prace, były one kontynuowane przez kolejnych polskich badaczy, a na niektórych z nich prace archeologiczne prowadzone są do dziś przez naukowców z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej im. Kazimierza Michałowskiego.

Profesor Michałowski nie był członkiem PZPR. Komunistyczne władze utrudniały mu życie, jak tylko mogły. Zwłaszcza że pomagał też ludziom przez reżim podejrzanym, a do tego lubił książki i filmy o Jamesie Bondzie. Zapewne polubiłby również serię filmów prezentujących przygody archeologa i poszukiwacza przygód Indiany Jonesa (pierwszy z nich miał premierę w roku śmierci polskiego archeologa). Podobnie jak fikcyjny filmowy archeolog polski naukowiec również lubił przygodę, doskonale znał Egipt i z powodzeniem szukał legendarnych skarbów.

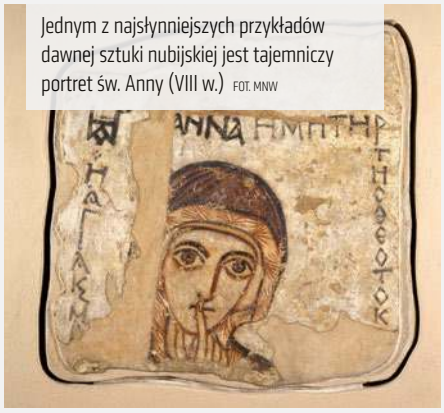

Jednym z najsłynniejszych przykładów dawnej sztuki nubijskiej jest tajemniczy portret św. Anny (VIII w.) FOT. MNW

Polski profesor do końca życia miał też problemy z partyjnymi zwierzchnikami. W wyjątkowo nieelegancki sposób rektor Uniwersytetu Warszawskiego odwołał go m.in. ze stanowiska profesora UW. Kazimierz Michałowski był niewygodny, bo nigdy nie uległ presji partyjnych aparatczyków, a na zagranicznych misjach zajmował się po prostu… archeologią.

Był też znakomitym wykładowcą i naukowcem. Podczas swej kariery naukowej prof. Michałowski wzbogacił polskie zbiory muzealne o wiele niezwykle wartościowych zabytków. Wydał także ponad 30 publikacji książkowych (w tym niezwykle popularny tytuł „Nie tylko piramidy" o sztuce w Egipcie). Napisał również kilkadziesiąt obszernych artykułów naukowych zarówno po polsku, jak i w języku angielskim, francuskim, niemieckim i hiszpańskim. Za swoje wybitne osiągnięcia został nagrodzony wieloma odznaczeniami zarówno polskimi – otrzymał m.in. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski czy Złoty Krzyż Zasługi – jak i międzynarodowymi (egipski Order Republiki II klasy, syryjski Order Zasługi I klasy, Krzyże Oficerski i Komandorski francuskiej Legii Honorowej, Krzyż Komandorski Orderu Korony Włoch, Krzyż Komandorski greckiego Orderu Feniksa czy Wielki Krzyż Oficerski belgijskiego Orderu Leopolda). Był również doktorem honoris causa prestiżowych zagranicznych uniwersytetów, np. Cambridge czy Uppsali. W 2001 r. Poczta Polska wydała również kartę pocztową z okazji setnej rocznicy jego urodzin. Popiersie przedstawiające słynnego Polaka znajduje się w ogrodach Muzeum Egipskiego w Kairze.

Po jego śmierci, 1 stycznia 1981 r., liczne nekrologi i artykuły poświęconego prof. Michałowskiemu ukazywały się nie tylko w prasie polskiej, lecz także w światowej, przypominając, jak wielki wkład wniósł on w rozwój światowej archeologii. Jego grób znajduje się w położonym nieopodal Podkowy Leśnej podwarszawskim Brwinowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Konopka M., „Żegnając Profesora Kazimierza Michałowskiego", „Z Otchłani Wieków" nr 3, 1981.

Michałowski K., „Od Edfu do Faras", Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe 1983.

Michałowski K., „Wspomnienia", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986.

Rezler-Wasielewska V., „Profesor Kazimierz Michałowski 1901–1981", „ŁRM" 2009, t. 32.

Węgłowski A., „Prof. Kazimierz Michałowski. Indiana Jones na polską miarę", Focus.pl, 5.05.2021.

Strona internetowa Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego, https://pcma.uw.edu.pl/, dostęp: 19.10.2022.

Strona internetowa Galerii Faras w Muzeum Narodowym, https://www.mnw.art.pl/o-muzeum/galer/galeria-faras/, dostęp: 19.10.2022.

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. FUNDACJA NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ

Odkrywca rzeczy nieodgrzebanych

Wojciech Simon

Profesor Karol Myśliwiec – archeolog, egiptolog, erudyta, wykładowca akademicki, miłośnik podróży. Tajniki archeologii poznawał u boku legendy, czyli prof. Michałowskiego. Wykładał w Chile, Japonii, Kanadzie i USA. Brał udział w wykopaliskach zarówno na Cyprze, jak i w Syrii, Sudanie czy Egipcie, a o jego odkryciach czytał cały świat

Urodzony w Gądkach koło Jasła w 1943 r. Karol Myśliwiec od dziecka miał zadatki na naukowca. W wywiadach opowiada bowiem, że zainteresowań miał aż nadto, bo chciał poznawać zarówno języki obce, jak i geografię, historię czy historię sztuki. – Każdy zostaje archeologiem z zupełnie innego powodu. Ja podzieliłbym moich kolegów na dwie grupy. Są tacy, którzy od urodzenia marzyli o tym, by zostać egiptologiem i być następcą Schliemanna, a drugich interesowało ogromnie wiele różnych rzeczy i zorientowali się, że wszechstronnie realizować się mogą tylko w archeologii. Ja należałem do tych drugich – mówił w Programie Drugim Polskiego Radia prof. Karol Myśliwiec, zaznaczając, że jak przystało na człowieka spod znaku Skorpiona, lubi grzebać w rzeczach dotychczas nieodgrzebanych.

Studiował romanistykę i archeologię śródziemnomorską. Na studiach dostał propozycję wyjazdu na dziewięciomiesięczne stypendium, które przedłużyło się o jakieś 10 lat. Trzeba zauważyć, że biorąc udział w różnego rodzaju wykopaliskach polskich i zagranicznych na terenie Cypru (Nea Pafos), Syrii (Palmyra), Sudanu (Kadero) czy Egiptu (Aleksandria, Deir el-Bahari, Gurna etc.), „grzebał" w rzeczach nieodgrzebanych na tyle dobrze, że szybko wyrobił sobie renomę znakomitego archeologa.

Jego zainteresowania naukowe skupiały się na historii, sztuce oraz religii Egiptu faraońskiego. Pracę doktorską „Le portrait royal dans le bas-relief du Nouvel Empire" („Portret królewski w płaskorzeźbie Nowego Państwa") obronił na Uniwersytecie Warszawskim w 1973 r., a już dwa lata później uzyskał habilitację na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W latach 1985–1995 kierował polsko-egipską misją wykopaliskową w Tell Atrib (starożytne miasto Athribis), gdzie polscy naukowcy pracowali z przerwami od lat 50. XX w. Misja pod kierownictwem prof. Myśliwca prowadziła wykopaliska ratunkowe w głębszych warstwach – rzymskich i ptolemejskich – po południowej stronie komu. Zespół Karola Myśliwca w 1986 r. odkrył tam m.in. dzielnicę zamieszkiwaną od III do I w. p.ne. przez rzemieślników i artystów, co miało ogromne znaczenie dla rozwoju archeologii. W roku 1997, pracując na stanowisku w Sakkarze, prof. Myśliwiec odkrył nieopodal piramidy Dżesera nie tylko nieznaną część nekropolii dygnitarzy Starego Państwa, lecz także wykuty w skale, świetnie zachowany grobowiec wezyra Merefnebefa z niezwykłymi malowidłami i unikatowymi reliefami. Wezyr, który żył w czasach panowania Tetiego, pierwszego władcy VI dynastii, odpowiadał za administrowanie państwem. O spektakularnym polskim odkryciu mówił więc wówczas cały świat.

Na stanowisko w Sakkarze wracał jeszcze wielokrotnie, osiągając kolejne sukcesy. Zespołowi pod jego kierownictwem udało się odnaleźć m.in. grobowiec kapłana Ni-anch-Nefertuma (w 2003 r.), kolejnej ważnej postaci z czasów Starego Państwa. Polscy archeolodzy odkryli również m.in. kamieniołomy, z których pozyskiwano wapień do budowy najstarszej piramidy świata: schodkowej piramidy faraona Dżesera oraz system podziemnych grobowców.

W 2005 r. otrzymał nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (FNP), nazywaną też Polskim Noblem, a w roku 2011 Nagrodę Prezesa Rady Ministrów za wybitne osiągniecia naukowe.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:
Myśliwiec K., „Eros nad Nilem", 1998.
Prof. Karol Myśliwiec: „Pociąga mnie chęć odkrywania rzeczy dotąd nieznanych", „Zapiski ze współczesności", Polskie Radio Dwójka, 23.07.2021.
„Tell Atrib, czyli poligon polskich archeologów w Egipcie", portal: naukawpolsce.pl.

eprasa.pl d5f9371c43

Sensacyjne odkrycia w Peru

Wojciech Simon

Polscy archeolodzy są znani na świecie z przełomowych osiągnięć nie tylko w Egipcie czy na Cyprze, lecz także w Ameryce Południowej. Profesor Miłosz Giersz i jego żona dr hab. Patrycja Prządka-Giersz dekadę temu odkryli na północy Peru mauzoleum sprzed 1,2 tys. lat, a po nim kolejne niezwykłe grobowce bogatych przedstawicieli kultury Wari pełne skarbów ze złota, srebra i z brązu oraz drogocennych kamieni

Poprzedzająca imperium Inków prekolumbijska kultura Wari, starożytna południowoamerykańska cywilizacja, która rozwijała się w okresie od ok. 600 do ok. 1000 r. n.e., od dawna budzi ogromne zainteresowanie tysięcy archeologów z całego świata.

Profesor Miłosz Giersz z Wydziału Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego za swoją pracę doktorską, obronioną na UW w 2007 r., otrzymał Nagrodę Prezesa Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej oraz Nagrodę im. Ignacego Domeyki za najlepszy doktorat z zakresu studiów latynoamerykanistycznych.

NIEZWYKŁY SKARB

Od 2002 r. Miłosz Giersz współkieruje dwoma projektami w północno-zachodnim Peru, z Projektem Archeologicznym Castillo de Huarmey. Okolice ruin dawnej stolicy nowego ośrodka władzy położonego na peruwiańskiej pustyni nad brzegami Pacyfiku od ponad stu lat były plądrowane przez zorganizowane grupy poszukiwaczy skarbów, prowadzących nielegalne wykopaliska i okradających groby.

I chociaż mnóstwo osób ostrzegało polskich naukowców, że rozpoczynając swoją misję w tym miejscu, marnują tylko czas i pieniądze, to zespół, w którego skład wchodzili obok Miłosza Giersza jego żona Patrycja Prządka-Giersz oraz Krzysztof Makowski i Roberto Pimentel Nita, odsłonił poziomy, do których rabusie nigdy nie dotarli, i w 2013 r. pod warstwą ponad 30 ton kruszonego kamienia odnaleźli prekolumbijskie mauzoleum królewskie.

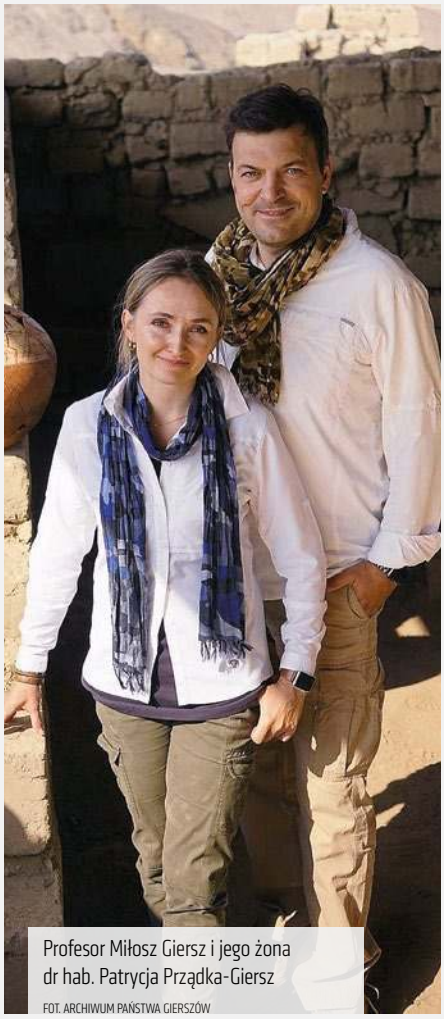

Profesor Miłosz Giersz i jego żona dr hab. Patrycja Prządka-Giersz

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWA GIERSZÓW

Był to pierwszy nienaruszony i kompletny grobowiec należący do władczyń kultury Wari. A ponieważ tym razem rabusie nie ogołocili grobu, zanim dotarli do niego archeolodzy, to oczom archeologów z Polski ukazały się prawdziwe skarby. Obok szczątków 58 arystokratek, sześciu złożonych ku ich czci ofiar ludzkich i dwojga strażników znajdowały się ponad 1,3 tys. bezcennych artefaktów ze złota, srebra, z brązu, pięknie zdobiona ceramika, kunsztownie wykonane wyroby z drewna, kości, muszli oraz drogocennych kamieni, a także wyjątkowo cennych, ozdobnych i delikatnych tkanin.

Sensacyjne odkrycie Polaków zostało uznane za jedno z 10 najważniejszych odkryć 2013 r. przez Archaeological Institute of America. Informacja o sukcesie trafiła również na łamy miesięcznika „National Geographic" (zarówno w wydaniu międzynarodowym, jak i w edycjach lokalnych) oraz dwumiesięcznika „Archaeology". Doktor Miłosz Giersz i jego żona błyskawicznie stali się gwiazdami światowej archeologii.

Wyniki ich badań, a także bogato zdobiona biżuteria, luksusowe tkaniny oraz ceramika prezentowane były publicznie m.in. w Państwowym Muzeum Etnograficznym w Warszawie na wystawie „Skarby Peru. Królewski grobowiec w Castillo de Huarmey", a także w Muzeum Sztuki w Limie, w Peru.

GALERIA ELITARNYCH RZEMIEŚLNIKÓW

To nie koniec odkryć. Zespół, na którego czele znów stanął prof. Miłosz Giersz – kierownik Katedry Archeologii Ameryk Wydziału Archeologii UW, autor wielu publikacji książkowych i artykułów poświęconych prahistorii Ameryki Południowej oraz prezes Polskiego Towarzystwa Studiów Latynoamerykańskich – podczas najnowszych wykopalisk odkrył kolejną ważną część cmentarzyska, zwaną Galerią Elitarnych Rzemieślników. W odsłoniętym fragmencie nekropolii związanej z kulturą Wari tym razem polscy i peruwiańscy archeolodzy odnaleźli groby czterech osób dorosłych oraz trojga nastolatków, którzy pracowali na dworze królewskim władców Wari. Przy ciałach naukowcy odkryli również setki narzędzi – siekiery, noże, piłę, materiały do wyplatania koszy – a także bogate dary grobowe, złote i srebrne ozdoby, wielkie zausznice, a także drewniane rękodzieła. Badania odnalezionych kości sugerują, że odkopani byli rzemieślnikami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Pringle H., „Untouched", „National Geographic" 2014.

„Ancient Wari tombs revealed in Peru", „Minerva Magazine", 14.10.2022.

Portal internetowy: uw.edu.pl.

Portal internetowy: archeologia.uw.edu.pl.

eprasa.pl d5f9371c43

Polska – archeologiczna potęga

Z prof. Mariuszem Ziółkowskim, archeologiem, dyrektorem Centrum Badań Andyjskich UW
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Peruwiański Castillo de Huarmey znany był badaczom od dawna. W jaki sposób doszło więc do odkrycia, o którym stało się tak głośno za sprawą polskich archeologów?

PROF. MARIUSZ ZIÓŁKOWSKI: Stanowisko to wygląda jak naturalne wzgórze, ale w rzeczywistości jest to nadbudowany na naturalnej skale szereg budowli wznoszonych w kolejnych fazach. Obiekt ten badany był od wielu lat, ale materiał zbierany był głównie z powierzchni. Castillo de Huarmey znajduje się przy Autostradzie Panamerykańskiej, więc dostęp do tego miejsca jest bardzo łatwy. Korzystali z tego rabusie, którzy dosłownie przetrząsnęli to miejsce.

Wydawało się, że nie ma tam już potencjału na większe odkrycia?

Tak. Niemcy po zebraniu materiału powierzchniowego nie zdecydowali się na wykopaliska. Uznali, że nie ma w tym miejscu już niczego godnego uwagi. Polacy zaczęli tam pracować w 2010 r. Ściśle mówiąc, był to zespół polsko-peruwiański. Ze strony polskiej byli to ówczesny doktor (obecnie profesor) Miłosz Giersz oraz jego żona dr Patrycja Prządka-Giersz – nawiasem mówiąc, co podkreślam zawsze z pewną satysfakcją, są to moi byli doktoranci. Z kolei ze strony peruwiańskiej w pracach archeologicznych brali udział naukowcy z Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego w Limie. Co ciekawe, w 2013 r., gdy doszło do przełomowego odkrycia, uczelnię tę reprezentował również Polak, prof. Krzysztof Makowski, pracujący w Peru już od 40 lat wybitny specjalista zajmujący się kulturami tamtego obszaru.

Naszym badaczom udało się wówczas dotrzeć do bardzo dobrze zamaskowanego grobowca. Widać było, że już w tamtych czasach – mniej więcej 1,3 tys. lat temu – budowniczowie zdawali sobie sprawę z faktu, że grobowce są rabowane. Bardzo dobrze zabezpieczono to miejsce, zakrywając je grubą warstwą rodzaju bruku, a poniżej gruzu kamiennego. Ten zabieg zniechęcił rabusiów. Jak opowia-

Galeria Elitarnych Rzemieślników znaleziona w 2022 r. znajdowała się tuż pod królewskim mauzoleum Castillo de Huarmey, odkrytym 10 lat wcześniej FOT. M. GIERSZ

eprasa.pl d5f9371c43

dał mi prof. Giersz, badacze zdali sobie sprawę, że coś jest na rzeczy, gdy między kamieniami zobaczyli martwe larwy owadów, które żerują na zwłokach.

Archeolodzy często podkreślają, że w tym zawodzie naprawdę warto mieć interdyscyplinarną wiedzę...

Jak najbardziej. Dzięki temu odkryto w Castillo de Huarmey grobowiec elitarny, w którym złożono głównie kobiety. Było to 58 kobiet arystokratek z tzw. królową Wari na czele, którym towarzyszyli sześć złożonych w ofierze osób oraz dwóch strażników, którzy mieli pilnować spokoju pochowanych.

Czym było Wari?

Było to imperium andyjskie funkcjonujące mniej więcej między 600 a 1000 r. po Chrystusie, które miało główny ośrodek, nazwijmy go stolicą, w okolicach Ayacucho w środkowych Andach Peruwiańskich. Nie dość, że odkryty grobowiec był nienaruszony, to znaleziono tam jeszcze bogate ozdoby ze złota i srebra, doskonale zachowane narzędzia tkackie oraz dużą ilość ceramiki. Było to znalezisko wyjątkowe, ponieważ był to jedyny dotychczas znany grobowiec królewski Wari.

O międzynarodowej randze odkrycia w Castillo de Huarmey świadczy fakt, że uznane zostało ono za jedno 10 z największych odkryć archeologicznych na świecie w 2013 r.

To zresztą nie koniec. Na początku bieżącego roku ekspedycja państwa Gierszów odkryła kolejne grobowce, tym razem elitarnych rzemieślników. W wyposażeniu jednego z odkrytych pochówków, poza ciekawymi ozdobami świadczącymi o wysokiej pozycji rzemieślników, znaleziono również ich narzędzia, co jest dla badaczy niezwykle cenne. Być może jeszcze inne tajemnice Castillo de Huarmey czekają na odkrycie.

Jak w ogóle polscy archeolodzy znaleźli się w Ameryce Łacińskiej?

To bardzo ciekawa historia. W przypadku rejonu śródziemnomorskiego sprawa jest oczywista i wszyscy łączą początek obecności polskich archeologów ze słynnym prof. Kazimierzem Michałowskim i założoną przez niego w 1958 r. polską Stacją Badawczą w Kairze. Obecnie jest to Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego, znane szerzej pod angielskim skrótem PCMA. A skąd się wzięli polscy archeolodzy w Ameryce Łacińskiej? Trzeba tu wspomnieć o XIX w. i polskich inżynierach. W okresie, gdy Polska nie istniała jako państwo, wielu polskich inżynierów wykształconych głównie we Francji – byli to uchodźcy po powstaniach listopadowym i styczniowym – po studiach otrzymało kontrakty w Ameryce Łacińskiej, szczególnie w Peru i Chile. Budowali tam m.in. linie kolejowe, drogi i mosty. Najsłynniejszym z nich był oczywiście Ernest Malinowski.

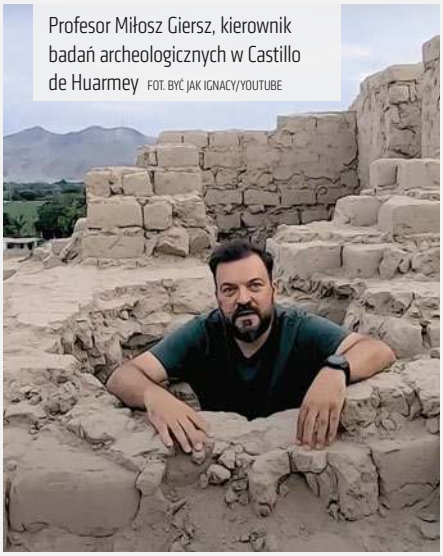

Profesor Miłosz Giersz, kierownik badań archeologicznych w Castillo de Huarmey FOT. BYĆ JAK IGNACY/YOUTUBE

To byli doskonale wykształceni ludzie o szerokich horyzontach. Część z nich, poza pracą stricte zawodową, prowadziła też badania na pograniczu etnografii i archeologii. W Chile pracował Ignacy Domeyko, wybitny geolog, który jest autorem wnikliwej pracy etnograficznej dotyczącej Araukanów, zwanych też Mapuczami. Wielu naszych inżynierów pracujących w Ameryce Łacińskiej interesowało się zabytkami kultur preinkaskich i inkaskich. Pisali oni na ten temat teksty, które pod koniec XIX w. ukazywały się w polskiej prasie. Dzięki temu Polacy byli wówczas całkiem dobrze poinformowani na temat zabytków Nowego Świata. Jeden z tych inżynierów, Władysław Kluger, przeprowadził w latach 70. XIX w. pierwsze polskie wykopaliska na terenie Ameryki Południowej, na cmentarzysku Ancón na północ od Limy. Przepisy odnośnie do wywozu zabytków były wówczas bardzo liberalne i Kluger swoją kolekcję zabytków prekolumbijskich mógł podarować Akademii Umiejętności w Krakowie. Do dziś ta kolekcja stanowi podstawę zbiorów amerykanistycznych Muzeum Archeologicznego w Krakowie.

eprasa.pl d5f9371c43

Antyczny naszyjnik Majów z jadeitu

FOT. ADOBE STOCK

II RP kontynuowała te tradycje?

Zainteresowanie na poziomie publicystycznym było utrzymywane, m.in. w związku z planami (nieudanymi zresztą) osadnictwa polskiego w Amazonii peruwiańskiej z przełomu lat 20. i 30., ale w czasie dwudziestolecia międzywojennego w archeologii rozwijaliśmy głównie kierunek śródziemnomorski. Za Atlantyk wróciliśmy dopiero na przełomie lat 60. i 70. Stali za tym naukowcy z Krakowa – ówczesny doktor Andrzej Żaki (później profesor) i magister (obecnie doktor habilitowany) Andrzej Krzanowski. Stworzyli oni grupę naukowców zainteresowanych archeologią andyjską. Drugim ośrodkiem, powstałym mniej więcej w tym samym czasie na UW, był zakład mojego mistrza, wybitnego antropologa i amerykanisty prof. Andrzeja Wiercińskiego. W 1978 r. doszło do pierwszej polskiej oficjalnej ekspedycji archeologiczno-historyczno-etnologicznej, która dostała koncesję rządu peruwiańskiego na pracę w Andach. Było to przełomowe wydarzenie. Od tej pory jesteśmy tam obecni instytucjonalnie. W czasie tej ekspedycji miałem przyjemność być zastępcą Andrzeja Krzanowskiego. Drugim ważnym momentem było nawiązanie współpracy na stanowisku Cahuachi na pustyni Nazca, gdzie znajdują się słynne geoglify, z włoską misją prof. Giuseppe Oreficiego. Włosi pokrywali w tamtych trudnych dla nas komunistycznych czasach przelot i koszty pobytu, więc była to dla nas niesamowita okazja. Ponad 70 polskich specjalistów przeszło przez misję prof. Oreficiego w Nazca. Trudno przecenić zdobyte tam doświadczenie. Zresztą wspomniani już państwo Gierszowie również byli tam w latach 90. Tak więc obecne osiągnięcia nie wzięły się „znikąd" – polscy archeolodzy długo na to pracowali.

Przenieśmy się może do Ameryki Środkowej. Polacy również mają tam na koncie bardzo ciekawe osiągnięcia.

Chodzi oczywiście o wykopaliska badaczy z UJ pracujących na stanowisku Nakum w Gwatemali pod kierownictwem dr. hab. Jarosława Źrałki. Polacy dokonali tam wielu spektakularnych odkryć, w tym m.in. nienaruszonego grobu królewskiego z VII/VIII w. n.e., czyli z okresu klasycznego kultury Majów. Zabytki, które tam odkryto, są bardzo cenne, choć nie ma tam np. złotych ozdób, jak w Castillo de Huarmey. To dlatego, że w odróżnieniu od Ameryki Południowej w owym okresie Majowie w ogóle nie używali jeszcze metali. Natomiast wykonywali przepiękne wyroby i rzeźby z zielonego kamienia – jadeitu.

Odkryto wówczas słynny jadeitowy naszyjnik z wizerunkiem tańczącego boga kukurydzy.

Tak. I musimy przy tym pamiętać, że materiał ten był, nawet gdy już pojawiły się metale, uważany za cenniejszy od złota.

Centrum Badań Andyjskich UW, z którym jest pan związany, prowadzi z kolei prace na Machu Picchu. Czy można jeszcze coś odkryć w tak dobrze przebadanym miejscu?

Pracujemy tam od 2008 roku. Zaczęło się od zaproszenia do przeprowadzenia konsultacji konserwatorskich kilku sztandarowych budowli tego znakomitego zabytku architektury. Nasz raport na tyle się spodobał, że zaproszono nas do prowadzenia tam badań i od 2011 roku jesteśmy stale obecni na Machu Picchu. I to nie tylko w samej głównej osadzie, lecz także na terenie całego parku narodowego, liczącego blisko 326 km kw., z jego 60 stanowiskami archeologicznymi. Wykonujemy tam skanowanie laserowe i fotogrametrię architektury z wykorzystaniem najnowszych technik dokumentacji, we współpracy z ekipą prof. Jacka Kościuka z Politechniki Wrocławskiej. To z nim przeprowadziliśmy badania dwóch wyjątkowych inkaskich obserwatoriów astronomicznych. Udowodniliśmy, dzięki współpracy z astronomami z UW, że jedno z nich służyło do obserwacji widoczności Wenus oraz wschodów Słońca w okresie przesilenia.

Tych technik dokumentacji użyliśmy też na kolejnym stanowisku z listy światowego dziedzictwa UNESCO, do którego zostaliśmy zaproszeni. Samaipata to olbrzymia, pokryta petroglifami skała w środkowo-wschodniej Boliwii. Ekipa pod kierunkiem prof. Kościuka i moim wykonała pełną trójwymiarową dokumentację tego wyjątkowego obiektu w technice skanowania laserowego i fotogrametrii. Wyniki opublikowaliśmy właśnie w książkach po hiszpańsku i angielsku. Warto podkreślić, że te i nasze inne badania finansowane były grantami Narodowego Centrum Nauki oraz środkami Ministerstwa Edukacji i Nauki, które pozwoliły nam na założenie, trochę na wzór PCMA, stałej stacji badawczej w Cusco – jedynej takiej polskiej stacji na terenie Ameryk. Filię stacji mamy również w Arequipie, gdzie od 27 lat prowadzimy badania nad wysokogórskimi stanowiskami ceremonialnymi na stokach wulkanów Coropuna i Solimana, inkaskich świętych gór i wyroczni.

Zdaje się, że nasi archeolodzy mają naprawdę niezłe kontakty w Peru.

Szczególnie ważne jest to, że zdobyliśmy zaufanie miejscowych środowisk badawczych i instytucji. Przejawia się to nie tylko tym, że zapraszają nas do pracy na najważniejszych swoich zabytkach, lecz także udostępniają materiały, do których dostęp jest bardzo trudny. I tak moja doktorantka, mgr Dagmara Socha, dostała od Muzeum Sanktuariów Andyjskich Uniwersytetu Katolickiego w Arequipie (Peru) pozwolenie na badania zamrożonych mumii ofiar ludzkich składanych w czasach inkaskich na szczytach gór.

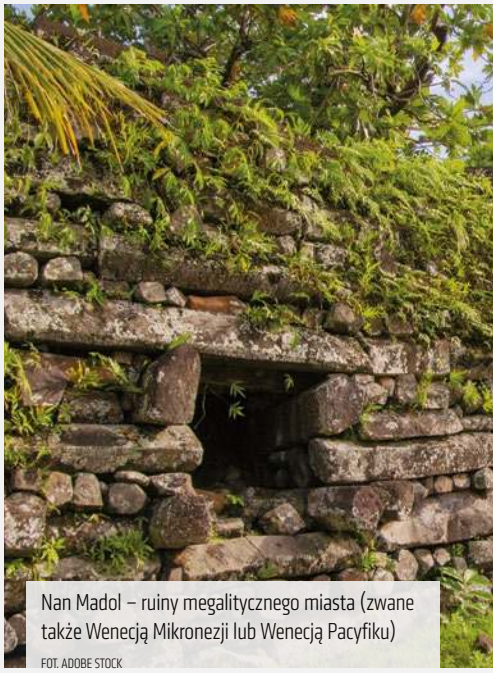

Nan Madol – ruiny megalitycznego miasta (zwane także Wenecją Mikronezji lub Wenecją Pacyfiku)

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d5f9371c43

Ostatnio wykazała ona użycie, w okresie przygotowawczym do tych ceremonii, środków halucynogennych – jest to prawdziwa sensacja naukowa, opisana teraz w najbardziej prestiżowych czasopismach naukowych.

Na pewno moglibyśmy jeszcze bardzo długo rozmawiać o osiągnięciach polskich archeologów pracujących w obu Amerykach, ale przenieśmy się już bliżej naszego regionu świata. Na Cyprze Polacy znani są z odkrycia w Pafos spektakularnego, największego na wyspie pałacu.

Na Cyprze działają dwie ekspedycje: jedna z UW, a druga z UJ. Nasza obecność na tej wyspie zaczęła się od wizyty prof. Michałowskiego w 1965 r. Szczególne znaczenie mają odkryte tam w elitarnych rezydencjach wspaniałe mozaiki.

Z kolei w Bułgarii na stanowisku Novae pracują na przemian naukowcy z UW i z UAM w Poznaniu. Badają oni rzymski garnizon zbudowany na granicy imperium. Dzięki tym badaniom można odtworzyć życie żołnierzy rzymskich na przestrzeni kilku wieków.

Warto tu jednak zauważyć, że nie wszystkie nasze osiągnięcia związane są z osobą prof. Michałowskiego. W kontekście badań w Novae nie można zapominać o prof. Kazimierzu Majewskim, też z UW, który rozpoczął te badania w latach 60. Obaj ci wielcy badacze – dyplomatycznie rzecz ujmując – nie za bardzo za sobą przepadali, ale nam wypada oddać każdemu z nich jego zasługi.

Jeżeli chodzi o Egipt i Nubię, to wygląda na to, że lista osiągnięć Polaków – w których prof. Michałowski miał ogromny udział – jest bardzo długa. Na pierwszym planie jest tu oczywiście słynny „Cud z Faras", czyli odnaleziona pod piaskami pustyni chrześcijańska katedra z wyjątkowo cennymi malowidłami.

W Egipcie i w Sudanie polscy badacze odnieśli niezwykłe sukcesy. Wspomnijmy też o badaniach w Aleksandrii, które skutkowały odkryciem najstarszego znanego nam uniwersytetu, czy odkopanie grobowca wezyra Merefnebefa w Sakkarze obok piramidy Dżesera, co było zasługą prof. Karola Myśliwca. Nie możemy też zapomnieć o zrekonstruowaniu przez naszych specjalistów świątyni Hatszepsut i odkryciu w jej pobliżu świątyni Totmesa III. Nawiasem mówiąc, nie każdy też wie, że Polacy mają w tamtym rejonie, na sudańskiej pustyni Bayuda, największą na świecie koncesję archeologiczną o powierzchni 250 tys. km kw. Pracami tymi kieruje dr Henryk Paner.

Wojna w Syrii odbiła się w tragiczny sposób również na słynnej Palmyrze. Jak wyglądają osiągnięcia polskich badaczy na terenie tego starożytnego miasta?

Najgłośniejszym echem odbiło się na świecie odnalezienie przez Polaków pozostałości świątyni bogini Allat. Została ona odkryta w tzw. obozie Dioklecjana. Było to dzieło prof. Michała Gawlikowskiego. Archeolog ten zbadał również tzw. mitreum w Hawarte, czyli świątynię poświęconą perskiemu bogowie Mitrze. Nasze badania w Palmyrze zostały oczywiście zapoczątkowane przez prof. Kazimierza Michałowskiego. Od 1959 r. pracowała tam czołówka jego uczniów, m.in. prof. Anna Sadurska i właśnie prof. Gawlikowski. Niestety, od kilku lat z powodu wojny prace te są zawieszone.

Wychodzi na to, że polscy archeolodzy wbili szpadel właściwie wszędzie.

Wymienione tu przeze mnie osiągnięcia polskich archeologów nie wyczerpują oczywiście tematu. Polacy zasłynęli również badaniami w USA, na Syberii, Kaukazie, w Tanzanii czy na Wyspie Wielkanocnej. Właśnie o Oceanii warto byłoby wspomnieć na koniec nieco szerzej, ponieważ jest to bardzo nieoczywisty kierunek polskich badań. Chodzi oczywiście o Jana Stanisława Kubarego (1846–1896) i jego wkład w światową archeologię i etnografię. Był on wybitnym badaczem Mikronezji, śmiem twierdzić, że terenowo lepszym od słynnego Bronisława Malinowskiego. Kubary żył na terenie Mikronezji wiele lat, poznał tamtejsze języki, stworzył słowniki, zbierał mity i kulturę materialną, wżenił się w tę społeczność i dał się nawet wytatuować. Wreszcie wykonał też pierwsze badania archeologiczne na stanowisku określanym mianem „Wenecji Pacyfiku" – Nan Madol. Dzięki poparciu Ministerstwa Edukacji i Nauki rozpoczęliśmy w tym roku projekt przywracania dziedzictwa Kubarego. Niedługo na Mikronezję lecą dwaj nasi badacze, którzy będą przygotowywali grunt pod konferencję naukową i wystawę, a także będą nawiązywali kontakty, abyśmy po ponad 120 latach mogli wrócić na Mikronezję. Tak więc faktycznie polscy archeolodzy pracowali – i pracują – właściwie wszędzie na świecie.

Jak pan tłumaczy to, że jesteśmy tak mocni w tej dziedzinie? Bo to przecież nie może być przypadek.

Nieskromnie mówiąc – faktycznie, Polska jest w archeologii potęgą. Różne przyczyny na to wpływają, ale jeżeli mielibyśmy spojrzeć na to od strony psychologicznej, to archeologia była dla wielu badaczy z mojego pokolenia formą intelektualnej ucieczki przed szarą rzeczywistością PRL. To była forma eskapizmu. Mam wrażenie, że z tego samego powodu jesteśmy tak dobrzy również np. w astronomii i matematyce.

Natomiast co może motywować współczesną młodzież do zajęcia się archeologią? Przecież nie wszystkim będą dane dokonywanie wielkich odkryć czy choćby praca w zawodzie. Osobiście mówię moim studentom tak: „Przeżyjcie z nami swoją przygodę życia". I jeśli nawet po studiach zostaniecie urzędnikami, przedsiębiorcami czy inwestorami giełdowymi, to przynajmniej swoim wnukom będziecie mogli opowiedzieć, jak to dziadek czy babcia pracowali na wykopaliskach na Saharze, pod lodowcami w Andach i na Kaukazie czy na wyspach Morza Śródziemnego lub Pacyfiku. Tego nigdy nie zapomnicie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Mariusz Ziółkowski jest archeologiem, wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego i profesorem honorowym Katolickiego Uniwersytetu Santa María w Arequipie, dyrektorem polskich stacji badawczych w Cusco i Arequipie (delegatur terenowych Centrum Badań Andyjskich UW).

eprasa.pl d5f9371c43

Na tropach wiedzy i przygody

Polacy dokonywali spektakularnych odkryć w różnych regionach świata. Na zdjęciu Palmyra

FOT. ADOBE STOCK

Prof. Michał Gawlikowski

Jeden z najwybitniejszych polskich archeologów, światowy autorytet w dziedzinie epigrafiki aramejskiej. Od kilkudziesięciu lat związany z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW oraz z Instytutem Archeologii UW. Na przełomie lat 70. i 80. XX w. kierował badaniami ratunkowymi w Iraku, m.in. na wyspie Bidżan na Eufracie (tzw. Haditha Project). Pracował również na stanowiskach w Syrii, gdzie stał na czele misji archeologiczno-konserwatorskiej badającej słynne mitreum w Hawarte oraz przez niemal 40 lat kierował wykopaliskami w Palmyrze. Jego zespołowi udało się dokonać spektakularnych odkryć, w tym np. ustalić ostateczną lokalizację świątyni bogini Allat, a także odsłonić wiele zabytkowych rzeźb (w tym słynnego lwa palmyreńskiego). Pracował również na stanowisku Ajnuna w Arabii Saudyjskiej u wybrzeży Morza Czerwonego. Laureat m.in. Nagrody im. prof. Jana Zachwatowicza.

Prof. Andrzej Wierciński

Znakomity antropolog i religioznawca. Był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Wykładał jednak na wielu uczelniach, w tym na Uniwersytecie Jagiellońskim, Uniwersytecie Humboldta w Berlinie, na paryskiej Sorbonie, a także w Waszyngtonie i Los Angeles. Zajmował się problematyką pochodzenia Słowian. Organizował również badania terenowe w Egipcie (1957–1959) czy Meksyku (1966). Badał zróżnicowanie rasowe człowieka, interesował się też takimi kwestiami jak magia, szamanizm, postać Zbawiciela, wierzenia reinkarnacyjne czy religia aztecka. Odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski. Zmarł w 2003 r. w wieku 73 lat.

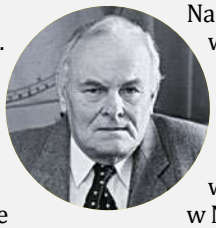

Dr hab. Jarosław Żrałka

Urodzony w 1976 r. archeolog i majanista, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, trafił na czołówki mediów, gdy w czerwcu 2006 r. wraz z Wiesławem Koszkulem dokonał spektakularnych odkryć na stanowisku archeologicznym w rejonie starożytnego miasta Nakum, w tym m.in. nienaruszonego przez rabusiów grobowca królewskiego z okresu klasycznego kultury Majów, czyli z VII/VIII w. Krakowscy archeolodzy odnaleźli w nim naczynia, pozostałości szkieletu i setki ozdób z jadeitu, który był najcenniejszym dla Majów minerałem (z tego powodu często nazywany jest „złotem Majów"). W grobie znajdowały się m.in. wyjątkowo rzadka ceramiczna misa z wizerunkiem tańczącego boga kukurydzy oraz niemal pół tysiąca paciorków z jadeitu i muszli, tworzących kilkanaście naszyjników i innych ozdób. Na klatce piersiowej zmarłego znajdował się też duży jadeitowy pektorał pokryty m.in. serią hieroglifów, oznaczającym m.in. imię nieznanego wcześniej władcy Majów. Prestiżowy miesięcznik „Archaeology" w 2011 r. uznał sukces polskiej misji w Nakum za jedno z 10 najważniejszych odkryć archeologicznych na świecie. Również magazyn „Time" ocenił, że jest to jedno ze stu najbardziej doniosłych odkryć archeologicznych ostatnich lat. Nadal prowadzi misje archeologiczne, w tym projekt związany z konserwacją, dokumentacją i interpretacją malowideł ściennych z okresu kolonialnego odkrytych w domach w mieście Chajul w Gwatemali.

Prof. Andrzej Żaki

Jeden z najwybitniejszych polskich archeologów, specjalizujący się w epoce brązu oraz wczesnego średniowiecza. Ceniony badacz Małopolski i autor ponad pół tysiąca artykułów i kilku książek. W latach 1950–1972 kierował działem archeologii Państwowych Zbiorów Sztuki oraz zespołem archeologów w ramach Kierownictwa Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu. Prace doprowadziły do wielu odkryć reliktów dawnej zabudowy, głównie sakralnej Wzgórza Wawelskiego („budowli czworokątnej", rotundy „D" oraz aneksu do rotundy NMP). Z jego inicjatywy rozpoczęto także badania przedlokacyjnego Krakowa. Wielkim sukcesem profesora było również odkrycie wraz z prof. Hawrotem fundamentów pierwszego, romańskiego kościoła na Salwatorze. W ramach Ekspedycji Karpackiej prowadził również badania archeologiczne w Przemyślu, w Wietrznie-Bóbrce, Podegrodziu, Naszacowicach, Trepczy, a także na terenie zamków w Czchowie, Czorsztynie, Tarnowie. W 1974 r. ukazało się jego dzieło „Archeologia Małopolski wczesnośredniowiecznej". Pracował również w Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, prowadził także prace wykopaliskowe w peruwiańskich Andach. W 2002 r. wrócił na stałe do Polski. ©℗

Wojciech Simon

Źródła:

Gromnicki J., „Profesor Andrzej Żaki (1924–2017)", „Wiadomości Konserwatorskie" 50/2017.

Wierciński J., „Magia i religia. Szkice z antropologii religii", Zakład Wydawniczy „NOMOS" 2000 r.

Encyklopedia PWN.

Komunikaty prasowe i strony internetowe: archeo.uj.edu.pl, antropologia.uw.edu.pl. nakumproject.com, pcma.uw.edu.pl.

FOT. CAŚ UW, INSTYTUT ARCHEOLOGII UW, INSTYTUT ARCHEOLOGII UJ, REPOZYTORIUM POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ

eprasa.pl d5f9371c43

C-ANPROM/PL/GEN/0085, 10/2022

Better Health, Brighter Future

Takeda jest globalną firmą biotechnologiczną z siedzibą w Japonii, opierającą swoją działalność na pracach rozwojowych, zaangażowaniu w odkrywanie i dostarczanie zmieniających życie terapii w czterech obszarach: onkologii, rzadkich chorób genetycznych i hematologii, neurologii oraz gastroenterologii.

Prowadzimy też ukierunkowane inwestycje badawczo-rozwojowe w terapie osoczopochodne oraz szczepionki. W pracy kierujemy się naszymi zobowiązaniami wobec pacjentów, ludzi i planety.

Copyright® 2022 Takeda Pharmaceutical Company Limited.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Wszystkie znaki handlowe są własnościami ich prawowitych właścicieli.

www.takeda.com

Takeda

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. STANISŁAW LUBA/TVP

Fatalna reputacja

Grzegorz Kondrasiuk

W „Komediantach" zespół teatralny jest mikrospołeczeństwem, w pokazowy sposób manipulowanym przez jednego z aktorów

Bronisław Wildstein napisał, a Andrzej Mastalerz zrealizował w Teatrze Telewizji dramat „Komedianci, czyli Konrad nie żyje". Spektakl, co charakterystyczne dla stanu, w jakim się znajduje dziś krytyka teatralna, doczekał się recenzji jeszcze przed premierą. Umysł rozmaitych politruków nie pozwoliłby sobie przecież na aż tak śmiałą myśl, by Wildstein z Mastalerzem, wrogowie polityczni, mogli stworzyć cokolwiek wartościowego. Tymczasem powstała udana odpowiedź na świetny serial telewizyjny „Artyści", w którym swego czasu Monika Strzępka i Paweł Demirski autokrytycznie sportretowali warszawskie środowisko teatralne. Wówczas nie oszczędzali nikogo i niczego, pokazując cynizm polityków zarządzających teatrem i bezbronnych wobec lokalnej polityki dogadanej z biznesem, wrażliwych i zarazem kabotyńskich artystów.

Fabuła tamtego serialu rozpoczynała się od objęcia dyrektorskiej posady przez naiwnego aktora, obsadzonego przez magistrat, jak się okazało, tylko po to, by doprowadzić do zamknięcia placówki. Serial powstał niedawno, w roku 2016, ale wydaje się, jakby pochodził z innej epoki. Dziś Strzępka – świeżo wybrana dyrektor warszawskiego Teatru Dramatycznego – została postacią jakby pochodzącą z własnej realizacji, a Demirski, bezkompromisowy dramaturg, dyplomatycznie milczy na ten temat (i na kilka innych). Do tej pory uchodzili za coś w rodzaju sumienia środowiska teatralnego, ale najwyraźniej zwolnili się z tej funkcji. Oto ironia losu: zamiast Strzępki i Demirskiego rachunek sumienia robi środowisku właśnie Wildstein – który, jak wiadomo, jest grubym misiem i nie ukrywa bynajmniej swoich tendencji do prowadzenia polityki kulturalnej. Swoją drogą nie posądzałem ani Wildsteina, ani Mastalerza o tak duże poczucie humoru, tymczasem niektóre sceny „Komediantów" to naprawdę udane parodie modnych, napuszonych bzdur, których nie brakuje w dzisiejszych teatrach repertuarowych. Ksiądz z ministrantem recytujący, bardzo źle, tekst „Hamleta", podczas gdy aktorka przebrana za młode dziewczę wykonuje z tymże księdzem pewne czynności seksualne… Na to wszystko wchodzi jakiś gościu przebrany za motyla… Jakbyśmy to już gdzieś widzieli, i to wielokrotnie, niestety – na poważnie.

Spektakl Mastalerza nie jest więc bynajmniej efektem wysiłków pompowania mdłego scenariusza przesłanego z centrali. Aktorzy – doskonale, bo z autopsji znający słaby teatr zaangażowany – poszli za tekstem groteskowej komedii o ambicjach filozoficznych. To też wymagało odwagi, zważywszy na środowiskowy zapał do dokonywania linczów (Już widzę te kawałki w recenzjach i plotkach, „aktor, który zasłynął w sztukach Wildsteina". Prawda, jak to dobrze brzmi?).

Pokazany w „Komediantach" teatr jest modelowym przykładem rozjechania się deklaracji z rzeczywistością. Utopijne frazesy – a w rzeczywistości mały, merkantylny światek intryg i partykularnych interesów. Zespół teatralny jest tu mikrospołeczeństwem, w pokazowy sposób manipulowanym przez jednego z aktorów, Kalibana (Andrzej Mastalerz). Wykorzystuje on pozory demokracji i równościowe postulaty lewicy (możliwości wycinania konkurencji, które daje ruch #MeToo), by wysadzić z siodła aktualnego dyrektora i rządzić teatrem po cichu, z tylnego fotela. Jako inteligentny manipulator korzysta ze słabości instytucji, w której wciąż najważniejszy jest reżyser o europejskiej sławie, który nie ma czasu ani ochoty pracować nad spektaklami. Zamiast prób – telekonferencja, podczas której geniusz wygłasza swoje górnolotne frazesy. Oto próbka tego języka, w udany sposób naśladującego aktualny, środowiskowy dialekt: „Artysta musi być dialektycznie przeciw, przeciw ustalonym formom, religiom czy tożsamościom. Artysta jest wrogiem tego, co trwa. Jak moglibyśmy zaakceptować człowieka, jeżeli ograniczylibyśmy się do jego obecnego kształtu, jego wyborów? Czy ten byt może wywołać coś więcej niż odrazę? Ale my wiemy, że człowiek to coś więcej. Jest zakorzeniony w przyszłości, a oddycha utopią".

Teatr w „Komediantach" to instytucja, która sama sobie przyznała prawo do kreacji społecznej, która głosi postulaty radykalnego przewartościowania świata. Ale w rzeczywistości nie jest w stanie ani niczego trafnie zdiagnozować, ani zarządzać nawet sama sobą. Nie ma pomysłu na interpretację klasyki (bo w nią nie wierzy), nie potrafi już opowiadać pasjonujących historii. Jedyne, co potrafi, to powtarzać, za ideologami przychodzącymi z zewnątrz, ze świata polityki, zasłyszane frazesy po to, by załatwiać po cichu własne interesy. Ponury to obrazek. Szkoda, że tak wiele ma wspólnego z rzeczywistością. Teatr nie ma dziś zbyt dobrej reputacji. Co można by było zrobić, żeby ją zmienić? To najważniejsze pytanie, a właściwie wniosek wynikający z diagnozy postawionej przez Wildsteina i Mastalerza w „Komediantach". ©℗

BRONISŁAW WILDSTEIN
„KOMEDIANCI, CZYLI KONRAD NIE ŻYJE"
REŻYSERIA: ANDRZEJ MASTALERZ
TEATR TELEWIZJI – VOD TVP

eprasa.pl d5f9371c43

REKLAMA

67 lat
historii filmu
2536 wydań

Największa baza
dorobku polskiej
kultury filmowej

Filmopedia
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

REKLAMA

ZŁOTA PALMA 2022
FESTIVAL DE CANNES
NAJLEPSZY AKTOR KANG-HO SANG

NH nowe horyzonty

KRADNIE SERCA I DAJE KOPNIAKA
W NASZĄ STREFĘ KOMFORTU
KINEMA CHROMATICA

WSPANIAŁA LEKCJA EMPATII I MIŁOŚCI
FILMOTERAPIA

BABY
BROKER

SCENARIUSZ I REŻYSERIA HIROKAZU KORE-EDA
TWÓRCA FILMU ZŁODZIEJASZKI

TYLKO W KINACH OD 28 PAŹDZIERNIKA

4! empik FILMWEB FILM.ORG.PL polki.pl VIVA! AKTIVIST RZECZY wprost K MAG STYLOWA.PL meloradio chillizet

eprasa.pl d5f9371c43

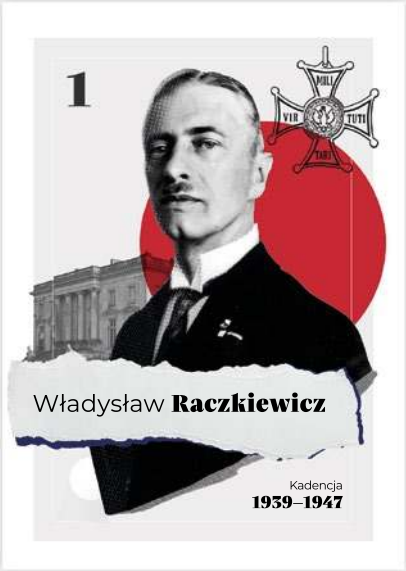

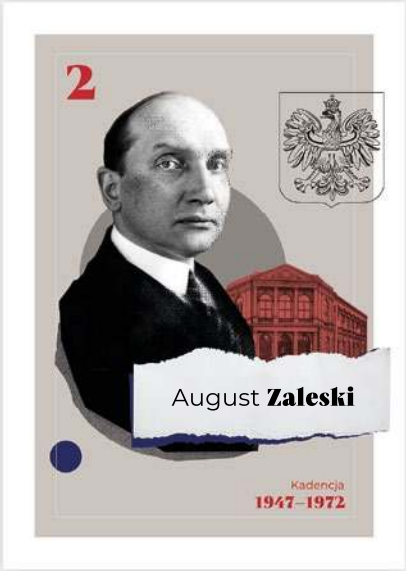

Poznaj historię Prezydentów RP na uchodźstwie

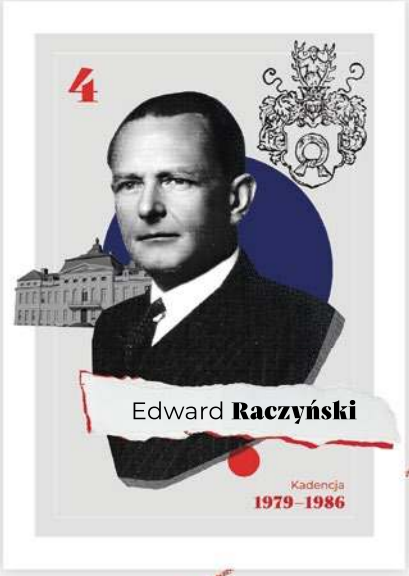

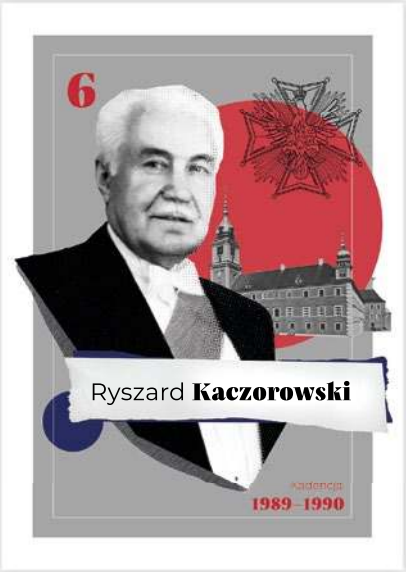

Misja: Wolna Polska

eprasa.pl d5f9371c43

Wolna Polska - misja zakończona sukcesem

Chociaż realne możliwości działania polskiego rządu na uchodźstwie były niewielkie, a jego znaczenie z biegiem lat coraz bardziej symboliczne, to jego główny cel istnienia – niepodległa i demokratyczna Polska – został osiągnięty.

Powołany jesienią 1939 roku polski rząd na uchodźstwie, chociaż pozbawiony możliwości administrowania okupowanym krajem, był realnym bytem politycznym, podmiotem prawa międzynarodowego. W roku 1990, gdy kończył swoją działalność, jego znaczenie było wyłącznie symboliczne. Czy oznacza to jednak, że przez te pół wieku przeistoczył się w nieistotny i niepotrzebny nikomu klub oderwanych od rzeczywistości starszych panów, z którymi nikt się nie liczy? Niekoniecznie.

Ofiara niesprawiedliwego pojałtańskiego rozdania geopolitycznego

Podstawa programowa nauczania historii w polskiej szkole poświęca rządowi emigracyjnemu niewiele miejsca. O ile jeszcze przy omawianiu zagadnień związanych z przebiegiem II wojny światowej nazwiska jego członków oraz podejmowane przez nich działania pojawiają się na kartach podręczników, o tyle im dalej od 1945 roku, tym rzadsze stają się wzmianki na temat „londyńczyków", o ile w ogóle się pojawiają.

Takie podejście ma oczywiście pewne uzasadnienie – przebieg II wojny światowej oraz nowe rozdanie geopolityczne po jej zakończeniu sprzyjały procesowi utraty znaczenia i konsekwentnej marginalizacji londyńskiego ośrodka polskiej władzy państwowej. Ostatnim gabinetem emigracyjnym uznawanym przez wielkie mocarstwa był rząd Tomasza Arciszewskiego, a i to wyłącznie podczas pierwszych kilku miesięcy swojego istnienia. 29 czerwca 1945 uznanie dyplomatyczne dla rządu RP na uchodźstwie wycofała Francja, uznając powołany dzień wcześniej zdominowany przez komunistów Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej z premierem Edwardem Osóbką-Morawskim. Kilka dni później, 5 lipca 1945 r., w ślady Francji poszła Wielka Brytania oraz Stany Zjednoczone.

Gdy w lipcu 1947 roku rząd Arciszewskiego kończył swoją misję i przekazywał pałeczkę gabinetowi Tadeusza Bora-Komorowskiego, uznawany był już zaledwie przez kilka państw – Kubę, Liban, Irlandię, Hiszpanię oraz Watykan. Stolica Piotrowa, jako ostatnia z tego grona wycofała swoje uznanie dyplomatyczne dla rządu londyńskiego, co stało się ostatecznie w 1972 roku.

Świadectwo ciągłości niepodległego państwa polskiego

„Powojenna historia rządu na uchodźstwie jest procesem stopniowego przeistaczania się z ośrodka politycznego mającego pewien wpływ na rzeczywistość w instytucję, której znaczenie jest przede wszystkim symboliczne" – mówi prof. Rafał Habielski, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego. *„Im dalej od końca wojny, tym bardziej pole działania władz emigracyjnych zawęża się, a jego możliwości oddziaływania na sytuację w kraju stają się coraz bardziej iluzoryczne. Trudno tu wyznaczyć jednoznaczną cezurę, dzieje się to stopniowo, ale nie ulega wątpliwości, że po 1956 roku instytucje polityczne emigracji odgrywają już niemal wyłącznie rolę symboliczną".*

Symboliczna nie znaczy jednak to samo, co nieważna

„Sensem istnienia rządu londyńskiego było dawanie świadectwa ciągłości niepodległego państwa polskiego sprzed 1939 roku oraz trwałości protestu wobec zawartych ponad głowami Polaków rozstrzygnięć dotyczących kwestii ustrojowych, zmian terytorialnych oraz podporządkowania Polski Związkowi Sowieckiemu" – podkreśla prof. Habielski.

Nie mając wpływu na sytuację polityczną w Polsce, na politykę władz komunistycznych ani też na politykę mocarstw zachodnich oraz pozostałych państw demokratycznych wobec reżimu w Warszawie, polskie władze na emigracji musiały wytyczyć sobie ramy działania biorące pod uwagę ograniczenia, jakim podlegały.

„Pozostaje kwestią dyskusyjną, co rozumiemy pod pojęciem realizmu politycznego w przypadku tych władz. Jeśli mówimy, że działalność rządu na uchodźstwie ma wymiar symboliczny, to przesądzamy, że kategoria realizmu nie była dla niego najistotniejsza. I nie mogła taka być, ponieważ politycy emigracyjni mieli świadomość, że zadania, jakie sobie stawiają, całkowicie przekraczają ich możliwości. Celem wszystkich kolejnych rządów, premierów i prezydentów było przecież to, żeby Polska była niepodległa, wyjęta spod dominacji Związku Sowieckiego i demokratyczna. Władze emigracyjne miały przy tym świadomość, że nie dysponują instrumentami, żeby ten cel osiągnąć. Stąd też stwierdzenie, że znaczenie rządu londyńskiego było symboliczne, nie deprecjonuje go, lecz wyjaśnia jego położenie i możliwości" – zaznacza prof. Habielski.

Rząd Tomasza Arciszewskiego

1944 r.

eprasa.pl d5f9371c43

Adwokaci sprawy polskiej

Zdaniem historyka nie można jednak powiedzieć, że emigracyjni politycy byli zupełnie bezsilni.

„Ich trudną do przecenienia rolą było utrzymywanie nieformalnych stosunków z rządami krajów, w których emigracja była reprezentowana” – podkreśla prof. Habielski.

Przekazanie **insygniów**

22.12.1990 r.

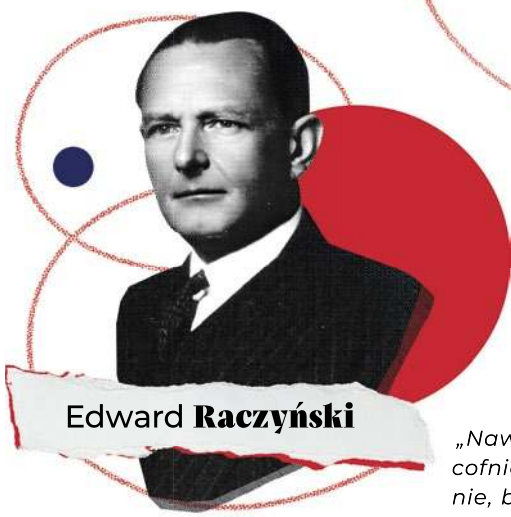

Edward **Raczyński**

W Wielkiej Brytanii taką rolę odgrywał przez długie lata, i to niezależnie od pełnionych funkcji, Edward Raczyński, który jako wieloletni ambasador nawet po cofnięciu uznania dyplomatycznego nie utracił swoich znajomości, szacunku i wpływów. Analogiczne osoby działały też w innych państwach. We Francji był to Kajetan Morawski, który był ostatnim ambasadorem rządu RP na obczyźnie przy rządzie de Gaulle'a w Algierze, a potem w Paryżu.

„Nawet po zmianie statusu, czyli po cofnięciu uznania rządowi w Londynie, byli nadal przyjmowani w ministerstwach spraw zagranicznych, a ich opinie były wysłuchiwane. Czy również brane pod uwagę, to inne zagadnienie, ale sam fakt istnienia poglądu różniącego się od stanowiska władz warszawskich, komunistycznych, miał swoje znaczenie” – mówi prof. Habielski.

Zdaniem historyka, nieprzerwane przez ponad pół wieku funkcjonowanie polskiego rządu na uchodźstwie było jednoznacznym sygnałem dla całego wolnego świata, że pomimo upływu czasu sprawa polska nie została załatwiona zgodnie z wymogami praworządności i sprawiedliwości.

„To jest kilka dekad bezkompromisowego protestu wobec ustaleń jałtańskich, stanowczej niezgody na polityczny i terytorialny finał II wojny światowej. Nieprzerwane trwanie tego ośrodka było wyrazem sprzeciwu wobec sytuacji, w jakiej Polska znalazła się w 1945 roku. I w ostatecznym rachunku misja ta dowiodła swojej niepodważalnej wartości” – podkreśla prof. Habielski.

Mauzoleum Prezydentów RP na Uchodźstwie

W listopadzie br. z Anglii do Polski sprowadzone zostaną doczesne szczątki trzech Prezydentów RP na uchodźstwie - Władysława Raczkiewicza, Augusta Zaleskiego i Stanisława Ostrowskiego. 6 listopada w Newark, w obecności przedstawicieli polskiego rządu, odbędzie się ich pożegnanie, natomiast 12 listopada będzie miał miejsce uroczysty pochówek Prezydentów w warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej. Dla upamiętnienia ich zasług dla Rzeczypospolitej otwarte zostanie Mauzoleum Prezydentów RP na Uchodźstwie wraz z Izbą Pamięci. W warszawskich uroczystościach udział weźmie Prezydent Andrzej Duda oraz najwyższe władze państwowe.

eprasa.pl d5f9371c43

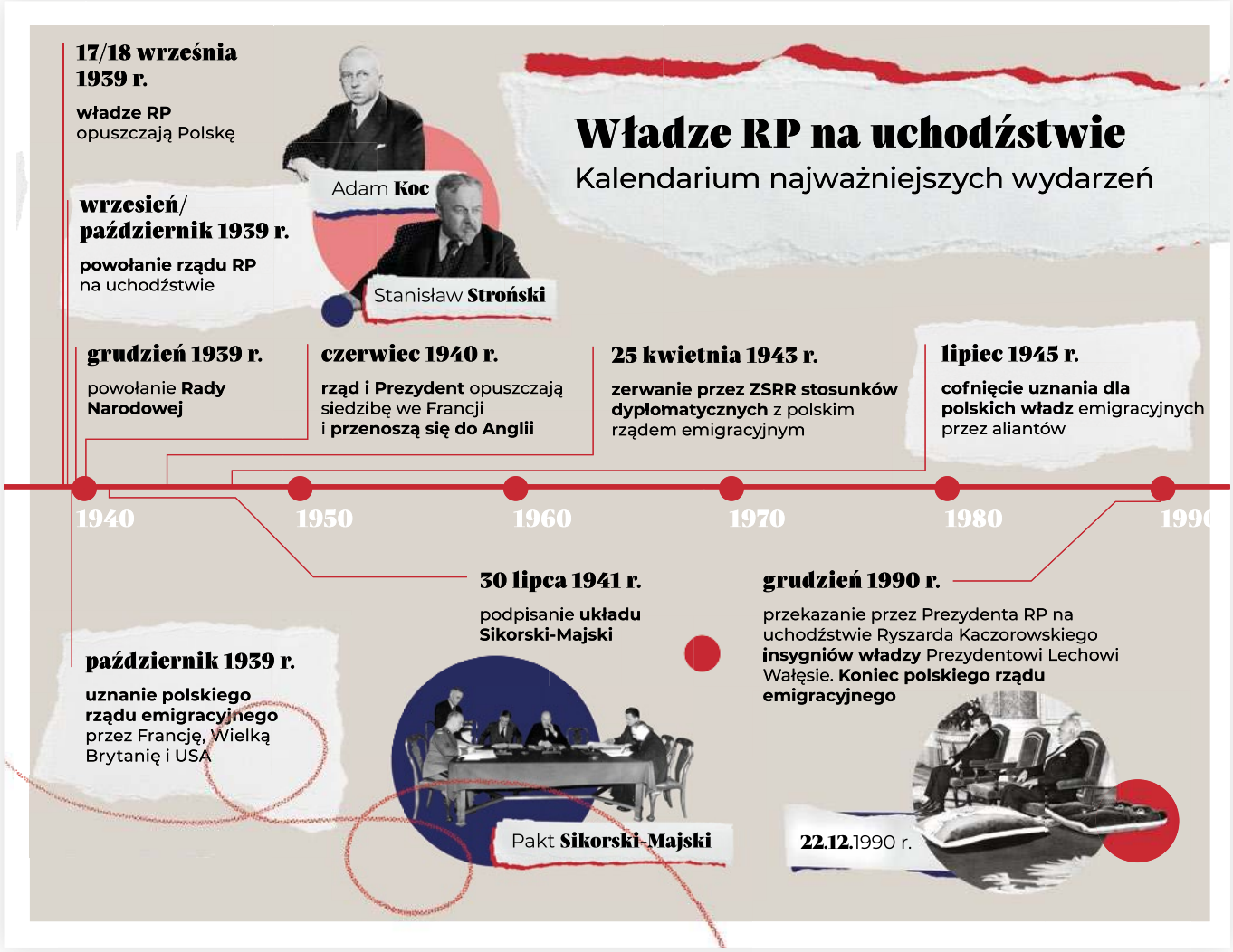

Kampania edukacyjna „Misja: Wolna Polska”

Sprowadzeniu do Polski szczątków Prezydentów towarzyszy kampania edukacyjna „Misja: Wolna Polska”. Jej celem jest przywrócenie pamięci o Prezydentach RP na uchodźstwie oraz o rządzie emigracyjnym i jego historycznej misji. W ramach kampanii uruchomiona została strona internetowa:

www.misja**wolna**polska.pl

zawierająca materiały edukacyjne na temat historii i znaczenia władz polskich na emigracji, w tym biogramy Prezydentów RP na uchodźstwie, zarys historii kolejnych gabinetów emigracyjnych w latach 1939-1990 oraz informacje na temat planowanych uroczystości państwowych.
W ramach kampanii odbędzie się ogólnopolski konkurs na projekt graficzny muralu na temat władz RP na uchodźstwie przeznaczony dla uczniów klas 6-8 szkół podstawowych i wszystkich klas szkół ponadpodstawowych.

Projekt jest objęty Patronatem Narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości.

Honorowy patronat nad przedsięwzięciem objął również Prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki.

Projekt jest realizowany przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie” we współpracy z Kancelarią Prezesa Rady Ministrów.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach zadania publicznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom za Granicą 2022

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. ADOBE STOCK

Sędziowska rebelia

Tomasz Rowiński

Sędziowie proponują nam rozdwojenie władzy sądowniczej – na tych, którzy uznają konstytucję, i na tych, którzy uznają decyzje europejskich trybunałów. Jak to się skończy?

Trzydziestu sędziów Sądu Najwyższego opublikowało list, w którym odmawia orzekania razem z sędziami powołanymi do SN przez nową Krajową Radę Sądownictwa. Autorzy listu nie nazywają ich nawet sędziami, a „osobami powołanymi w wadliwej procedurze". Deklarują jednocześnie, że ich własnej wypowiedzi nie należy traktować jako „odmowy wykonania wymiaru sprawiedliwości". Co warta jest jednak ta deklaracja, skoro uznali, że sami mogą decydować, na jakich warunkach będą orzekać lub nie? Wydaje się, że mniej więcej tyle, co słynny, pozbawiony znaczenia punkt wielu umów kupna-sprzedaży samochodu: „Kupujący zapoznał się ze stanem technicznym pojazdu". Czyli właściwie nic.

„Zachowania sędziów kwestionujące prerogatywę prezydenta – na szczęście dotyczy to niewielu – prowadzą do rebelii, do sprzecznej z konstytucją sędziokracji. To próba uwolnienia się od kontroli społecznej, a przecież sędziowie to nie żadna »nadzwyczajna kasta«, to służba" – mówiła w sierpniu I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej". Można powiedzieć, że rebelia przeciwko konstytucyjnym uprawnieniom prezydenta Rzeczypospolitej została właśnie wprowadzona w życie. Sędziowie kwestionują rzecz oczywistą – konstytucyjna władza prezydenta „uzdrawia" sytuację, nawet jeśli przy wyborze pojawiły się nieprawidłowości proceduralne. Jeśli bowiem nie ma metody kontroli aktu powołania sędziego, nikt nie może podważyć suwerennej decyzji uprawnionego organu. Tak postępowano do tej pory, i to zanim jeszcze do władzy doszła Zjednoczona Prawica. Gdy Donald Tusk powołał wbrew procedurom Annę Streżyńską na stanowisko prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej, SN w 2008 r. uznał decyzję premiera za skuteczną i niepodważalną.

ZAGĘSZCZANIE PROBLEMÓW

Wiele wskazuje na to, że „partia zagranicy i niesuwerenności" rok przed wyborami odpala wszystkie możliwe środki mogące pomóc w zmianie rządu na taki, który będzie jeszcze bardziej niż rząd PiS uległy wobec oczekiwań Brukseli.

Wszystko wskazuje także na to, że obecnie nie ma szans na uwolnienie pieniędzy z Krajowego Funduszu Odbudowy, które w ramach mechanizmu warunkowości zostały powiązane z wieloma oczekiwaniami KE. Ich realizacja jest jednak faktycznie sprzeczna z polskim interesem.

KE przymierza się także do tego, by odebrać Polsce (a dokładnie polskim samorządom) środki z funduszu

eprasa.pl d5f9371c43

spójności – twierdząc, że nasz kraj łamie wartości z Karty praw podstawowych. Chodzi o samorządowe deklaracje na rzecz praw rodziny i przeciwko ideologii gender. Miałyby one łamać unijne zapisy antydyskryminacyjne. Rząd twierdzi, że żadnej oficjalnej informacji w tej sprawie nie otrzymał. Ale czy to rzeczywiście zmniejsza zagrożenie? Czy KE gra z Polską – przynajmniej w ostatnich latach – czysto? Czy rząd dobrze sobie radzi z trudną sytuacją? Oczywiście, że nie.

Zagęszczenie problemów Polski przez podgrzanie atmosfery wokół, kwestionowanej choćby przez Europejski Trybunał Praw Człowieka, reformy sądownictwa jest elementem tej samej kampanii. To charakterystyczne: „list trzydziestu" w przedstawionej „podstawie prawnej" podjętej przez sędziów rebelii odwołuje się albo do uchwał samego środowiska sędziowskiego, albo do zagranicznych gremiów, których kompetencje zakwestionował Trybunał Konstytucyjny RP – Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

„TK uznał, że na podstawie prawa UE polskie sądy nie mogą pomijać przepisów konstytucji w trakcie orzekania oraz wydawać orzeczeń na podstawie przepisów uchylonych przez TK lub Sejm. Nie mogą też kontrolować legalności procedury powołania sędziego, w tym aktu powołania go przez Prezydenta RP oraz uchwały Krajowej Rady Sądownictwa o przedstawieniu Prezydentowi RP kandydatury na urząd sędziego – odmawiając uznania za sędziego osoby powołanej na ten urząd" – czytamy w relacji z wyroku TK w sprawie TSUE na stronach Rzecznika Praw Obywatelskich. Do TK wystąpił premier Mateusz Morawiecki, którego wątpliwość wzbudziły „przepisy prawa unijnego umożliwiające odstąpienie od stosowania polskiej konstytucji".

Co deklarują w treści listu sędziowie? Piszą m.in., że ich zdaniem „istnieją zasadnicze przeszkody prawne uniemożliwiające [ich] uczestnictwo w rozpatrywaniu spraw z udziałem osób powołanych do Sądu Najwyższego na podstawie wniosku Krajowej Rady Sądownictwa ukształtowanej w składzie i trybie przewidzianym ustawą z dnia 8 grudnia 2017 r.". Powołują się na uchwałę pełnego składu Sądu Najwyższego, czyli Izb Cywilnej, Karnej, Pracy i Ubezpieczeń Społecznych z 23 stycznia 2020 r., w której „przesądzono, że udział takiej osoby [sędziego wybranego przez nowy KRS – przyp. T.R.] w składzie Sądu Najwyższego prowadzi w każdym przypadku do nienależytej obsady sądu w rozumieniu art. 439 § 1 pkt 2 k.p.k. albo sprzeczności składu tego sądu z przepisami prawa w rozumieniu art. 379 pkt 4 k.p.c.".

Podpisani pod listem sędziowie uważają także, że rzeczona uchwała „ma moc zasady prawnej, wiążącej każdego sędziego Sądu Najwyższego. Sędzia nie może uczestniczyć w postępowaniu i wydawaniu orzeczeń, jeżeli z góry wiadomo, że będzie to stanowić bezwzględną przyczynę odwoławczą albo prowadzić do nieważności postępowania". Dalej w oświadczeniu czytamy, że „przystąpienie w takiej sytuacji do procedowania i ferowania orzeczeń jest niedopuszczalne. Nie można uznawać, że postępowanie dotknięte jest kwalifikowaną wadą procesową, i jednocześnie głosić, że sędzia ma obowiązek świadomie uczestniczyć w tej wadliwej procedurze".

PAT BEZ ROZWIĄZANIA

Należy uznać, że 30 zbuntowanych sędziów dobrze wie, jaka jest niepodważalna konstytucyjna procedura powoływania sędziów znajdująca się w 179 artykule Konstytucji RP: „Sędziowie są powoływani przez Prezydenta Rzeczypospolitej, na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa, na czas nieoznaczony". Jednak postanowili ten fakt zignorować i nadać sobie prawo do podważania decyzji prezydenta w sprawie powołania sędziów.

Kierujący Izbą Karną Sądu Najwyższego sędzia Michał Laskowski w wypowiedzi, której udzielił stacji TVN 24, podjętą akcję uzasadnił tym, że sędziowie nie wiedzą już, „jak mają bronić praworządności". Dodał, że podpisujący oświadczenie sędziowie chcą „zaapelować o to, żeby ten stan praworządności się pojawił, był przywrócony czy zbudowany na nowo, ale zgodnie z regułami konstytucyjnymi i europejskimi".

Problem w tym, że dziś nie da się w jednym rzędzie postawić reguł „konstytucyjnych" i „europejskich", ponieważ instytucje europejskie występują przeciwko porządkowi konstytucyjnemu w Polsce. Przede wszystkim zaś roszczą sobie prawo do ingerencji w sprawy wewnętrzne naszego kraju pozostające poza ich traktatowymi kompetencjami.

„Apelujemy o to, żeby wyznaczać odrębne składy: tzw. starych i tzw. nowych sędziów, i to nie z tego powodu, że mamy jakąś osobistą niechęć do nowych sędziów, tylko chcemy uniknąć na przyszłość podstaw podważania orzeczeń. Dotychczas tak się dzieje. W Izbie Karnej od wielu miesięcy mamy taki stan. Taki stan był również w innych izbach. W tej chwili zaczyna się to zmieniać, zwłaszcza w Izbie Cywilnej, i stąd są już powyznaczane składy mieszane i stąd takie oświadczenie" – wyjaśniał sędzia Laskowski. Ta pozornie ugodowa propozycja oznacza jednak w praktyce utrwalanie rozdwojenia władzy sądowniczej w Polsce na tę, która uznaje konstytucję, i tę, która jej nie uznaje, za to uznaje decyzje europejskich trybunałów. Autorytet tych ostatnich ma dalece niejasne źródło co do pochodzenia, a z pewnością nie jest poddany żadnej kontroli.

Czy można się spodziewać reakcji I prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Manowskiej? Niekoniecznie. We wspomnianym sierpniowym wywiadzie dla „DGP" deklarowała, że nie będzie dawała sędziom okazji do łatwego męczeństwa.

Profesor Aleksander Stępkowski, rzecznik Sądu Najwyższego, nazwał akcję z oświadczeniem „odgrzewanym kotletem" z nowymi „retorycznymi przyprawami". – Opinia publiczna jest bardziej zainteresowana wypełnianiem przez Sąd Najwyższy jego konstytucyjnych zadań niż tym, że jakaś grupa sędziów nienawidzi tych, którzy odważyli się zostać sędziami SN, nie pytając ich o zgodę – podsumował sprawę Stępkowski.

Trudno się spodziewać jakiegoś rozwiązania trwającego pata. Być może sytuację zmienią kolejne wybory. Jeśli wygrałaby je opozycja, trzeba się spodziewać kolejnego przewrotu w sądownictwie. Czy jednak Tusk i spółka zdecydują się na podważenie konstytucyjnych i suwerennych decyzji prezydenta po latach brania na sztandary konstytucji RP? Ostatnio jakoś rzadziej słychać, by to konstytucja była rzeczywistą troską opozycji…

Skręt w lewo Platformy Obywatelskiej wskazuje, że na nowym politycznym etapie opozycja chciałaby konstytucję raczej wywrócić, podważając prawa, które ona zabezpiecza – ochronę małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny czy ochronę życia dzieci nienarodzonych. Być może to, co oglądamy, jest częścią przygotowania opinii publicznej do możliwie szerokiej „kontrrewolucji", którą opozycja chciałaby przeprowadzić po ewentualnie wygranych wyborach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

Marek Kuchciński przemawia na 29. zjeździe rządzącej na Węgrzech partii Fidesz w Budapeszcie, 14 listopada 2021 r.

FOT. SZILARD KOSZTICSAK/EPA/PAP

Z prof. Maciejem Szymanowskim, hungarystą i dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. W. Felczaka
rozmawia Karol Gac

Wolni z wolnymi i równi z równymi

KAROL GAC: Panie dyrektorze, w którym miejscu jesteśmy w relacjach polsko-węgierskich?

PROF. MACIEJ SZYMANOWSKI: W dobrym. Myślę, że w Polsce w końcu przebiła się podstawowa informacja o roli Węgier w pomocy Ukrainie, co długo było niejasne. Trzeba podkreślić, że to m.in. największa pomoc humanitarna w dziejach tego państwa, a także wsparcie na szczeblu unijnym czy NATO-wskim, o czym nie zawsze mówi się głośno. Nie jest również tajemnicą, że Węgrzy dostarczają Ukrainie energię czy leczą ukraińskich żołnierzy w swoich szpitalach. Dzieje się to wszystko pomimo złych stosunków ukraińsko-węgierskich, które i przed wojną nie były najlepsze. W dodatku poparcie przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego węgierskiej opozycji na ostatniej prostej w kampanii wyborczej na pewno też się im nie przysłużyło.

Relacje polsko-węgierskie są pewną funkcją układu sił i tego, co się dzieje obecnie w Europie Środkowej. Poza Polską i Węgrami mamy okres dużej niestabilności politycznej w regionie. W Bułgarii mieliśmy czwarte przedterminowe wybory parlamentarne, w Rumunii są kolejne kryzysy, na Słowacji rząd mniejszościowy, a w Czechach bardziej niż szeroka koalicja. Nikt w tych państwach nie ma głowy do zajmowania się na serio polityką zagraniczną. Poza tym niemal wszystkie kraje naszej części Europy są przestraszone wizją kryzysu w Europie. W Polsce tego tak nie odczuwamy, ponieważ przeszliśmy kryzys finansowy lat 2008/2009 dość łagodnie. Po pandemii jako pierwsi zanotowaliśmy w UE duży wzrost gospodarczy. Pomimo obecnej sytuacji na rynku energetycznym większość Polaków wciąż nie obawia się np. wzrostu bezrobocia. To sprawia, że mamy problem ze zrozumieniem tego, jak myślą inne rządy, które bardzo mocno się obawiają nadchodzącej zimy, a rząd węgierski do nich należy. Z drugiej strony coraz więcej rozumiemy z polityki Węgier i Europy Środkowej po 24 lutego, bo to jest data graniczna, która zmieniła m.in. nasze myślenie.

Relacje z Węgrami były na zakręcie? Premier Mateusz Morawiecki pod koniec lipca stwierdził, że

eprasa.pl d5f9371c43

drogi Polski i Węgier się rozeszły, choć niedawno przyznał, że chce wrócić do wspólnych działań w obszarach, „w których łączą nas wartości i interesy".

Sądzę, że jesteśmy już za tym zakrętem. Powinniśmy również mieć świadomość, że stosunki polsko-węgierskie są rozgrywane przez trzecich partnerów, zwłaszcza w Unii Europejskiej. Wzajemna gwarancja w sprawie weta w sytuacji, w której Bruksela poszłaby za daleko w tłumieniu suwerennościowej polityki Polski i Węgier, drażni wielu. Ostatnie miesiące są doskonałym przykładem na to, jak bardzo często ulegaliśmy różnym fake newsom. Zdarzało się też, że polskiego premiera pytano o rzekome wypowiedzi Viktora Orbána, które były po prostu celowo zmanipulowane.

Warszawa i Budapeszt zmagają się z coraz większą presją ze strony Brukseli i instytucji unijnych. Czy ta płaszczyzna współpracy obu państw pozostała niewzruszona?

Moim zdaniem tak. Różnice między Polską a Węgrami wynikają raczej z taktyki pewnych kręgów czy polityki Berlina i Brukseli oraz próby odrębnego traktowania, co ma sprawić, że oba państwa przestaną się wspierać. Nie przez przypadek wspomniałem o aspekcie niestabilności politycznej, bo to oznacza, że takie rządy na ogół nie są w stanie prowadzić aktywnej polityki wobec Berlina i Brukseli. Wyjątkiem są Polska i Węgry, które prowadzą suwerennościową politykę. I słusznie, czego wielu nie rozumie, choć zasada jest prosta, że teoretycznie można być krajem suwerennym i niedemokratycznym, ale w drugą stronę to nie działa. Kraj niesuwerenny nigdy nie może być demokratyczny, ponieważ politycy nie realizują oczekiwań wyborców, lecz innych kręgów interesów czy państw. Ta świadomość jest nad Dunajem i Wisłą.

Mamy instrumenty do realizacji polityki, która gwarantuje zachowanie suwerenności naszych państw i UE jako organizacji suwerennych państw. To się nie zmieni do czasu zmiany władzy w obu państwach. Warto też zauważyć, że w Polsce i na Węgrzech demokracja historycznie była tworzona od dołu. To inny model niż francuski czy niemiecki, gdzie to wola władcy rozstrzygała o tym, co się dzieje. U nas ta wola zawsze była ograniczana, np. przez szlachtę. Podświadomie czujemy, że narzucenie czegoś z góry i próba przymuszenia do tego prędzej czy później rozbiją Unię.

Wzajemna gwarancja w sprawie weta w sytuacji, w której Bruksela poszłaby za daleko w tłumieniu polityki Polski i Węgier, drażni wielu

Jak pan ocenia taktykę Polski i Węgier w sprawie Unii Europejskiej z ostatnich miesięcy? W Polsce mieliśmy nieudaną próbę porozumienia się z Komisją Europejską, a następnie deklaratywne zaostrzenie kursu. Z kolei wobec Węgier zaproponowano uruchomienie mechanizmu warunkowości w budżecie UE, co sprawiło, że Viktor Orbán szuka konsensusu.

Nie widzę rozbieżnych punktów, a już na pewno nie co do celów strategicznych. Instytucje unijne łamią praworządność, nie przyznając tych środków, jednocześnie zakłócając regułę równości szans na rynku. Nie jesteśmy jednak w tym wszystkim bezbronni. Powinniśmy za to pamiętać, że czas płynie, ponieważ jeśli te środki nie zostaną przyznane do wiosny przyszłego roku, to nawet gdyby zostały przyznane np. po wyborach, to kolejny rząd już z nich nie skorzysta, bo takie są mechanizmy wydatkowania tych środków. Trzeba więc mieć tę świadomość, że w takim wypadku Polska nie skorzystałaby ze środków z KPO, co zapewne uruchomiły odpowiednią reakcję. Mamy np. możliwość dużej swobody w polityce podatkowej wobec zagranicznego kapitału. Mogę zdradzić, że na Węgrzech już przed rokiem podkreślano, że nie łudzą się w sprawie KPO i przygotowują się na scenariusz, w którym nie otrzymają pieniędzy.

Wspomniał pan, że trzeba mieć świadomość tego, iż nasze relacje z Węgrami są często rozgrywane przez innych, a zwłaszcza Niemcy. Nie ma pan poczucia, że w Polsce jest niewielu polityków, którzy mają tego świadomość i mówią o tym otwarcie? Jednym z nich jest np. Marek Kuchciński, który został właśnie szefem kancelarii premiera, a który na rzecz naszych relacji w Europie Środkowej działa nie od dziś.

Zgadzam się. Przypominam sobie lata, w których Marek Kuchciński jako marszałek Sejmu de facto stworzył coś, co się nazywa dyplomacją parlamentarną, z czego Niemcy czy USA korzystają od wielu lat. Chodzi o to, że nie tylko Ministerstwo Spraw Zagranicznych dba o polski lobbing, lecz także parlamentarzyści. Owocem tego był np. przełom w stosunkach polsko-litewskich, które były złe przed 2016 r. Co by było, gdyby były one złe także teraz? Podobnie wyglądało to w sprawie Czech. Patrzyłem na wiele rzeczy z bliska i wiem, że stosunki z Czechami nie byłyby takie, jakie były do czasu sporu w sprawie Turowa, gdyby nie praca Marka Kuchcińskiego. Odbywały się liczne spotkania z czeskimi politykami, co dało efekty później.

Dzięki jego pracy udało się wielu państwom pokazać, że myślimy w kategoriach stabilnej Europy Środkowej, w której żyjemy jak wolni z wolnymi i równi z równymi. To doktryna Marka Kuchcińskiego, którą powtarzał w swoich przemówieniach i rozmowach. W efekcie nasi partnerzy widzieli, że Polska nie patrzy wyłącznie na swój interes narodowy, ale znacznie szerzej. W wielu stolicach zrozumiano, że mamy do wyboru dwie drogi – albo wzajemnego szachowania się i doraźnych koalicji, albo współpracy w różnych ramach, by stworzyć sytuację win-win.

Zwycięstwo każdego państwa ciągnie cały region w górę, ale porażka jednego z nas to zaproszenie mocarstw, by zaprowadziły tu swoje porządki. Nigdy Europie Środkowej nie wychodziło to na dobre.

Czy to nie dowód także na to, że konsekwentna, długofalowa praca u podstaw ma sens i przynosi realne efekty?

To prawda. Nie o wszystkim mogę mówić, ale zapewniam, że Marek Kuchciński na Węgrzech, Ukrainie czy Litwie, to jeden z najbardziej rozpoznawalnych Polaków, którego uważa się tam za osobę przyjazną i honorową, z którą można otwarcie porozmawiać. To wieloletnia praca włożona np. w konferencję Europa Karpat, która gromadzi ludzi z Europy Środkowej – polityków, samorządowców, biznesmenów.

Żyjemy w świecie, w którym przy budowaniu zaufania najważniejszy jest kontakt osobisty. To kapitał, którego mamy mało w naszym regionie. To mogą robić tylko ludzie, którzy są dobrze odbierani, mają kontakty i którym się chce. Tak aktywnych osób jak Marek Kuchciński jeśli chodzi o Europę Środkową, nie ma zbyt wielu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Maciej Szymanowski *jest hungarystą i dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.*

eprasa.pl d5f9371c43

Polski Dziki Zachód

Sebastian Ligarski

„Nad Odrę na ziemie ojców i dobrobyt" – tak zachęcały Polaków komunistyczne plakaty do osadnictwa na ziemiach uzyskanych w wyniku porozumień w Teheranie i Jałcie pomiędzy przywódcami USA, ZSRS i Wielkiej Brytanii. Osadnicy ruszyli do „krainy mlekiem i miodem płynącej". Szybko jednak przeżyli zderzenie z rzeczywistością

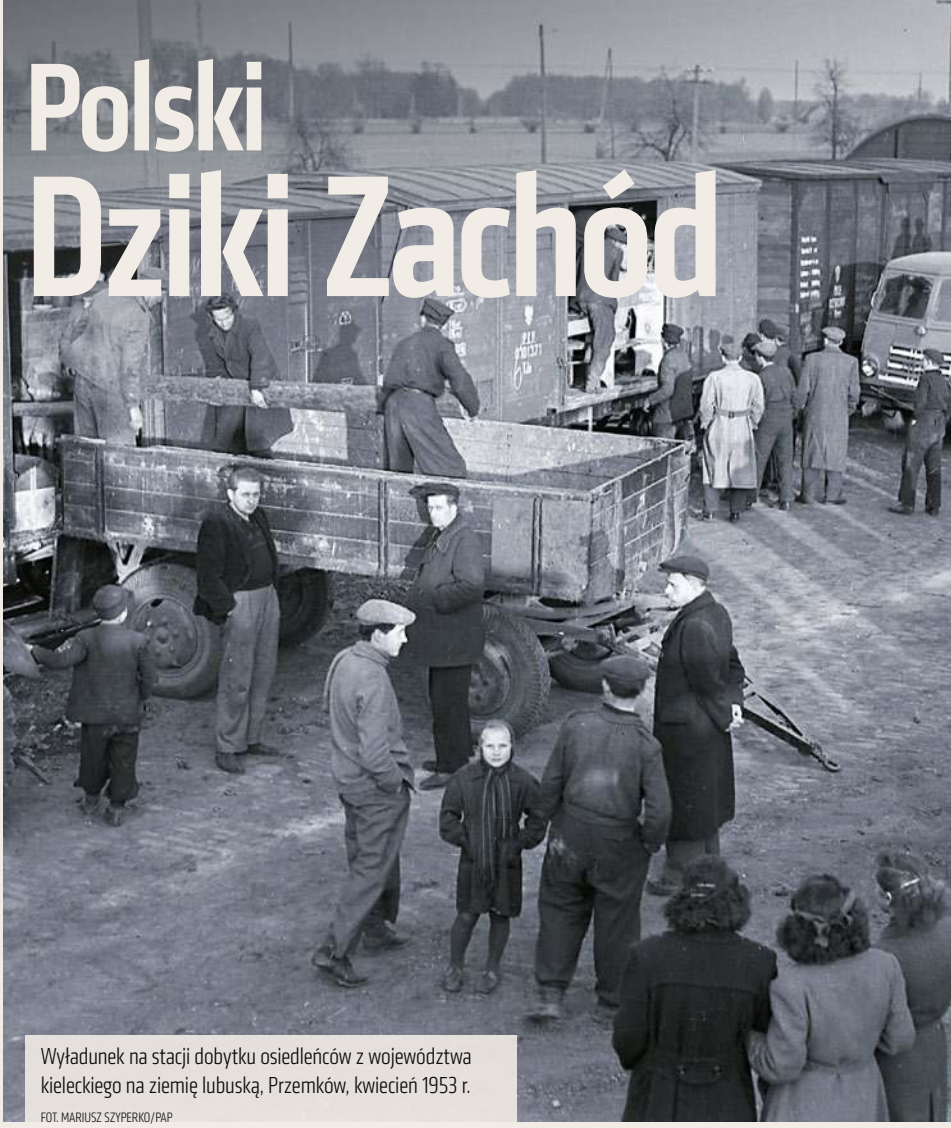

Wyładunek na stacji dobytku osiedleńców z województwa kieleckiego na ziemię lubuską, Przemków, kwiecień 1953 r.

FOT. MARIUSZ SZYPERKO/PAP

Nędza, bieda i frustracja – tak można było krótko spuentować powojenną sytuację na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Jak pisał historyk Jerzy Chumiński: „Codzienna egzystencja niosła tak wiele problemów, iż chcąc nie chcąc, trzeba było zająć się znalezieniem mieszkania, otrzymaniem pracy, zapewnieniem aprowizacji, wysyłaniem dzieci do szkoły itd.". Pierwszą rzeczą, którą trzeba było sobie zapewnić, było mieszkanie. Następną – żywność. Choć praca była, to fatalnie wynagradzana, a stan bezpieczeństwa powodował stały strach i poczucie tymczasowości.

O tragicznej sytuacji wśród społeczeństwa najlepiej świadczyły listy, które wysyłano do różnych instytucji. Chumiński pisał: „W rozmowach między sobą robotnicy, ku rozdrażnieniu władz, wielokrotnie zwracali uwagę na pogorszenie się ich statusu materialnego, jak dosadnie ujął to jeden z nich: »Wy komunisty przed wojną jak było dobrze, to chcieliście robić przewrót, a teraz jak jest bieda, macie gów..., a jeszcze kazujecie chwalić te wschodnie stosunki, jakie teraz u nas panują [...], wy dziady [...] kazujecie w niedzielę robić, a jeszcze gów... macie, ja wam sr... na waszą premię i na robotę w niedziele, dajcie mi ten zarobek, jaki miałem przed wojną, to się wysr... na wasze ubranie, buty, całą stołówkę i wasze kartki żywnościowe«. Za wrogą propagandę natomiast uznawały organa bezpieczeństwa wcale nierzadkie opinie, że poziom ten był nawet niższy niż w okresie okupacji. Osoby wyrażające taki pogląd narażały się na aresztowanie, tak było m.in. w jednej z fabryk we Wrocławiu, gdzie w kwietniu 1947 r. »kilku robotników na głos się wyrażało, że za czasów okupacji było im o wiele lepiej. Ludzie ci zostali wydani w ręce UB«".

Nic dziwnego, że wielu osadników, którzy szukali na Dolnym Śląsku, Pomorzu Zachodnim czy w Lubuskiem nowego, lepszego życia, bardzo szybko wracało do poprzedniego miejsca zamieszkania. Nierzadko wywożąc to, co nadawało się do sprzedaży lub zagospodarowania. Takiego wyboru nie mieli ci, którzy zostali wyrzuceni z Kresów Wschodnich. Dla nich zaczynała się powojenna gehenna.

WALKA O MIESZKANIA

Wspominając lata młodości w swoim rodzinnym mieście, Wrocławiu, pisarz Wolfgang Schwarz tak sugestywnie opisywał swoje mieszkanie przy dzisiejszej ul. Nowowiejskiej: „Tu, przy ul. św. Michała 89, na parterze, po lewej stronie, w mieszkaniu trzyipółpokojowym wraz z kuchnią i spiżarnią, dwoma balkonami, małym od ulicy i dużym od podwórza, był nasz wrocławski świat. [...] Duży pokój nad piwnicą z balkonem od ulicy był jej [mamy] królestwem: ciężkie, czarne dębowe meble z okrągłym stołem, krzesłami, komodą, kredensem, zegarem stojącym, nad kredensem obraz Adolfa von Menzla przedstawiający okrągły stół Fryderyka Wielkiego w Sanssouci; na kredensie – przykrytym szydełkowym obrusem – samowar w kolorze srebrnym, prezent od wujka Maxa, asystenta osobistego lekarza jego Cesarskiej Mości cara Wschech Rosji. Fortepian Blüthner, pokryty czarną politurą, stał pod jednym z dużych okien".

Dla porównania jedna z pierwszych powojennych mieszkanek tego miasta, Joanna Konopińska, tak opisywała willę, w której miała zamieszkać: „W piwnicy znajduje się kuchnia wykładana białymi kafelkami, duże pomieszczenie na opał, pralnia, kotłownia, ale bez pieca centralnego ogrzewania. Na parterze są trzy pokoje, z których jeden bardzo duży, czterdziestometrowy jest prawie pusty, stoją w nim tylko dwa zdezelowane fotele i mały piękny stolik z różowego drewna.

eprasa.pl d5f9371c43

[...] W oknach zabitych dyktą wiszą strzępy firan i zasłon. Drugi pokój, jadalnia, jest trochę mniejszy i całkowicie urządzony. Znajduje się w nim duży rozkładany stół z sześcioma krzesłami obitymi czerwonym aksamitem, dwa dębowe kredensy, stojący zegar i dywan przykrywający całą podłogę. [...] Ostatni z pokoi usytuowanych na piętrze to biblioteka".

Następni nie mieli już tyle szczęścia. Działalność polskich, sowieckich i po części niemieckich szabrowników spowodowała, że wiele tysięcy mieszkań ogołocono z całego wyposażenia, demolując nawet witryny okienne, piece kaflowe czy urządzenia infrastruktury komunalnej, w których znajdowały się elementy żelazne.

Warunki, do których przybywali osadnicy, często dalekie były od tych opisywanych w prasie. Jak wspominał jeden z osadników, w przydzielonej mu izbie „na ścianie były pleśń i grzyb, brud, który trzeba było zeskrobywać łopatą, a także brak szyb. Nieczynne były piec i wanna". W innych przypadkach ludzie otrzymywali mieszkania, w których nadal przebywali ich prawowici właściciele – Niemcy, co doprowadzało do konfliktów i napięć, nierzadko rozwiązywanych siłowo.

Dla pełnego obrazu wnętrz na Ziemiach Zachodnich i Północnych warto też sięgnąć po listy. Jedna z osiedlonych we Wrocławiu przedstawicielek inteligencji lwowskiej tak opisywała willę, w której miała zamieszkać: „W tej willi jest już [we wrześniu 1946 r.] woda, gaz, elektryka, pokoje są czyste tak, że nie trzeba ich odnawiać. Brak piecyka w łazience, ale wanna jest. Nie wiadomo, czy kaloryfery, a raczej piec w piwnicy jest w porządku. Obecnie są tam jabłka i śliczne i b. dużo winogron. Mebli nie ma".

W jednym z następnych listów optymistycznie wspominała, że nie będzie problemu z nabyciem określonej i odpowiedniej liczby mebli. Codzienność zweryfikowała jednak ten hurraoptymizm. W celu urządzenia mieszkania „właścicielka" musiała więc postarać się w administracji o „dwa żelazne łóżka bez materaców, wkład do tapczanu, szafkę na książki, stół do rozciągania, mały stolik okrągły, pięć krzeseł bez siedzeń bardzo brzydkie. Miałam wielkie szczęście, gdyż p. L. [...] odstąpiła mi ze swojej willi dwa łóżka dębowe jasne z materacami i dwoma kastlikami oraz szafę takoż; jedno łóżko z siatką i wkładem bez materaców, jedną białą szafę z dużym lustrem, jedną leżankę (szezląg). Cztery krzesła, ale brzydkie i każde inne. [...] W każdym razie jakoś urządzę z tymi gratami dwa pokoiki" – kończyła opis Zofia Gansiniec.

Ciekawym przykładem osadnictwa były Góry Sowie, gdzie znalazło się kilka grup etnicznych i narodowych o różnych tradycjach kulturowych. W sprawozdaniach tamtejszych władz administracyjnych wspominano zazwyczaj o ich nieprzychylnym odbiorze wszelkich decyzji (np. wrogi, negatywny, czasami eufemistycznie pisano o lojalnym lub poprawnym, co wskazywało na bierność społeczeństwa oczekującego zmian) oraz niewielkim stopniu integracji. Przykładowo zauważano, że grupa górali osiedlonych z Podhala wyodrębnia się zwyczajami i ubiorem, przybyli Polacy z Rumunii zaś nie zdążyli jeszcze poznać zwyczajów tutejszej ludności.

SOWIECI

Na terenach zajmowanych w czasie działań wojennych przez armię sowiecką dominowało bezprawie. Jak stwierdzano wielokrotnie w raportach władz państwowych, tam, gdzie pojawiała się armia sowiecka, natychmiast drastycznie obniżał się poziom bezpieczeństwa. Rabunki, gwałty, mordy były codziennością.

Joanna Hytrek-Hryciuk, autorka monografii o Sowietach na Dolnym Śląsku i ich relacjach z ludnością niemiecką w latach 1945–1948, opisywała przypadki gwałtów i mordów dokonywanych przez sowieckich żołnierzy: „13 lutego przyszli Rosjanie i natychmiast zaczęły się kradzieże i gwałty. Mnie samą zgwałcono sześć razy. Na mój opór, prośby i płacz odpowiedzią był pistolet". Inna Niemka opowiadała: „Musiałam to znosić siedem, osiem razy w ciągu nocy. Te mongolskie twarze zawsze będą stały mi przed oczami". Nie dotyczyło to jednak tylko Niemek, ale w równym stopniu i Polek.

Skargi na działalność żołnierzy sowieckich doprowadzających do ruiny miasto i jego okolice oraz bezpieczeństwo i powodzenie akcji osadniczej były stałym elementem aktywności polskich władz. Nie spowodowało to jednak zatrzymania ogromnej fali migracji, która powodowała, że miasta na tzw. Ziemiach Odzyskanych stawały się Dzikim Zachodem, „Meksykiem", gdzie łatwo było stracić mienie i życie. Jedna z kobiet przybyłych z Kresów Wschodnich do Szczecina wspominała: „Posprzątałam jeden pokój, żeby się wreszcie przespać i zamieszkać. Ojciec poszedł po mamę i zamieszkaliśmy w tym domu, ale tylko na jedną noc, bo rano obudziło nas walenie kolbami w drzwi. Otworzyłam drzwi i stanowczy rozkaz »uchaditie, wont stąd«. To było coś koszmarnego, bo wydawało się nam, że uciekliśmy od nich tak daleko, a tu w nowym domu Sowiet każe nam się wynosić. To miała być Polska? […] Gdy wyszliśmy z tego domu, czuliśmy się okropnie. Po trzech tygodniach tułaczki, po okradzeniu z tych paru tobołków, ciągle nie wiedzieliśmy, gdzie się udać. Wróciliśmy na dworzec". Dominowały strach i niepewność. Jak pisała Joanna Konopińska: „Wszyscy starają się być przed zapadnięciem zmroku w domach, barykadują drzwi i nie wpuszczają nikogo. Z nastaniem nocy słyszy się często strzelaninę i wołanie o pomoc, na które nikt nie reaguje i z domu nie wychodzi".

Władze sowieckie zajmowały zakłady pracy o różnym stopniu zniszczenia i masowo wywoziły na Wschód wszystkie urządzenia. Przykładowo we Wrocławiu Sowieci zajęli 212 zakładów pracy, które dniem i nocą szabrowali lub z premedytacją niszczyli. Sowieci wyjeżdżając, zabierali nawet klamki.

SZABER

W materiałach archiwalnych zachowały się pisma, głównie z Warszawy, Łodzi, a także Zakopanego, Krakowa, w których proszono o zaopatrzenie w odpowiednie materiały, pochodzące z tej bogatej „krainy", jaką były Dolny Śląsk czy Pomorze Zachodnie. W większości dotyczyły one ogołacania Ziem Zachodnich z wszelkiego rodzaju dóbr, co wywołało odpowiednie reakcje miejscowych władz. Do takich należało wydanie zakazów wywozu ruchomości z Ziem Zachodnich bez uprzedniego zezwolenia odpowiednich władz administracyjnych. We Wrocławiu taki zakaz obowiązywał od listopada 1945 r., potem kilkakrotnie był przedłużany.

Prezydent Wrocławia zwracał uwagę pełnomocnikowi rządu, że taki stan doprowadzi do sytuacji, gdy przyjeżdżający repatrianci (w domyśle osadnicy ze Wschodu) dostawaliby mieszkania puste i splądrowane, co nie leżało w interesie państwowym i ogólnospołecznym. Takiej sytuacji nie zdołano jednak uniknąć, a kolejne lata były z jednej strony mozolną próbą unifikacji z resztą Polski, z drugiej brutalnego komunizowania społeczeństwa przy pomocy rozwiniętego aparatu bezpieczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN w Szczecinie.

eprasa.pl d5f9371c43

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Pod dwoma banderami

26 listopada 1939 r. wojskowy transportowiec ORP „Piłsudski" wyruszył w rejs do Nowej Zelandii i Australii. Zanim dotarł na miejsce formowania konwoju, polski okręt naciął się na U-Boota. Nie miał najmniejszych szans.

„Piłsudski" został trafiony dwoma niemieckimi torpedami. Jednostka zaczęła tonąć. Na pokładzie niemal do końca pozostał jej kapitan, legenda polskiej Marynarki Wojennej – Mamert Stankiewicz. Na chwilę przed zatonięciem wraz z dwoma marynarzami skoczył do tratwy ratunkowej.

Przez półtorej godziny mężczyźni pływali w lodowatej wodzie. Ostatecznie zostali wyłowieni przez przybyłą na miejsce brytyjską jednostkę ratunkową. Było jednak za późno. Stankiewicz doznał zbyt głębokiej hipotermii i zmarł. Podobno w ciągu kilku godzin poprzedzających śmierć całkowicie osiwiał.

Wydawnictwo Iskry wydało właśnie wspomnienia generała „Z floty carskiej do polskiej". To jedna z najciekawszych tego typu książek, które czytałem. Szczególnie interesujący jest opis dzieciństwa spędzonego w dworach Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Autor utrwalił na kartach wspomnień ziemiańską Arkadię, która już wkrótce miała zostać zmieciona z powierzchni ziemi tajfunem komunistycznej i nacjonalistycznej rewolucji. Zarysował sylwetki litewskich oryginałów. Czyli ekscentrycznych ziemian, którzy bardziej pasowali do pięknego, indywidualistycznego XIX w. niż paskudnego, kolektywistycznego wieku XX.

Mamerta Stankiewicza od dziecka ciągnęło na morze. Służył w Marynarce Wojennej Cesarstwa Rosyjskiego, a potem walczył po stronie białych, aż do gorzkiego końca i triumfu bolszewizmu. Po przyjeździe do Polski był jednym z twórców marynarki niepodległej Rzeczypospolitej. A więc instytucji, którą należało zbudować od podstaw.

W swojej książce Stankiewicz opisuje niesamowite przygody, które przeżył, pływając po morzach i oceanach świata pod dwoma banderami. Roi się w niej od marynarskich anegdot i ciekawych zdarzeń, rzuconych na tło wielkich wydarzeń historycznych. Wielkiej wojny, agonii imperium Romanowów, krwawej rewolucji, a wreszcie – narodzin państw narodowych w naszej części Europy. Ważne świadectwo historyczne, które czyta się jak powieść. ©℗

★★★★★★

MAMERT STANKIEWICZ „Z FLOTY CARSKIEJ DO POLSKIEJ" ISKRY

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Orzeszkowa i Romuald Traugutt

Znakomita pisarka spotkała się z ostracyzmem towarzyskim po stłumieniu powstania styczniowego. Wprawdzie nikt nie negował jej patriotyzmu, ale jej postępowanie wobec własnego męża, Piotra Orzeszki, uznawano za skandaliczne.

Inna sprawa, że małżeństwo było kompletnie nieudane. Był to typowy związek „z rozsądku", Eliza nie była bowiem specjalnie urodziwa, a w zamian była dziedziczką majątku w Milkowszczyźnie (40 km od Grodna) przynoszącego rocznie 5 tys. rubli (ok. 60 tys. euro) dochodu. Natomiast Ludwinowo jej małżonka było mocno zadłużone i właściwie tylko mariaż z zamożną jedynaczką był szansą na pozbycie się problemów finansowych. Orzeszko jednak nie dorównywał żonie pod względem intelektualnym, a jego zalety kończyły się na umiejętnościach tanecznych. Eliza nie zachodziła w ciążę, zatem po kilku latach zaczęła rozważać unieważnienie małżeństwa.

Wówczas jednak wybuchło powstanie styczniowe, którego entuzjastyczną zwolenniczką stała się przyszła pisarka. Jej mąż zachowywał sceptycyzm, ale pod presją żony zgodził się, by w jego dworze przez dwa tygodnie przebywał wyczerpany Romuald Traugutt dowodzący jednym z powstańczych oddziałów. Następnie Orzeszkowa odwiozła go własnym powozem do granicy Królestwa Kongresowego, skąd podążył do Warszawy ku swojemu przeznaczeniu. 17 października 1863 r. ogłoszono go dyktatorem powstania, a pół roku później został aresztowany i ostatecznie stracony na stokach Cytadeli.

Orzeszko mógł nie wierzyć w sukces powstania, ale gdy o pomocy Trauguttowi doniósł Rosjanom jeden z jego pracowników, trafił do więzienia. Natomiast jego małżonka wyparła się wszystkiego i najwyraźniej jej uwierzono.

Orzeszko po półtorarocznym pobycie w więzieniu został wysłany w okolice Permu u stóp Uralu. Miał tam przebywać dożywotnio, a żona odmówiła towarzyszenia mu na zesłaniu! Takich rzeczy nie wybaczano w świecie polskich ziemian, gdzie nie tylko żony towarzyszyły mężom w ich niedoli. Pani Eliza nie zamierzała jednak marnować sobie życia w dalekiej Rosji u boku niekochanego męża. Miała 24 lata, a do tego wielkie plany literackie i zamierzała je zrealizować.

Ludwinowo skonfiskowano i Orzeszkowa przeniosła się do rodzinnej Milkowszczyzny. Ojciec jej już nie żył, matka ponownie wyszła za mąż i właściwie sama decydowała o swoim losie. Wtedy zdecydowała się na krok, który ściągnął na nią jeszcze większe oburzenia. Podjęła bowiem starania o unieważnienie związku z mężem – zesłańcem… ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

CZAS UNII EUROPEJSKIEJ W SCHUMANOWSKIM KSZTAŁCIE SIĘ SKOŃCZYŁ

WIELKA POLSKA

PREMIERA 26.X

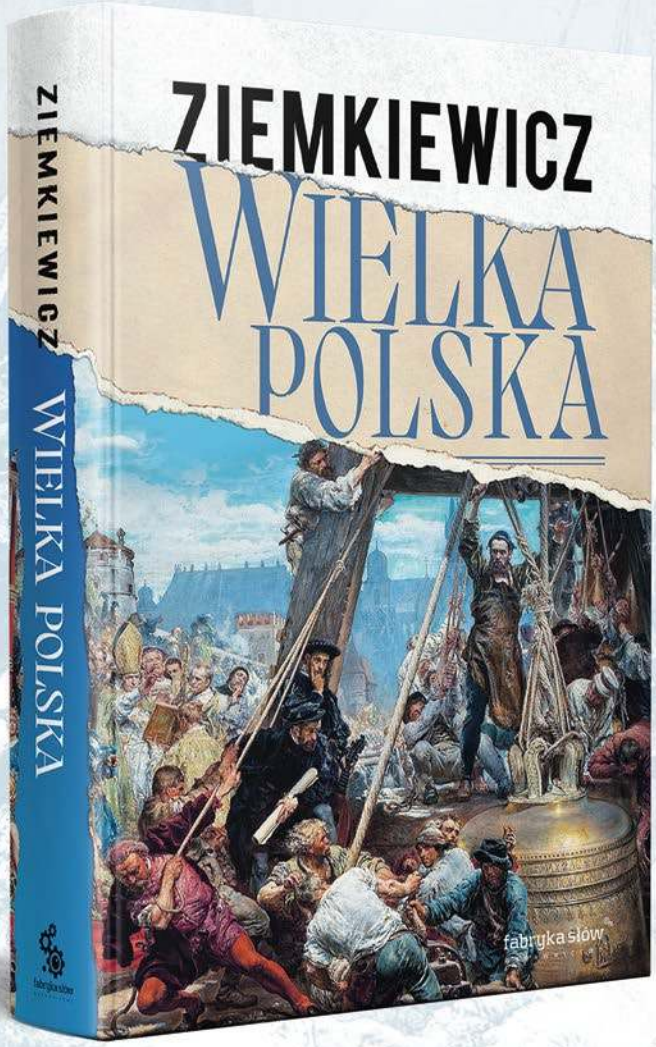

Rozpoczęło się budowanie federacyjnego tworu, w którym Polska otrzymawszy łatkę nacjonalistycznego, łamiącego prawo oszołoma została wyoutowana z grupy państw zasługujących na suwerenność.

Strach przed obniżeniem słupków sondażowych „zmusza" kolejnych rządzących do ślepego podporządkowywania się europejskiej władzy, nawet jeśli logika i trzeźwa analiza historycznej i bieżącej rzeczywistości wskazuje, gdzie powinniśmy ulokować swoje ambicje...

... w budowie Wielkiej Polski!

„Myśleć o Polsce wielkiej, dumnej, ważnej, rozgrywającej w regionie i liczącej się w świecie, to jakiś kompletny odlot i dowód zupełnej utraty poczucia rzeczywistości. Wielu tak myśli. Mylą się."

Rafał A. Ziemkiewicz

fabryka słów®

eprasa.pl d5f9371c43

Z prof. Jakubem Politem, historykiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Wojna atomowa wybuchnie poza Europą

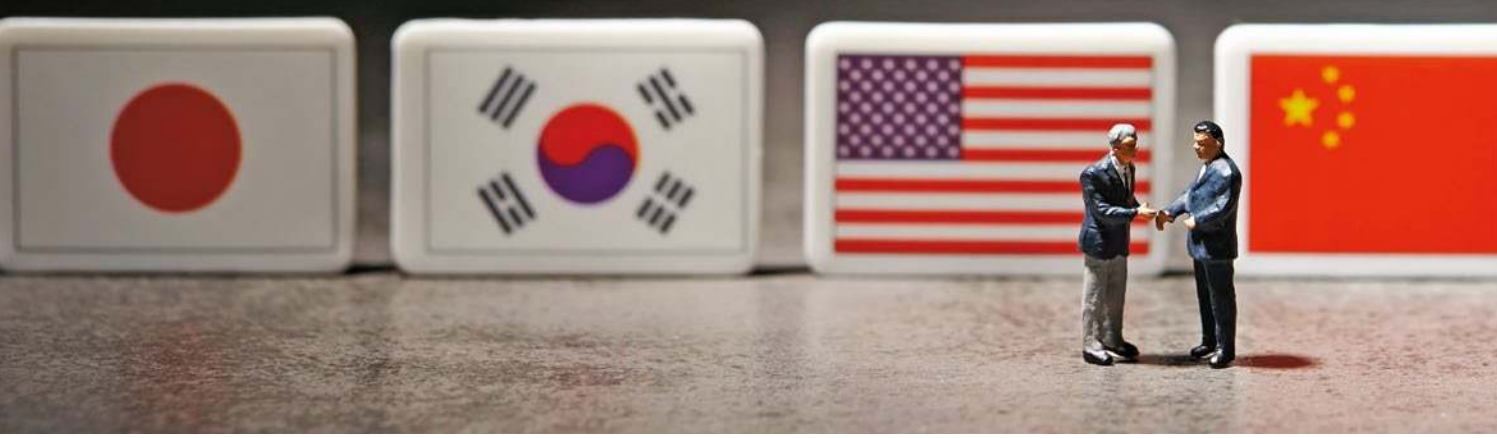

TOMASZ D. KOLANEK: Który kontynent jest dzisiaj „najgorętszy" i dlaczego Azja?

PROF. JAKUB POLIT: Nie jestem całkowicie przekonany, czy takim kontynentem jest Azja, ponieważ wszystko wskazuje na to, że w Afryce toczy się znacznie więcej walk. Azja ma jednak nad nieszczęśliwym Czarnym Lądem jedną „przewagę", mianowicie walki w Afryce nie zagrażają rozpętaniem konfliktu na skalę światową.

Natomiast w Azji znajduje się kilka punktów, które taką groźbę ze sobą niosą. O dziwo, „najgorętszym" z nich, wbrew powszechnemu mniemaniu, wcale nie jest Bliski Wschód i trwający na nim konflikt izraelsko-arabski. Dużo bardziej zapalnym terytorium jest Półwysep Koreański, gdzie krzyżują się interesy aż czterech mocarstw: Chin, Rosji, USA (które mają swoje bazy na terenie Korei Południowej) i Japonii.

Oprócz tego można jeszcze wymienić sprawę subkontynentu indyjskiego, czyli konflikt indyjsko-pakistański. Przypomnę tylko, że oba te sąsiadujące kraje posiadają broń nuklearną i graniczą lub prawie graniczą z komunistycznymi Chinami, które również taką broń posiadają.

Trzy kraje, trzy systemy polityczno-kulturowo-religijne: islam, hinduizm i komunizm. Co, jeśli któremuś z przywódców Pakistanu, Indii lub Chin coś przestawi się w głowie i po prostu naciśnie „czerwony guzik"?

Nikt nie wie, co wówczas będzie, ponieważ prawdziwej wojny nuklearnej jeszcze nie było. Wydarzenia z Hiroszimy i Nagasaki były jednostronnymi uderzeniami atomowymi na państwo tej broni nieposiadające.

Jeżeli wojna nuklearna wybuchłaby na Półwyspie Indyjskim, to byłoby to pierwsze w dziejach obustronne starcie jądrowe. Żałosną stroną użycia tego ostatecznego, atomowego argumentu byłby zapewne fakt, że nie rozstrzygnąłby on o wyniku konfliktu. Zarówno liczba głowic posiadanych przez Delhi, jak i Islamabad, prymitywizm tego sprzętu, rozległość terytorium obu adwersarzy, liczba „materiału ludzkiego" po obu stronach – wszystko to wskazywałoby jedynie, że tego rodzaju ostrzeliwanie pociągałoby za sobą koszmarną liczbę ofiar, ale nie mogłoby zmienić bilansu sił między obiema stronami.

Czy wówczas do akcji wkroczyłyby albo Chiny, albo Rosja, żeby to wykorzystać czy też żeby skorzystać na konflikcie dwóch tygrysów?

Wydaje się to skrajnie nieprawdopodobne. Rosja na razie konflikt ma gdzie

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. ADOBE STOCK

indziej i z całą pewnością nie mogłaby wykorzystać sytuacji. Ale, jak rozumiem, pytanie jest nieco teoretyczne. Rosja nie posiada wspólnej granicy z Indiami, a i Pakistan jest dość daleko. Musiałaby więc odgrywać rolę „przyczajonego tygrysa".

Z kolei interwencję chińską można sobie wyobrazić tylko w jednym wypadku: gdyby Pakistan, który jest regionalnym sojusznikiem Chin przynajmniej od lat 60. XX w., był bliski zmiażdżenia, a większość jego terytorium zagrożona okupacją przez siły indyjskie. Taki obrót spraw jest jednak mało prawdopodobny. Armia indyjska prawie na pewno ugrzęzłaby na terytorium Pakistanu. Ponadto podejrzewam, że na świecie miałaby miejsce dyplomatyczna, gospodarcza i polityczna interwencja państw muzułmańskich po stronie islamskiego Pakistanu.

Półwysep Indyjski to jeden potencjalny konflikt światowy. Kolejny to Chiny-Tajwan. Od kilkudziesięciu lat słyszymy, że będzie wojna, a tej na razie nie ma...

Rzeczywiście wyrządziłem pewną krzywdę kierownictwu politycznemu w Pekinie. Wśród tych wszystkich ognisk ewentualnych konfliktów nie wymieniłem Cieśniny Tajwańskiej.

W ostatnich miesiącach doszło do spiętrzenia wydarzeń poniekąd przypadkowych, takich jak wizyta przewodniczącej parlamentu USA Nancy Pelosi na Tajwanie, która była pierwszą od wielu lat wizytą polityka tej rangi; jak wojenna retoryka, która miała miejsce w Pekinie; jak deklaracja prezydenta Bidena, że będzie bronić Tajwanu etc.

Po tych wszystkich wydarzeniach temperatura konfliktu w Cieśninie Tajwańskiej bardzo poważnie wzrosła. Mam nadzieję, jeżeli można cokolwiek rozsądnie przewidywać, że są to jednak tylko wojownicze deklaracje polityczne pozbawione przygotowań wojskowych.

Zdetonowanie tego konfliktu w momencie zaangażowania Rosji na Ukrainie miałoby dla Chin pewne pozytywy, jak zwrócona gdzie indziej uwaga świata. Wydaje się jednak, że czynniki negatywne by przeważyły. Po co Chinom spustoszony, być może nawet przy pomocy broni nuklearnej, Tajwan? Elementem strategii Pekinu jest to, żeby cała wyspa wpadła im w ręce jak dojrzała śliwka.

Może po to, żeby jeszcze bardziej zdestabilizować świat? Przecież 80 proc. półprzewodników i mikroprocesorów jest produkowanych właśnie na Tajwanie. Wielu ekspertów uważa, że zniszczenie Tajwanu przez ChRL będzie oznaczało dla reszty globu małą apokalipsę.

Temperatura konfliktu w Cieśninie Tajwańskiej po ostatnich wydarzeniach bardzo poważnie wzrosła

Ma pan słuszność, ale powstaje pytanie: z którego punktu patrzymy na samo zjawisko – czy szklanka jest do połowy pełna czy do połowy pusta?

Tajwan jeśli nie jest monopolistą, to w ogromnej mierze posiadaczem większości wymienionych przez pana rozwiązań technicznych. Z drugiej strony w Pekinie musi powstać pytanie, czy rzeczywiście świat, a w tym wypadku chodzi głównie o USA i ich sprzymierzeńców, pozwoliłby komunistycznym władzom w Pekinie na taką operację.

Powtórzę raz jeszcze: Tajwan jest organizmem stosunkowo niewielkim. Liczba jego mieszkańców jest spora jak na skalę europejską, ale niemal bez znaczenia z perspektywy ChRL. To, co jest na Tajwanie interesujące, to jego położenie geograficzne oraz ranga gospodarcza. I tutaj pies jest pogrzebany. Spustoszenie Tajwanu, zmienienie go w pole bitwy czy chociaż nastraszenie jego mieszkańców do tego stopnia, żeby zaczęli masowo uciekać do innych krajów, przenosząc tam swoje aktywa, firmy, powiązania to ostatnia rzecz, która by się Pekinowi opłaciła.

Nie sądzę więc, żeby ChRL zdecydowała się na inwazję. Raczej marzy jej

eprasa.pl d5f9371c43

się rozwiązanie takie, jak w przypadku Hongkongu: wyprzedanie wyspy przez USA i zgodzenie się na formułę „jeden kraj, dwa ustroje", które potem po cichu by zlikwidowano.

Rzecz jednak w tym, że USA prawdopodobnie nie zgodzą się na to. Hongkong był kolonią brytyjską, z którą teoretycznie Londyn mógł robić, co chciał. Republika Chińska na Tajwanie jest odrębnym krajem i tam znajduje się centrum decyzyjne.

Gdy rozmawiamy trwa XX Zjazd Komunistycznej Partii Chin. Przewodniczący Xi powiedział: „Będziemy dążyć do pokojowego zjednoczenia z Tajwanem, ale nigdy nie obiecamy, że wyrzekniemy się użycia siły". Ponadto mówił o przyłączeniu do ChRL terenów, które w przeszłości należały do Państwa Środka. Jak to interpretować?

Xi mówi to, co partia mówiła zawsze. Wielokrotnie sugerował, że na stulecie ChRL w 2049 r. „zjednoczenie" z Tajwanem powinno być dokonane. Mniej konkretnie napomykał choćby o „zjednoczeniu narodu mongolskiego". Przypomnijmy, że większość Mongołów mieszka nie w niepodległym państwie mongolskim, ale w ChRL, w autonomicznej Mongolii Wewnętrznej. Innymi słowy, takie zjednoczenie oznaczałoby aneksję Mongolii.

Moskwa jednak zapewne pamięta, iż inne ludy mongolskie żyją w Buriacji, czyli w Rosji. Te oszałamiające plany sięgające roku 2049 zmuszają do postawienia jeszcze jednego pytania. Xi Jinping zyskał na zjeździe perspektywę władzy dożywotniej, ale w 2049 r. miałby 96 lat. Chce pobić rekord Deng Xiaopinga, który wydawał rozkazy jeszcze po dziewięćdziesiątce? Cóż. Przypomnijmy słowa, które wyrzekł Szymon Starowolski do zwiedzającego wawelska katedrę Karola Gustawa: Deus admirabilis, fortuna variabilis.

Której stronie w konflikcie Chiny – Rosja bardziej zależy na konfrontacji?

Oficjalnie nie ma żadnego konfliktu między Rosją a Chinami...

Przepraszam! Nie Chiny – Rosja, tylko Japonia – Rosja! Przejęzyczyłem się...

Może było to przejęzyczenie freudowskie, ponieważ rzekoma przyjaźń rosyjsko-chińska jest w rzeczywistości podszyta tak wieloma lękami, że w gruncie rzeczy jest równoznaczna z nieufnością.

Jeśli zaś chodzi o konflikt japońsko-rosyjski, to wygląda na to, że na konfrontacji nie zależy żadnej ze stron, bo Japonia nie jest głównym przeciwnikiem dla Rosji, a Rosja dla Japonii.

Cała furia Rosji i jej rozmaite historyczne rany wiążą się przecież z USA – krajem, który w mniemaniu rosyjskim pozbawił ją rangi supermocarstwa. Jest to twierdzenie absurdalne, ponieważ krajem, który zepchnął Rosję do rangi państwa drugorzędnego, są Chiny.

Co się zaś tyczy Japonii: głównym zagrożeniem jest dla niej właśnie ChRL, a coraz bardziej wyludniająca się, bankrutująca i ośmieszająca się militarnie Rosja znajduje się na jakimś dalekim planie.

Niewątpliwie sprzeczności w interesach Japonii i Rosji istnieją. Wyspy Kurylskie stanowią tylko ich najbardziej jaskrawy wyraz i swego rodzaju anomalię. Ponadto jest to jedyny konflikt terytorialny między dwoma mocarstwami, do którego istnienia przyznają się obie strony. Jest to jednak tylko wierzchołek góry lodowej. Rosja jest dla Japonii niebezpieczna jako sojusznik Chin, jako ewentualny partner w rozmaitych politycznych manewrach Pekinu. To ukazuje rolę czynnika irracjonalnego w polityce: reguły gry politycznej mówią, że mając dwóch sąsiadów potencjalnie niebezpiecznych i ze sobą skłóconych, należy popierać sąsiada słabszego przeciwko silniejszemu. Rosja powinna więc popierać Japonię i starać się za wszelką cenę uzyskać sobie jej przyjaźń przeciwko Chinom, np. przez wyrzeczenie się przynajmniej niektórych bezwartościowych gospodarczo i jedynie częściowo użytecznych militarnie wysepek Archipelagu Kurylskiego. Jest jednak zupełnie odwrotnie: Rosja podkreśla i pielęgnuje przyjaźń z Chinami, jednocześnie w rozmaity sposób narażając się Japończykom.

Nie sądzę, żeby ChRL zdecydowała się na inwazję. Raczej marzy jej się rozwiązanie takie, jak w przypadku Hongkongu

Dlaczego?

Powody również są irracjonalne. To, że Japonia jest sojusznikiem USA, że świętowała upadek ZSRS w przeciwieństwie do Chin, że jest ideologicznym przeciwnikiem komunizmu, że ma przechył ekologiczny z powodu alergii na broń nuklearną oraz rozmaitych, smutnych przygód z tajfunami i tsunami etc.

Ktoś powie, że to drobnostki, tylko że do przezwyciężenia tych „drobnostek" potrzeba by bardzo wielu wysiłków z obu stron, zwłaszcza ze strony Rosji.

Ile krajów Bliskiego Wschodu może posiadać broń nuklearną?

Z całą pewnością ma ją Izrael, przy czym jest to broń raczej o znaczeniu psychologicznym. Najprawdopodobniej gdyby nastąpił atak arabski o skali, która doprowadziłaby do zajęcia Izraela, to wówczas owa broń odwetowa mogłaby mieć jedynie skutki niszcząco-psychologiczne, ale nie mogłaby odwrócić pewnych określonych działań. Z drugiej jednak strony świadomość, że tego rodzaju broń Izraelczycy mają, być może powstrzymuje niektórych szaleńców od nieodpowiedzialnych decyzji.

Czy fakt, że Izrael posiada broń atomową, nie jest zachętą dla Iranu, Iraku i innych krajów muzułmańskich, aby również wejść w jej posiadanie?

Nawet gdyby Izrael broni nuklearnej nie posiadał, to kraje muzułmańskie, przede wszystkim wywołany przez pana Iran, i tak dążyłyby do stworzenia takiej broni. Powód jest prosty. Na przełomie XIX i XX w. wyznacznikiem pozycji mocarstwowej były drednoty, czyli superpancerniki i nawet takie kraje jak Austro-Węgry, które miały tylko symboliczny dostęp do morza, budowały te bezużyteczne zabawki, bo chciały mieć papiery wielkiego mocarstwa. Obecnie papiery wielkiego mocarstwa zapewnia broń nuklearna. Wobec tego kraje, które mają mocarstwowe aspiracje, usiłują ją skonstruować.

W dodatku w krajach dyktatorskich panuje głębokie przekonanie, że supermocarstwa nigdy nie dokonają inwazji na kraj, który posiada broń nuklearną. Jest to jeszcze jednym powodem, żeby tego rodzaju bronią się wylegitymować.

Rzecz jednak działa odwrotnie. Strach, że tego rodzaju technologia może być pozyskana przez kraje muzułmańskie, mógł zachęcić Izrael do budowy własnej bomby oraz skłonić władze w Tel Awiwie do próby zduszenia takich inicjatyw w zarodku. Że wspomnę tylko atak w roku 1981 na iracki reaktor jądrowy czy późniejsze groźby Izraela pod adresem Teheranu.

Przy dzisiejszych możliwościach technicznych atak lotniczy Izraela na Iran byłby jak najbardziej możliwy. Natomiast politycznie nie opłacałoby się to Izraelowi nie

eprasa.pl d5f9371c43

tylko z powodu ewentualnych reperkusji, lecz także dlatego, że najprawdopodobniej jednym uderzeniem nie zniszczyłby całego potencjału tego kraju. I najważniejsze: gdyby Izrael chciał przeprowadzić taki atak, to musiałby być pewien całkowitego poparcia ze strony USA.

Izrael kilkukrotnie w tym roku zbombardował terytorium Syrii. Jednym z powodów ataków były „rosnące wpływy Iranu" w tym kraju. Dlaczego świat nie nałożył na Izrael sankcji?

Samo nałożenie sankcji na Izrael jest niemal niemożliwe. Wymagałoby to działania wielu międzynarodowych podmiotów, nie tylko ONZ, którego rola jest aktualnie niemal groteskowa, ale przede wszystkim głównych ośrodków świata zachodniego, czyli Unii Europejskiej i USA.

UE jest tworem niejednorodnym i dopóki obowiązuje w niej zasada jednomyślności, dopóty znajdzie się wielu przeciwnych nałożeniu sankcji na Izrael. W wypadku USA taki ruch nie jest oczywiście całkowicie wykluczony, ale jest bardzo mało prawdopodobny, czego chyba nikomu nie trzeba szerzej tłumaczyć.

Poza tym Syria jest krajem rozdzielanym przez wojnę domową, w którym oprócz sił wewnętrznych i fundamentalistów islamskich znajdowały się również wojska rosyjskie, a w przeszłości bombardowała ją m.in. Turcja. W takim wypadku, ponieważ Syria jest krajem niezdolnym do obrony własnych granic, zbombardowanie jej przez Izrael, jakkolwiek brutalnie to zabrzmi, nie jest dla przywódców zachodnich czymś nadzwyczajnym.

A co z Azerbejdżanem, który zaatakował kolejny raz w ciągu ostatnich kilku lat Armenię? Jakoś nie słyszałem, żeby azerskie drużyny zostały zawieszone w rozgrywkach UEFA, żeby wyłączono tam Netflixa etc.

Konflikt między Armenią a Azerbejdżanem jest mimo wszystko innej miary niż konflikt rosyjsko-ukraiński. Jest on konfliktem takiej miary jak wiele konfliktów na kontynencie afrykańskim. Absolutnie nie chodzi o deprecjonowanie tamtejszych ofiar. W konfliktach na Kaukazie czy w konfliktach afrykańskich może ginąć więcej ludzi niż na Ukrainie, ale pociąga to za sobą znacznie mniejsze niebezpieczeństwo dla destabilizacji ładu światowego jako takiego.

Władze azerskie wykorzystują obecną sytuację do sondowania, na co mogą sobie pozwolić. Tak samo postępowały władze Chin, które w październiku 1962 r., kiedy świat wstrzymywał oddech z powodu kryzysu karaibskiego, dokonały bezkarnego rajdu w Himalajach na północne Indie.

Absolutnie nie sądzę, że to działanie Azerbejdżanu nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji, bo one są dość paradoksalne. Jak wiadomo, Armenia przez swoją rozsypaną po świecie diasporę ma wiele powiązań z Zachodem, a mimo to może w ostatnim czasie liczyć jedynie na Rosję. Armenia jest otoczona państwami muzułmańskimi, które zagrażają nie tylko jej niepodległości, lecz także nawet według niektórych biologicznemu przetrwaniu tego narodu. Widmo nowego ludobójstwa Ormian nie jest bowiem czymś niemożliwym...

Z uwagi na ostatnie wydarzenia, z uwagi na słabość wojsk rosyjskich, która została okazana na Ukrainie, władze w Erywaniu zwątpiły w możliwości Moskwy i pojawiły się propozycje, żeby Armenia najzwyczajniej w świecie wstąpiła do NATO. Zważywszy, że w ten sposób Armenia stałaby się sojusznikiem Turcji, jest to co najmniej nieortodoksyjna propozycja.

Można jeszcze wymienić Kirgistan, Turkmenistan, Afganistan...

Można wymieniać w nieskończoność. Można wymieniać Sri Lankę, można wymieniać Indonezję...

Można wymieniać Birmę, gdzie od dziesięcioleci trwa wojna domowa...

Birma jest zbrodniczym państwem, które chce jednak zachować swoje zbrodnie dla siebie. Jeśli istnieją reperkusje tego konfliktu, to jedynie pośrednie w postaci migracji prześladowanych mniejszości etnicznych, religijnych, plemiennych na terytorium państw sąsiednich.

Pora jednak chyba zmierzać do jakiejś konkluzji. Jeżeli większość Europy jest zorganizowana w całość i to nawet podwójną, bo jedną jest UE, a drugą NATO; jeżeli Ameryka Północna ma swoją organizację wolnego handlu, a USA pozostają w dobrych stosunkach ze swoimi sąsiadami; jeżeli Ameryka Południowa mimo wszystko nie przeżywa gwałtownych konfliktów granicznych, a dwaj tamtejsi kandydaci na hegemona, czyli Brazylia i Argentyna, znajdują się w stanie względnej równowagi, to w Azji niczego takiego nie ma. Nie ma żadnego silnego regionalnego sojuszu. Nie ma żadnej liczącej się organizacji gospodarczej ponadnarodowej, a jedyna, która istnieje, czyli organizacja państw ASEAN, nie zawiera w swoim składzie żadnego mocarstwa, ale jest prawdziwym tyglem etnicznym, do którego m.in. należą: konfucjański i komunistyczny Wietnam, katolickie i wolnorynkowe Filipiny, muzułmańska i autorytarna Indonezja.

Azja rzeczywiście jest kontynentem najbardziej niebezpiecznym i nieprzewidywalnym.

Jeszcze jedna kwestia: rywalizacja chińsko-indyjska. Chiny za swojego głównego wroga ideologicznego uważają USA, ale bliższym konkurentem są Indie, które w czasie, gdy rozmawiamy, mają już większą niż ChRL liczbę ludności, a ta różnica będzie się coraz bardziej powiększać.

Trzecia wojna... Przepraszam: wojna atomowa wybuchnie w Azji?

Mam nadzieję, że ani pan, ani ja nie będziemy musieli sprawdzać, czy tak będzie i co wówczas się stanie. Chciałoby się złośliwie powiedzieć, że skoro my – Europejczycy – wywołaliśmy i przeżyliśmy pierwszą wojnę światową i drugą wojnę światową, choć tu współodpowiedzialni są również Japończycy, to w trzeciej wojnie światowej przydałoby się, żebyśmy siedzieli na ławce widzów i zobaczyli, jak wyniszczają się inni.

Nie jest to jednak takie proste. Świat robi się coraz mniejszy i wydarzenia nawet w bardzo odległych regionach świata mogą mieć reperkusje również dla nas. Wolałbym, żeby trzecia wojna światowa rozgrywała się wyłącznie w grach komputerowych, a zważywszy na szkodliwość takich form rozrywki, może lepiej nigdzie.

Może w związku z tym trzecia wojna światowa nie będzie polegała na użyciu czołgów i rakiet, tylko na destabilizacji: brak prądu, brak opału, brak Netflixa etc.?

Być może rzeczywiście tak. Europie grozi zima bez ogrzewania, a jedyny węgiel, który będzie można kupić, to ten w aptece. Klasyczna wojna to wojna przy wymianie uderzeń militarnych, a nie gospodarczych. Można oczywiście umrzeć z głodu, ale nie jest to wojna. To po prostu ludobójstwo dokonywane przez zbrodniarzy, a to już zupełnie inna sprawa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Jakub Polit
– historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, zajmuje się historią powszechną XX w., głównie historią Chin oraz Japonii.

eprasa.pl d5f9371c43

Taran Bolsonaro

Piotr Włoczyk

Czy Brazylia utrzyma prawicowy kurs? Krewki Jair Bolsonaro może znów zaskoczyć i wbrew sondażom sięgnąć po drugą kadencję

Jeżeli wierzyć obu kandydatom, 30 października dojdzie w Brazylii do bitwy nie z tego świata.

„Trwa wojna między dobrem i złem. Wierzę w Boga i wierzę w was. To zwycięstwo będzie nasze" – krzyczał na niedawnym wiecu wyborczym Jair Bolsonaro, prezydent Brazylii, który ubiega się o drugą kadencję.

„Jeżeli ktokolwiek jest tu opętany przez diabła, to jest to Bolsonaro!" – grzmiał z kolei jego lewicowy przeciwnik, Luiz Inácio Lula da Silva, który po raz trzeci chce zostać prezydentem Brazylii (wcześniej pełnił tę funkcję w latach 2003–2011).

Bolsonaro przekonuje, że stoją przed nim tylko trzy scenariusze: wygrana, śmierć albo więzienie.

Jedno jest pewne – takich emocji nie było do tej pory w brazylijskich wyborach. Obaj kandydaci sięgają po najcięższe słowa i malują wizję upadku kraju w przypadku zwycięstwa drugiej strony. Skrajne emocje widoczne są również (a może nawet przede wszystkim) wśród ich najbardziej zagorzałych wyborców, którzy nie tylko obrzucają się błotem, przerywają spotkania strony przeciwnej, lecz także często nawet walczą ze sobą w sensie dosłownym. Sondaże pokazują, że dwie trzecie Brazylijczyków boi się ataku z powodu swoich przekonań politycznych. Zresztą Jair Bolsonaro przemocy na tle politycznym doświadczył na własnej skórze – w czasie w kampanii w 2018 r. został ugodzony nożem w brzuch i niewiele brakowało, by nie przeżył tego ataku.

Pierwsza tura wyborów (odbyła się 2 października) przyniosła nie lada niespodziankę. Brazylijska lewica sięgała już do lodówek po szampany, ponieważ sondaże pokazywały, że ich kandydat może zwyciężyć już w pierwszej rundzie, zostawiając daleko w tyle (o kilkanaście punktów procentowych) kandydata prawicy. Rezultaty wywołały jednak popłoch, i to nie tylko na brazylijskiej lewicy.

Najważniejsze światowe lewicowe media, doceniając wagę Brazylii w Ameryce Łacińskiej, zaczęły na poważnie rozważać możliwość „recydywy" Bolsonaro i jego prawicowego projektu przebudowy państwa. Luli zabrakło dwóch punktów procentowych do zwycięstwa w pierwszej turze, ale jego rywal uzyskał nie 35 proc., jak przewidywała większość sondaży, a 43 proc. Takie niedoszacowanie Bolsonaro oznacza, że druga tura (odbędzie się 30 października) również może być wielką – niemiłą – niespodzianką dla lewicy.

„Wynik ten pokazał ponad wszelką wątpliwość, że Bolsonaro nie jest żadnym wypadkiem przy pracy. Cztery lata temu, gdy niespodziewanie sięgnął po władzę na fali antylewicowych nastrojów, można było stwierdzić, że to łut szczęścia. Dziś to już niemożliwe – analizował pierwszą turę »The New York Times«. – Jego hasło »Bóg, ojczyzna i rodzina« przemawia do wielu grup społecznych i zapewnia mu poparcie. Niezależnie od wyniku wyborów pod koniec miesiąca, siły, jakie Bolsonaro wskrzesił i typ polityki, którą prowadzi, zostaną tu na dłużej".

SZEŚĆ ŻON

Jair Bolsonaro, oficer wojsk powietrzno-desantowych, bez wątpienia zmienił brazylijską politykę. Obecny prezydent to polityk nieskory do kompromisów, przedstawiający bardzo proste recepty i prący wręcz do konfrontacji. W kwestiach cywilizacyjnych właściwie nie da się być od niego bardziej na prawo. Bolsonaro od lat zwalcza wszelkie próby rewolucji obyczajowej, bardzo ostro wypowiada się na temat LGBT (w 2011 r. powiedział w wywiadzie z „Playboyem", że wolałby, aby jego syn zginął w wypadku, niż miałby się okazać homoseksualistą), a także jest absolutnym przeciwnikiem aborcji. W tej ostatniej kwestii jego poglądy odzwierciedlają jednak w znacznym stopniu nastroje społeczne. Sondaże pokazują bowiem, że ok. 70 proc. Brazylijczyków sprzeciwia się legalizacji aborcji na życzenie. Dziś brazylijskie prawo w kwestii aborcji jest podobne do polskiego i wobec poglądów społeczeństwa również kandydat lewicy nie jest w stanie forsować dziś rewolucji w tym zakresie. Lula kilka miesięcy temu próbował wprawdzie wykonać gest w stronę feministek i zapowiedział otwartość na dyskusję w sprawie zmiany prawa, ale mocna reakcja chrześcijańskich wyborców zmusiła go do wycofania się z takich pomysłów.

Jair Bolsonaro, prezydent Brazylii, który ubiega się o drugą kadencję, podczas telewizyjnej debaty prezydenckiej 16 października 2022 r.
FOT. NELSON ALMEIDA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl d5f9371c43

„Nie tylko jestem przeciw aborcji, ale wszystkie kobiety, z którymi się ożeniłem, również są przeciw aborcji" – powiedział w czasie kampanii Lula, który w kwestii liczby małżeństw remisuje z Bolsonaro (każdy z nich ma po dwie byłe żony i po jednej aktualnej). „Myślę, że prawie wszyscy są przeciw aborcji. Nie tylko dlatego, że jesteśmy obrońcami życia, lecz także dlatego, że poddanie się aborcji musi być bardzo nieprzyjemną i bolesną rzeczą" – dodał. Na tle wyborów w innych krajach zachodnich to rzecz doprawdy niezwykła: dwóch najważniejszych kandydatów na urząd prezydenta ściga się na proliferskie deklaracje.

W kampanii w 2018 r. Bolsonaro postawił na obietnicę walki z przestępczością i – przede wszystkim – poprawę fatalnych statystyk dotyczących morderstw. „Dobry przestępca to martwy przestępca" – głosił Bolsonaro. Obiecał też, że zliberalizuje dostęp do broni palnej, by zwykli obywatele, którzy chcą się zabezpieczyć przed przestępcami, mogli mieć taką możliwość. Trzeba przyznać, że w tym punkcie programu wyborczego udało mu się zrealizować zapowiedzi. Bolsonaro przeznaczył większe środki na policję i skierował do walki z gangami więcej wojska.

Statystyki odnośnie do morderstw, choć wciąż fatalne na tle choćby Europy, wyglądają znacznie lepiej niż jeszcze kilka lat temu. W 2017 r., według Brazylijskiego Forum Bezpieczeństwa Publicznego, w Brazylii zamordowano rekordowe 59 tys. ludzi (w liczącej pięć razy mniej mieszkańców Polsce w tym samym roku zabitych zostało 519 osób). W 2019 r. (pierwszy pełny rok prezydentury Bolsonaro) zabito 42 tys. osób, rok później 44 tys., a w 2021 r. popełniono już „tylko" 41 tys. morderstw.

Bolsonaro obiecywał też Brazylijczykom, że przestanie traktować Amazonię jako świętość i pozwoli na większe wykorzystywanie lasu tropikalnego pod kątem przemysłowym. Tu również dotrzymał słowa, ku zgrozie światowych organizacji ekologicznych. Prezydent Brazylii odrzuca jednak wszelką krytykę w tym zakresie i przekonuje, że Amazonia nie jest żadnym dziedzictwem całej ludzkości, ale lasem, który leży na terenie jego państwa, i Brazylijczycy mogą korzystać z jego bogactwa tak, jak chcą. Bolsonaro uważa zresztą wszelkie normy ekologiczne za kulę u nogi brazylijskiej gospodarki. W związku z tym nie powinno dziwić, że odkąd doszedł do władzy, budżet ministerstwa środowiska Brazylii zmniejszony został o ponad 90 proc.

NAJWAŻNIEJSZA GOSPODARKA

Obecna kampania rozgrywa się jednak głównie wokół tematów gospodarczych, a te – w związku z dwucyfrową inflacją – niezbyt sprzyjają Bolsonaro. Lula przekonuje wyborców, że wraz z nim wrócą „złote czasy" dla brazylijskich rodzin. Hasło to na pewno ma spory potencjał wyborczy, bo Brazylijczycy doskonale pamiętają, że to właśnie Lula wprowadził wiele programów społecznych, dzięki którym miliony Brazylijczyków zaczęły odczuwać efekty bujnego rozwoju gospodarczego ich państwa.

Z drugiej jednak strony Bolsonaro nie przestaje wykorzystywać w kampanii oskarżeń o korupcję, które od lat ciągną się za Lulą. Były prezydent spędził przecież za kratkami półtora roku po tym, jak sąd skazał go na 12 lat m.in. właśnie za przyjmowanie łapówek. Rok temu Sąd Najwyższy anulował jednak wyrok i przywrócił Luli prawo do ubiegania się o urzędy. Generalnie jednak wyborcy Bolsonaro uważają to za decyzję stricte polityczną.

Lewicowi politycy w Brazylii zupełnie wprost straszą, że w przypadku przegranej Bolsonaro jest on gotów nie uznać wyników i próbować siłą utrzymać się u władzy. Przypominają więc bardzo często słowa, które Bolsonaro, ówczesny deputowany, wypowiedział w 1993 r. w brazylijskim Kongresie: „Jestem za dyktaturą. Nigdy nie rozwiążemy poważnych problemów trapiących nasz naród z tą nieodpowiedzialną demokracją". Trzeba też przyznać, że Bolsonaro robi wiele, by podsycać takie nastroje. Obecny prezydent przekonuje swoich wyborców, by nie wierzyli w uczciwość procesu wyborczego w Brazylii, ponieważ wrogie mu siły na pewno będą dążyły do odjęcia mu części głosów.

Jeżeli natomiast chodzi o kwestię rosyjskiej agresji na Ukrainę, to wygląda na to, że niezależnie od wyniku wyborów prezydenckich niewiele się pod tym kątem zmieni. Bolsonaro unikał deklaracji w tej sprawie, starając się trzymać Brazylię z dala od konfliktu (brazylijscy rolnicy bardzo potrzebują ogromnych ilości nawozów sztucznych z Rosji), z kolei Lula stwierdził w maju, że Kijów i Moskwa w równym stopniu odpowiadają za rozpętanie tej wojny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. PRESIDENT.GOV.BY

Nieporozumienie mińskie

Maciej Pieczyński

Kiedyś pełnił rolę mediatora między Rosją a Ukrainą. Popierał Putina w konfliktach z Zachodem, ale wobec Kijowa zachowywał neutralny, często nawet życzliwy stosunek. Jednak po 24 lutego pozorowana przez Łukaszenkę polityka wielowektorowa ostatecznie odeszła do lamusa

Gdy w 2014 r. Putin po raz pierwszy napadł na Ukrainę, nie mógł liczyć na wsparcie Mińska. Alaksandr Łukaszenka zawsze był dyktatorem brutalnie tłumiącym opozycję. Potrafił też wygrażać państwom Zachodu lub organizować kryzysy graniczne. Nigdy jednak nie był orędownikiem imperialnego ekspansjonizmu. Starał się utrzymywać dobre stosunki zarówno z Moskwą, jak i z Kijowem, nawet wówczas, gdy po kolejnych rewolucjach Ukraińcy wybierali kurs prozachodni. Miał świadomość, że Białorusini godzą się na rządy silnej ręki, na zbliżenie z Moskwą (nawet opozycja w 2020 r. wyrażała poglądy prorosyjskie), ale jako naród mało wojowniczy i przyjaźnie nastawiony zarówno do Rosjan, jak i Ukraińców, nie popierają wojny pomiędzy nimi.

Choć Łukaszenka czuje się bardziej Rosjaninem lub człowiekiem sowieckim niż Białorusinem (twierdzi, że Białorusin to Rosjanin ze znakiem jakości), to jednak woli być dyktatorem częściowo niezależnego kraju niż gubernatorem jednego z obwodów Rosji. Dlatego długo opierał się przed pogłębieniem integracji Państwa Związkowego, równoważąc wpływy Moskwy flirtem z Unią Europejską. Dlatego, widząc imperialne zapędy Putina, musiał się obawiać, że Białoruś kiedyś podzieli los Krymu.

Z tych powodów na samym początku konfliktu (w jego hybrydowej fazie) „Baćka" zrobił wszystko, żeby do eskalacji nie doprowadzić. Ewentualnie, żeby, w razie gdyby Zachód postanowił Putina ukarać, Białoruś nie dostała przy okazji po głowie. Umiejętnie wszedł w rolę mediatora. Jak wiadomo, to on był gospodarzem rozmów pokojowych – trójstronnej grupy kontaktowej (Ukraina, Rosja, OBWE plus separatyści) czy normandzkiej czwórki (Ukraina, Rosja, Niemcy, Francja). Zawarte w Mińsku porozumienia nigdy nie zostały zrealizowane. Jednak przynajmniej Rosjanie i Ukraińcy częściej wykłócali się o łamanie porozumień mińskich, niż do siebie strzelali. Konflikt udało się częściowo zamrozić. Łukaszenka nie uznał aneksji Krymu, nie poparł separatystów pomimo nacisków Putina. Proponował nawet wysłanie białoruskiej misji pokojowej do Donbasu.

Jesienią 2019 r., kilka miesięcy po wyborczym zwycięstwie, Zełenski gościł Łukaszenkę w Żytomierzu, w ramach Forum Regionów Ukrainy. Rozmowy dotyczyły współpracy Kijowa z Mińskiem. Obie strony zadeklarowały zintensyfikowanie współpracy gospodarczej. Podczas wspólnego wystąpienia obu prezydentów doszło do zabawnej wymiany zdań, pokazującej przy okazji ich geopolityczne przekonania: „Tutaj, Wołodymyrze Ołeksandrowyczu, jest pełno dziennikarzy, oni na pewno teraz tak zinterpretują nasze wspólne oświadczenie, jakbyśmy coś robili przeciwko Rosji albo Chinom, ale to nie tak…", w tym momencie przerwał mu Zełenski słowami: „Proszę się tego nie wstydzić", a po chwili dodał:

eprasa.pl d5f9371c43

„Żartuję!". „Ja pana za język ciągnąć nie będę. Ja się nie wstydzę. Ale niech pan nie myśli, że tylko tamci [Rosja i Chiny – przyp. red.] będą na nas naciskać. Ale też tam, na Zachodzie, niezbyt dobrze to [współpracę Mińska i Kijowa] przyjmą" – skomentował, śmiejąc się, Łukaszenka. Następnie, już poważniej, przekonywał dziennikarzy, że on i Zełenski to „dobrzy ludzie", którzy nie chcą z nikim walczyć, chcą się tylko ze wszystkimi przyjaźnić. Podkreślał, że Ukraina i Białoruś to kraje tranzytowe zarówno dla Zachodu, jak i dla Rosji, które jednak mają również własne interesy. „Nie powinniśmy pełzać na kolanach przed nikim!" – deklarował. Potem jednak znacząco się pomylił, mówiąc o „forum regionów Rosji". Gdy Zełenski przerwał mu i sprostował, że chodzi o Ukrainę, nie o Rosję, Łukaszenka obrócił sytuację w żart: „Oj, a ja teraz się wystraszyłem, że nazwałem pana Władimirem Władimirowiczem". „Chwała Bogu, nie" – skwitował Zełenski. Wymiana zdań przypominała bardziej kabaretowy skecz niż rozmowę dwóch prezydentów. Wtedy wydawało się, że połączyło ich nie tylko poczucie humoru czy podobieństwo charakterów, lecz także wspólne interesy. Zełenski chciał ze wszystkimi dobrze żyć. Łukaszenka jak zwykle pozorował politykę wielowektorową, otwartą nie tylko na Moskwę, lecz także na inne stolice. Przy czym akurat Ukraina naprawdę zajmowała zawsze istotne miejsce w białoruskiej polityce zagranicznej. To było pierwsze, jednak również ostatnie spotkanie Zełenskiego z Łukaszenką.

PUNKT ZAPALNY

Relacje ukraińsko-białoruskie zaczęły się pogarszać w sierpniu 2020 r. Punktem zapalnym była sprawa rosyjskich najemników z Grupy Wagnera. Zostali oni zatrzymani przez białoruskie służby w Mińsku. Łukaszenka ogłosił, że wagnerowcy próbowali go obalić. Okazało się jednak, że Mińsk był tylko przystankiem na drodze do Stambułu, dokąd najemników podstępem zwabiła SBU. Po drodze samolot miał awaryjnie lądować na Ukrainie, gdzie odpowiedzialni za zbrodnie wojenne najemnicy zostaliby zatrzymani. Łukaszenka dowiedział się o akcji i postanowił ją wykorzystać politycznie. Zatrzymując rosyjskich najemników, zademonstrował rzekomą niezależność od Moskwy. Ukraińcy apelowali, aby wydał zatrzymanych. Jednak Łukaszenka po cichu oddał ich Moskwie, na której łaskę był skazany w obliczu „biało-czerwono-białej rewolucji" oraz polityki sankcyjnej Zachodu.

Na początku „biało-czerwono-białej" rewolucji Ukraina nie krytykowała Łukaszenki tak ostro, jak choćby Polska czy Litwa. To się jednak zmieniło, gdy dyktator pod wpływem Putina zaczął szermować antyukraińską retoryką i oskarżać Kijów o działalność wywrotową na terytorium Białorusi. Ukraińskie władze najpierw wezwały białoruskiego ambasadora na dywanik. Następnie zawiesiły stosunki dyplomatyczne z Białorusią, oświadczyły, że nie uznają Łukaszenki za prezydenta, i wreszcie – przyłączyły się do unijnych sankcji.

Wyjątkowo brutalna odpowiedź na wyjątkowo masowe protesty przeciwko wyjątkowo ostentacyjnym fałszerstwom wyborczym okazała się przełomem nie tylko dla wewnętrznej, lecz także dla zewnętrznej sytuacji Białorusi. Zachód już nie chciał rozmawiać z Łukaszenką, ten zaś przetrwał w dużej mierze dzięki pomocy Kremla, stając się jego marionetką. Polityka wielowektorowa odeszła do lamusa. A w Kijowie zaczęto na poważnie obawiać się rosyjskiej inwazji z terytorium Białorusi. Ukraina już wtedy wzmocniła swoją północną granicę. Kryzys we wzajemnych relacjach postępował. Ukraina wprowadziła wysokie cło na import autobusów i ciężarówek z Białorusi. W postępującym konflikcie Łukaszenki z Zachodem Zełenski stanął po stronie Zachodu. Po tym, jak wiosną 2021 r. służby białoruskie porwały samolot z opozycjonistą Ramanem Pratasiewiczem na pokładzie, Ukraina wstrzymała wszystkie połączenia lotnicze z Białorusią. To był dotkliwy cios. Po 2015 r., kiedy zlikwidowano bezpośrednie loty między Ukrainą a Rosją, pomiędzy skonfliktowanymi krajami można było latać przez Mińsk. Teraz nawet pod względem logistycznym Białoruś przestała być pośrednikiem na linii Moskwa – Kijów.

Jednocześnie ekipa Zełenskiego nie wspierała aktywnie antyłukaszenkowskiej opozycji. Ukraiński prezydent jak dotąd ani razu nie spotkał się z Cichanouską. Nawet po 24 lutego. Takie spotkanie mogłoby wpłynąć na polepszenie relacji pomiędzy Ukraińcami a Białorusinami. Ci pierwsi bowiem o agresję obwiniają często nie tylko reżim, lecz także generalnie samo społeczeństwo białoruskie. Spotkanie twarzy opozycji z ukraińskim prezydentem mogłoby też wbić klin pomiędzy Łukaszenkę a Białorusinów, którzy w większości, nawet jeśli popierają władzę, to nie podzielają rosyjskiej ukrainofobii.

W ŁAPY PUTINA

Po tym, jak Zachód poparł Cichanouską, rosyjska propaganda, w przeszłości ostro krytykująca Łukaszenkę za flirty z tymże Zachodem, triumfowała i złośliwie pouczała „Baćkę", że „tak właśnie kończy się polityka wielowektorowa". A w czasie konfliktu granicznego z Polską już niemal jednoznacznie stanęła po stronie Mińska. Gdy jednak Dmitrij Kisieliow czy Władimir Sołowiow przeprowadzali z Łukaszenką wywiady, nie tylko pozwalali mu pożalić się na Polaków i Zachód, lecz także próbowali wymusić na nim uznanie rosyjskości Krymu oraz poparcie dla pogłębienia integracji z Rosją. A „Baćka", swoim zwyczajem, kluczył, zmieniał temat i schlebiał propagandystom, byle tylko nie odpowiedzieć na pytanie.

Białoruś jest państwem agresorem de iure, ale wciąż jeszcze może się stać nim de facto. Łukaszenka udostępnił terytorium do agresji, ale prawdopodobnie odmówił wysłania swoich wojsk na front. Oficjalną pozycję Mińska po 24 lutego można streścić mniej więcej tak: „Rosja ma rację, bo trzeba wyzwolić Ukrainę od nazizmu, ale nasi żołnierze przenigdy nie pójdą na wojnę. Naszą rolą jest stać na straży zachodnich granic Państwa Związkowego, osłaniać tyły Rosji". Widząc, że Putinowi idzie jak po grudzie, Łukaszenka tym bardziej nie chce iść jego śladem.

Białorusini nie chcą ginąć na nieswojej wojnie. Potencjalna fala dezercji lub odmowa wykonania rozkazu w wysłanej na front armii białoruskiej mogłyby doprowadzić do kolejnej rewolucji. Łukaszenka jednak coraz bardziej ulega Putinowi, bo prędzej władzę (i życie – takie groźby z Kremla już ponoć wybrzmiały) odbiorą mu rosyjskie służby niż opozycja. Ulega jednak stopniowo, bo wie, że zaangażowana na Ukrainie Rosja tylko w ostateczności zaryzykuje dodatkowe problemy z wymianą władzy w Mińsku. Ogłosił „kontrolę możliwości mobilizacyjnych" (cały Łukaszenka – ani to mobilizacja, ani niemobilizacja). Zgodził się na zwiększenie obecności armii rosyjskiej na Białorusi w ramach Regionalnego Zgrupowania Wojsk Rosji i Białorusi. Oficjalnie – z powodu rzekomego zagrożenia ze strony Zachodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

FOT. ADOBE STOCK

WARZYWA ZA SYNA

Władze Jakucji, z której to powołuje się żołnierzy do rosyjskiego wojska w takim chaosie, że wręczano karty ludziom, którzy nigdy w wojsku nie byli, a nawet niepełnosprawnym, postanowiły poprawić nastawienie mieszkańców. Jeden z samorządowców nagrał film, na którym zachęcał miejscowych do chętniejszego udziału w mobilizacji, oferując rodzinom przyszłych żołnierzy... koszyk z warzywami. Ludzie się oburzyli, bo wcześniej mówiono im, że rodziny za wysłanie mężczyzny na wojnę dostaną gotówkę.

PROPAGANDA NAKRĘCONA FILMEM

W Warszawie kręcono film historyczny i w związku z tym zbudowano scenografię z czasów drugiej wojny światowej. Jej elementem były wiszące na budynkach flagi III Rzeszy. Rosyjska propaganda natychmiast postarała się to wykorzystać w sieci. Gazeta „Izwiestia" zacytowała potem rozpowszechniane w Internecie brednie, m.in. takie: „To jest Warszawa pod rządami Donalda Tuska". A dodając, że były to dekoracje, uzupełniła, iż akurat wtedy odbył się w Warszawie zjazd partii KORWiN.

PRZESTĘPSTWO ZE ZNICZAMI

Mieszkaniec białoruskiego Bobrujska trafił przed sąd i został skazany na 15 dni aresztu. Pan Wiaczesław Bukasa złożył bowiem znicze przed miejscowym pomnikiem „ofiar niesprawiedliwych represji". Tak się złożyło, że dwa znicze były w kolorze niebieskim, a dwa – żółte. Uznano, że to symbol Ukrainy. Zdjęto ze szkła odciski palców i namierzono „sprawcę". Od teraz pomnik, przed którym pan Wiaczesław składał znicze, jest też jego osobistym pomnikiem.

SPACEY ŻAŁUJE, ŻE ŻAŁOWAŁ

Aktor Kevin Spacey został w 2017 r. oskarżony przez innego aktora, Anthony'ego Rappa, o to, że w 1986 r. „położył się na nim, próbując go uwieść". Spacey przeprosił i ujawnił, że jest gejem, po czym na długo wypadł z kręgów śmietanki Hollywood. Teraz, podczas procesu sądowego (pozwany o odszkodowanie), utrzymuje, że do niczego nie doszło. „Wyciągnąłem lekcję, która brzmi: nigdy nie przepraszaj za coś, czego nie zrobiłeś" – podkreślił oskarżony.

BO BRAMKI BYŁY ZA DUŻE

Na stadionie przed meczem 15. kolejki Championship między Hull City a Birmingham City najpierw swoje show mieli panowie z obsługi technicznej ze szlifierkami kątowymi w dłoniach. Sędzia i jego asystenci zmierzyli bowiem bramki i okazało się, że są za wysokie o 5 cm (regulacje określają wysokość na 2,44 m i szerokość na 7,32 m). Służby porządkowe na oczach kibiców przez 20 minut skracały bramki. Mecz odbył się z opóźnieniem. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

„Aktywista", czyli psuj

Brytyjskie „aktywistki" rzuciły zupą pomidorową w „Słoneczniki" Vincenta van Gogha – jeden z najcenniejszych obrazów artysty – po czym błyskawicznie przykleiły się do ściany muzeum. Dumne ze swojego czynu krzyczały potem: „Co jest ważniejsze? Sztuka czy życie?".

Panie były wściekłe, że koncerny paliwowe zarabiają pieniądze, a szefowie barbarzyńskiej organizacji Just Stop Oil zapowiedzieli kolejne ataki, grożąc, że nie ustaną dopóty, dopóki ich żądania nie zostaną spełnione. Na szczęście o tym, że głupich nie sieją, wiadomo nie od dziś, więc dzieło było chronione szklaną taflą. W przyszłości sztuka może jednak mieć mniej szczęścia w starciu z „terrorystami". Tak dzieje się już w przypadku „antyrasistów", których ofiarami stają się dzieła Szekspira i innych „zbyt białych" autorów.

W Polsce tzw. aktywiści wciąż próbują ułatwiać realizację planu osłabienia naszego kraju – autorstwa Putina i Łukaszenki – polegającego na przerzucie przez granicę tysięcy nielegalnych migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Niedawny raport dotyczący Ukrainy kolejny raz pokazał „obiektywizm" i „rzetelność" aktywistów z Amnesty International.

Są też łagodniejsze przypadki. Niektórzy „aktywiści" chcą np. wyrzucenia z miast wszystkich samochodów. Nie tylko diesli. Wszystkich. Niczym terroryści nie chcą nikogo przekonywać. Realizację swojej wizji świata chcą wymusić siłą.

Słowo „aktywista" obrasta w ten sposób kolejnymi pejoratywnymi konotacjami. Już teraz jest ono jedną z największych obelg, którą człowiek może o sobie obecnie usłyszeć. Współczesny „aktywista" łączy bowiem w sobie „ignoranta", „terrorystę", „barbarzyńcę" i „chuligana". Szkoda, bo prawdziwi społecznicy są i będą potrzebni. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

Rodzina zawsze w centrum

22 października obchodziliśmy Dzień Praw Rodziny. To okazja do przypomnienia, jak ważną rolę w państwie odgrywa rodzina – to ona jest fundamentem bytu i rozwoju. – Dobrze to rozumiemy, dlatego mimo pandemii, mimo wojny w Ukrainie i kryzysu, z jakim mierzy się dzisiaj cała Europa, konsekwentnie stawiamy na rodzinę – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg

Obejmując władzę w 2015 r., w centrum naszych działań postawiliśmy rodzinę. Nie zmieniła tego pandemia, nie zmieniłay wojna w Ukrainie i kryzys, z którym zmaga się dzisiaj cała Europa. Rodzina jest fundamentem bytu i rozwoju państwa, o czym z okazji Dnia Praw Rodziny szczególnie przypominamy – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

FOT. MRiPS

86 MLD ZŁ NA POLITYKĘ RODZINNĄ W 2022 R.

W tym roku tylko na działania związane ze wsparciem rodzin w ramach różnego rodzaju programów wydatki budżetu państwa wyniosą blisko 86 mld zł.

Od uruchomienia programu „Rodzina 500+" w kwietniu 2016 r. to już 202,3 mld zł wsparcia. Świadczeniem objętych jest dzisiaj 7,1 mln dzieci.

– Program „Rodzina 500+" zmienił sposób postrzegania polityki społecznej w Polsce. To nie jest świadczenie socjalne dla najmniej uposażonych, to inwestycja w przyszłość młodego pokolenia – podkreśla szefowa MRiPS.

WSPARCIE NA OPIEKĘ NAD NAJMŁODSZYMI DZIEĆMI

Rodzinny kapitał opiekuńczy to z kolei nawet 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w wieku od ukończenia 12. do 35. miesiąca życia. Tu również nie obowiązuje kryterium dochodowe.

W 2022 r. z rodzinnego kapitału opiekuńczego skorzysta ok. 615 tys. dzieci, a kwota wsparcia to ok. 3,1 mld zł.

Na te dzieci, które nie są objęte rodzinnym kapitałem opiekuńczym, przysługuje natomiast dofinansowanie do pobytu w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna. To nawet 400 zł miesięcznie, które trafia bezpośrednio do placówki. W 2022 r. ze wsparcia ma skorzystać ok. 110 tys. dzieci.

WIĘCEJ ŻŁOBKÓW W CAŁEJ POLSCE

Dzięki wspieraniu tworzenia nowych miejsc opieki nad dziećmi do lat trzech w ramach programu „Maluch+" coraz więcej rodziców może posyłać dzieci do placówki i wrócić do pracy.

W Polsce funkcjonuje dzisiaj 8 tys. placówek opieki nad dziećmi do lat trzech, w których znajduje się blisko 230 tys. miejsc. W 2015 r. takich miejsc było zaledwie 84 tys.

SPOKOJNY POWRÓT DO SZKOŁY

Rodzice starszych dzieci mogą liczyć na dofinansowanie zakupu wyprawki szkolnej. Trzysta złotych jednorazowego wsparcia przysługuje na każde uczące się dziecko do ukończenia 20. roku życia, a w przypadku dzieci z niepełnosprawnościami – do ukończenia 24. roku życia.

W latach 2018–2022 do rodzin trafiło 6,6 mld zł, a wsparciem objęto 4,4 mln uczniów.

Wnioski o świadczenie w ramach tegorocznej edycji programu „Dobry Start" można składać do końca listopada bieżącego roku.

WSPARCIE RODZIN W OBLICZU KRYZYSU

Zaledwie dwa lata po wybuchu pandemii COVID-19 przyszło nam się mierzyć z wojną na Ukrainie. Rosnąca inflacja i kryzys energetyczny uderzyły w całą Europę, wszyscy solidarnie płacimy cenę za sprzeciw wobec rosyjskiej agresji.

– Nasz rząd nie godzi się na to, by koszty polityki Kremla ponosiły polskie rodziny. Obniżyliśmy VAT m.in. na podstawowe produkty żywnościowe i energię, wprowadziliśmy dodatek osłonowy, węglowy, a także dodatki na inne źródła ciepła w ramach Rządowej Tarczy Energetycznej. Zamroziliśmy ceny energii elektrycznej na 2023 r. i wprowadziliśmy dodatek elektryczny. Uruchomiliśmy dodatkowe środki dla samorządów, blisko 14 mld zł, m.in. na poprawę efektywności energetycznej – wylicza szefowa resortu rodziny.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl d5f9371c43

Z Arturem Dziamborem, posłem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polska przed zawałem

FOT. ZBYSZEK KAŹMIREN/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Gdyby miał pan opisać stan polskiej gospodarki tej jesieni, używając terminologii medycznej, to jakiego określenia by pan użył?

ARTUR DZIAMBOR: Myślę, że możemy mówić o stanie przedzawałowym. Wszyscy przedsiębiorcy, którzy pracę swoich firm opierają na nieruchomościach, które trzeba wynajmować, płacąc co miesiąc rachunki za prąd i gaz, zastanawiają się dziś, czy przetrwają tę zimę. Niektórzy już dziś decydują się na ogłoszenie pracownikom, że tej zimy nie przetrwają, w związku z czym pracownicy powinni zacząć szukać szczęścia gdzie indziej, w innych branżach. Oczywiście ta sytuacja dotyczy przede wszystkim sektora prywatnego, w mniejszym stopniu sektora państwowego, bo idąc za maksymą zmarłego niedawno Jerzego Urbana, „rząd się wyżywi". Podobnie też „wyżywią się" spółki Skarbu Państwa. Tymczasem każdego dnia słyszymy o tym, że upada jakaś firma. Naturalnie są kategorie przedsiębiorców, którzy nie potrzebują pewnych rzeczy w takim stopniu jak inni, obywają się bez obiektów, za które muszą płacić, mają mobilnych pracowników itp. Każdy biznes jest inny.

Mówimy o piekarzach, restauratorach, hotelarzach. Wielu z nich dziś ledwie wiąże koniec z końcem...

Ich miałem na myśli. Kilka dni temu dowiedziałem się, że najstarsza i najbardziej znana piekarnia w moim mieście, Gdyni, zamyka się z końcem grudnia, ponieważ jej właściciele dostali informację, że podwyżka cen prądu i gazu będzie pięciokrotna w stosunku do tego, co płacą dziś. W związku z tym nie są w stanie produkować za taką cenę jak obecnie. Właściciele tej piekarni zwracają uwagę na jeszcze jeden fakt, związany z tym, że rząd bawi się propagandowo minimalnym wynagrodzeniem krajowym, zmuszając przedsiębiorców do tego, żeby płacili państwu dodatkowe pieniądze za to, że zatrudniają pracowników. Zaznaczę, że podwyżka minimalnej pensji krajowej może daje temu pracownikowi dodatkowo 200 czy 300 zł, ale jednocześnie za każdego takiego pracownika budżet państwa zyskuje dodatkowo kilkaset złotych, które wyciąga z kieszeni przedsiębiorcy.

Kto lub co pana zdaniem ponosi odpowiedzialność za ten stan rzeczy? Putin, bo rozpętał wojnę na Ukrainie, pandemia, która rozregulowała nasze życie i gospodarkę?

Nie. Rząd Prawa i Sprawiedliwości rządzi od siedmiu lat. Wszystko, co się dzieje w Polsce, dobrego i złego, to jest ich sprawka bądź ich zasługa. Jeżeli sektor publiczny działa dobrze, to dzięki nim. Ale jeśli w gospodarce idzie teraz źle, to tylko przez nich.

Dlaczego w takim razie tej jesieni mamy do czynienia z kumulacją kryzysu w gospodarce?

Po pierwsze, wszystkie decyzje, które podejmował rząd PiS przez te siedem lat, sprowadzające się głównie do tego, żeby dodrukowywać pieniądze na programy socjalne, na które państwa nie było stać, spowodowały, że ten balon w pewnym momencie musiał pęknąć. Oczywiście należy też zaznaczyć, że nikt nie był w stanie przewidzieć pandemii czy wojny na Ukrainie. Jasne, że te wydarzenia wpłynęły na gospodarkę i stan państwa. Ale z tym, że był to bardzo niekorzystny wpływ, związek miały podejmowane złe decyzje gospodarcze. W trakcie pandemii można było zastosować inne strategie, nie zamykać wszystkich tych przedsiębiorstw, które zostały zamknięte.

Nie zapomnijmy o miliardach złotych wpompowanych w tarcze antykryzysowe dla zamykanych

eprasa.pl d5f9371c43

decyzją rządu firm… Czy to nie nakręciło spirali inflacyjnej?

Po pierwsze, inflację napędzały programy socjalne, które uruchomiło Prawo i Sprawiedliwość, oraz obciążenia podatkowe, które PiS wprowadził. Ale wtedy inflacja była na poziomie poniżej 10 proc. Ostrzegaliśmy już wtedy, że polityka PiS kreuje wysoką inflację, przecież w normalnie funkcjonującym systemie gospodarczym inflacja powinna być na poziomie 2–3 proc. Ale rzeczywiście to, że w czasie pandemii w gospodarkę zostało wpompowanych ponad 200 mld zł, żeby w cudzysłowie „ratować” przedsiębiorców i miejsca pracy, to niestety spowodowało, że byliśmy tam, gdzie byliśmy przed 24 lutego.

Na domiar złego po wybuchu wojny na Ukrainie rząd podejmował kolejne kroki, które sprawiły to, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy dziś. Oczywiście nie jesteśmy jedyni. Już słyszę ironizujące głosy: „No tak, Prawo i Sprawiedliwość rządzi też w Estonii, gdzie inflacja zbliża się do 25 proc.”. Jasne, że to nie tylko polityka PiS przyczyniła się do wysokiej inflacji, którą dziś mamy w Polsce. Generalnie rządy państw Unii Europejskiej w zdecydowanej większości, a także administracja amerykańska miały bardzo podobne podejście do pandemii i mają bardzo podobne podejście do działań pomocowych, tzn. wszystkie te rządy decydowały się na masowy dodruk pieniądza i ratowanie ludzi czymś, co nie jest ich w stanie uratować.

Moim zdaniem największym problemem jest to, że politycy, którzy nami rządzą, nie są praktykami gospodarczymi. Przez całe dorosłe życie prowadziłem działalność gospodarczą, zatrudniałem kilka osób i prowadziłem firmę w taki sposób, żeby działała możliwie najlepiej. W naszym rządzie, a także w wielu innych rządach nie ma ludzi, którzy mają tego typu doświadczenie. W związku z tym oni nie mają zielonego pojęcia np., co to znaczy zamknąć pub. Jednym ruchem zdecydowali się zamknąć wszystkie restauracje i puby. A zamknięcie pubu to wcale nie jest prosta operacja. Zamknięty pub oznacza, że nie tylko nie zarobią jego pracownicy, ekipa sprzątająca czy ochrona, lecz także nie zarobią dostawcy i producenci. To długi łańcuch ludzi, którzy stracili na tym, że zamknięty został jeden pubik. W skali kraju możemy mówić nie o długim, lecz o gigantycznym łańcuchu ludzi, którzy tracili firmy, a często dorobek życia, bo ten anormalny stan był z przerwami utrzymywany prawie przez dwa lata. A to, że państwo wrzuciło miliardy w tarcze antykryzysowe, które przyczyniły się do tego, że inflacja zaczęła hulać, było działaniem nieodpowiedzialnym.

Trudno nie zauważyć i myślę, że nie jest to przejaw myślenia spiskowego, że rządowe strategie uderzyły najbardziej dotkliwie w małe i średnie firmy. Często były to rodzinne biznesy. W znacznie mniejszym stopniu ucierpiały wielkie korporacje i sektor państwowy. Czy właśnie nie o to chodzi projektantom tzw. wielkiego resetu?

Pomijając wszelkie teorie spiskowe, nie sposób nie zauważyć tego, że w wielu krajach mamy rządy, które zwalczają ludzi przedsiębiorczych. A my, Polacy, jesteśmy naprawę wyjątkowym narodem, bo w Polsce jest ponad 2 mln ludzi, którzy mają pozakładane własne działalności gospodarcze i spółki. To jest gigantyczna armia ludzi, którzy chcą pracować na siebie. Ta grupa cały czas rośnie. Nawet w tym, zdawałoby się, beznadziejnym czasie dla przedsiębiorców jeśli pan spojrzy na dane CEPIK, to okazuje się, że ludzie zakładają nowe działalności.

Polacy chcą mieć możliwość pracowania dla siebie, według własnego uznania, zgodnie z własnymi planami, byle im tylko nie przeszkadzać. Faktycznie jest tak, jak pan zauważył, że rząd jest silny wobec słabych, ale słaby wobec silnych, czyli korporacji czy wielkich banków. Im w czasie pandemii włos z głowy nie spadł, a jeszcze się na tym wzbogaciły.

Myślę, że ci, którzy przestrzegają przed „wielkim resetem”, w którym ma być rasa panów i niewolników, przestrzegają przed światem, w którym nie ma już „klasy średniej”, mają rację, bo to realna perspektywa. Tak to wygląda. Przyszłość ma należeć do wielkich korporacji, które kontrolują wszystkich i wszystko, a na ich rzecz mają pracować niewolnicy wykonujący niskopłatne prace. W tej wizji przyszłości próg wejścia do jakiegokolwiek biznesu będzie nieosiągalny dla zwykłych ludzi. Ten świat puka już do naszych drzwi. Najbardziej smucą informacje o kolejnych upadających firmach, wczoraj były to puby i restauracje, dziś piekarnia z mojego miasta.

Wsłuchując się w przekaz polityków i mediów, uderza beztroska w snuciu scenariuszy dotyczących możliwego rozlania się toczonej na Wschodzie wojny na Polskę. Czy Polska jest gotowa na wojnę?

Moim zdaniem w tym momencie nie. Ale chciałbym myśleć, że Ministerstwo Obrony Narodowej pracuje, żebyśmy jednak byli gotowi. Jak pan wie, mamy Ustawę o obronie ojczyzny. W tej ustawie przewidziano dodatkowy budżet dla Ministerstwa Obrony, który jest całkowicie poza budżetem państwa i jest on w dużym stopniu tajny. Wiemy, że zakupy realizowane z tego budżetu są w tym momencie aktywne. Mam nadzieję, że to wszystko przyczyni się do tego, że nasz kraj będzie lepiej zabezpieczony. Wokół naszej granicy robi się coraz bardziej gorąco. NATO to NATO, ale to my sami powinniśmy się umieć skutecznie obronić w wypadku agresji.

À propos przeciwdziałania zagrożeniu. Pan jest zdeklarowanym wolnościowcem. Dlaczego w Polsce jest tak utrudniony dostęp do broni? Czy rząd boi się, że uzbrojeni obywatele mogą obrócić się przeciw niemu?

Oczywiście jest to jeden z argumentów, którego cały czas używa władza. Zgodnie z nim obywatel jest na tyle odpowiedzialny, żeby wybrać rząd, ale nie jest na tyle odpowiedzialny, żeby wybrać broń, bo jeszcze, nie daj Boże, mógłby z tej broni zrobić jakiś użytek.

Ta argumentacja ignoruje fakt, że każdy z nas ma w swojej kuchni sprzęt, którym mógłby pozabijać wszystkich dookoła. Ale mówiąc całkiem serio, uczęszczam właśnie na lekcje strzelania, bo ubiegam się o pozwolenie na broń. Zanim się to pozwolenie uzyska, trzeba zdać egzaminy polegające na tym, że muszę udowodnić, iż umiem się nie zabić tą bronią, tylko strzelić do celu. Jednym słowem, staram się zrobić tyle, ile można zgodnie z obowiązującym prawem, czyli zdobyć to pozwolenie legalnie. Zachęcam wszystkich, żeby szli w tym kierunku.

Do szkół wrócił przedmiot przysposobienie obronne. Przewiduje on ćwiczenia młodych ludzi na strzelnicach. W myśl programu 18-latkowie mają mieć zajęcia na strzelnicach, a młodsza młodzież ma ćwiczyć strzelanie elektronicznie. Problem polega na tym, że nie ma na to finansowania. Już pomijam to, że w Polsce nie ma strzelnic. Ministerstwo stworzyło przedmiot, ale nie poszły za tym pieniądze. To samorządy mają znaleźć dodatkowe pieniądze w swoich budżetach na strzelnice. Mając wybór między ogrzaniem szkół zimą czy oświetleniem ulic a strzelnicami, łatwo się domyślić, na co samorząd da kasę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Model turecki a model polski

Jak wiadomo – rzecz jasna od władz Turcji, czyli polityków nieocenionej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju prezydenta Recepa Erdoğana – Turcja radzi sobie z inflacją więcej niż znakomicie. Wprost koncertowo! A właściwie nie tyle z inflacją, bo o tej oficjalnie wspomina się z rzadka i raczej półgębkiem, ile z „chwilowymi kłopotami związanymi ze wzrostem kosztów utrzymania", które szybciutko ustąpią, bo tak postanowiła miłująca sprawiedliwość i rozwój rządząca Partia Sprawiedliwości i Rozwoju. A cóż byłoby w stanie się jej oprzeć?

Mimo że inflacja wystrzeliła w Turcji do 80 proc. – choć niezależne instytuty mówią raczej o 180 proc. – mimo że za pieniądze, za które kilka lat temu można było tam kupić dobre auto, dziś można dostać co najwyżej dobry smartfon, mimo że według sondażu badania opinii publicznej aż połowa obywateli Turcji z powodu galopady cen została zmuszona ograniczyć ilość spożywanej żywności, turecka machina propagandowa uparcie stara się hiperinflacji nie zauważać. Nie ma tam więc hiperinflacji, za to sprawiedliwości i rozwoju – także, rzecz jasna, gospodarczego – jest dziś w Turcji więcej niż pod dostatkiem. A także rekordowych podwyżek płacy minimalnej – w tym roku już dwukrotnie, o – w sumie – grubo ponad 50 proc.

A jak zawsze niezawodny turecki bank centralny, w ramach – jak by to powiedzieć – niekonwencjonalnie pojmowanej walki z inflacją po raz kolejny obniżył stopy procentowe o 100 punktów bazowych – z 13 do 12 proc. Bank centralny zapatrzony w Recepa Erdoğana, który wysokie stopy procentowe uważa za „matkę i ojca wszelkiego zła". Bank centralny – dodajmy, choć tego chyba dodawać nie trzeba, bo to przecież jasne jak słońce Turcji – obsadzony nie tyle przez ekonomiczne „gołębie", czyli zwolenników łagodnej polityki pieniężnej, ile po prostu, żeby sprawy nie komplikować, przez ludzi sprawdzonych i nie niesprzyjających rządowi. Rządowi, któremu – co za niespodzianka – zależy na tanich, a zatem nisko – niziuteńko – oprocentowanych kredytach, z możliwie jak najniższymi ratami od nich, czyli na kredytach skrojonych w sam raz na miarę wyborców rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju.

A skoro rządowi zależy na tanich, nisko oprocentowanych kredytach, o które – przyznajmy – trudno przy wysokich stopach banku centralnego, to się te stopy (banku centralnego) obniża, co oczywiście powoduje wzrost inflacji, czyli także spadek stopy życiowej. No, ale – jak wiadomo – takie są koszty życia w państwie rządzonym przez ponad wszystko miłującą sprawiedliwość i rozwój Partię Sprawiedliwości i Rozwoju: co prawda z niską stopą (kredytową), ale za to na niskiej stopie (życiowej).

Na nasze szczęście Polska rządzona przez Prawo i Sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z Turcją rządzoną przez Partię Sprawiedliwości i Rozwoju. Nic a nic! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pan premier trzyma szafę

Zgódźmy się na wszystko, nic nikomu nie mówmy na wszelki wypadek, a potem szybko łapiemy kasę i w długą! Tak mniej więcej starał się działać rząd Mateusza Morawieckiego przez ostatnie lata w sprawie unijnych funduszy. Tak było ze zgodą na mechanizm warunkowości, tak było z podwyższeniem celów klimatycznych, przede wszystkim tak było z absurdalną listą „kamieni milowych" na czele z tymi, które niszczą motoryzację dla zwykłych ludzi. A teraz okazuje się, że tak było z umową dotyczącą między innymi funduszy spójności, których też możemy nie dostać. Wbrew robionej przez władzę dobrej minie do złej gry.

Polska Kartę Praw Podstawowych przyjęła ze znaczącymi ograniczeniami, a wygląda, że UE w ramach umowy o partnerstwie może nas z niej rozliczać w całej rozciągłości

Nie zadziałał tutaj – jeszcze – mechanizm warunkowości, ale kwestia nieprzestrzegania przez Polskę unijnej Karty Praw Podstawowych. Taki warunek został zapisany w polskiej umowie partnerstwa i zgodził się na to – uwaga, niespodzianka! – Mateusz Morawiecki. Jak sprawdzili dziennikarze „Dziennika Gazety Prawnej", takiego zapisu nie było w naszej umowie dotyczącej poprzedniej perspektywy budżetowej, a także nie mają go m.in. Litwini, Słoweńcy, Bułgarzy czy Niemcy. Jednym słowem – po raz kolejny wkopaliśmy się na własną prośbę, ponieważ daliśmy Brukseli do ręki bat i chyba tylko ktoś w kompletnym stuporze i zaćmieniu mógł sądzić, że nie zostanie wobec nas użyty.

Żeby było śmieszniej, a może straszniej, Polska Kartę Praw Podstawowych, będącą uzupełnieniem Traktatu Lizbońskiego, przyjęła w 2007 r. ze znaczącymi ograniczeniami, mimo że odpowiadał za to wtedy już rząd Donalda Tuska. Wygląda natomiast, że w ramach umowy o partnerstwie, czyli tej dotyczącej funduszy UE, można nas z niej rozliczać w całej rozciągłości, czyli młotkować np. w związku z mniejszościami seksualnymi.

To kolejny trup wypadający z szafy pana premiera, który już chyba nawet nie śpi, bo musi ją trzymać, a konkretnie – trzymać jej drzwi, żeby nie wypadały następne zwłoki. Ile ich tam jeszcze jest – kto wie. Każde inne – proszę wybaczyć obrazowość przenośni – okazują się bardziej przegniłe od poprzednich. Zadziwiające, że strażnikowi szafy wciąż pozwala się pozostawać na stanowisku. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

Poznań

Grupa Inwest®

HORYZONT
NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl

WILDA CORNER

PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl d5f9371c43

Drewniana dezinformacja

Andrzej Dąbrowski

Drewno z niszowego tematu dla specjalistów stało się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Polacy przypomnieli sobie o jego właściwościach grzewczych, a różne środowiska zaczęły siać dezinformację dla ochrony swoich interesów. O co tak naprawdę chodzi? O krociowe zyski branży drzewnej

Fala alarmujących w tonie newsów na temat sprzedaży drewna rozlała się nieprzypadkowo z początkiem jesieni. To moment, gdy Lasy Państwowe ogłosiły nowy regulamin sprzedaży tego surowca. W tej grze stawką są miliony metrów sześciennych drewna. Informacją rządzi dzisiaj czas – wygrywa ten, kto pierwszy narzuci swoją narrację, najlepiej najbardziej sensacyjną w tonie. Mało kto ma tyle determinacji, by weryfikować medialne rewelacje. Zwłaszcza że takie informacje przekazują organizacje branżowe, więc wydają się tym bardziej wiarygodne. Problem polega na tym, że są nieprawdziwe.

WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY!

Od wielu miesięcy przez media przetacza się narracja o rzekomym masowym eksporcie polskiego drewna do Chin. Winę mają ponosić Lasy Państwowe, które, co prawda, w ogóle drewna nie eksportują, ale przecież nie o prawdę chodzi, tylko o publiczne oskarżenie. Doskonałym tego przykładem jest artykuł na temat skokowego wzrostu eksportu drewna w Polsce. Na stronie internetowej Portu Gdańsk pojawiła się bowiem informacja, że od stycznia do końca lipca tego roku przeładowano w tym porcie ponad 36 mln ton towarów – o 20 proc. więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Największy skok wystąpił w drewnie – o 3150 proc.! I się zaczęło – Internet aż się rozgrzał od oskarżeń, że Lasy Państwowe wysyłają dobro narodowe do Chin.

– Takie tezy postawiły nawet poważne media, podając dane z portu, ale nikt nie zweryfikował, skąd te wzrosty. Zrobili to dopiero leśnicy! – zauważa Michał Gzowski, rzecznik Lasów Państwowych.

eprasa.pl d5f9371c43

Okazało się, że podawana na stronie portu dynamika +3151 proc. przeładunku drewna dotyczy 368 tys. ton drewna pochodzącego z… importu z Litwy, Estonii, Łotwy i Skandynawii. W porcie w Gdańsku to drewno jest pakowane w kontenery i wywożone do Chin, a niewielka ilość pozostałego drewna wyjeżdża samochodami do odbiorców w Polsce. Innymi słowy – to nie było polskie drewno.

Lasy Państwowe w ogóle nie są eksporterem drewna. Poprzez bezstronny system elektroniczny sprzedają drewno prywatnym firmom. A te czasami odsprzedają potem surowiec za granicę, gdy uznają, że to jest dla nich bardziej opłacalne niż przerób w kraju. Leśnicy nie mają na to żadnego wpływu. Mogą jedynie promować przy sprzedaży firmy, które deklarują, że zakupione drewno przerobią w Polsce.

ŻONGLERKA CENAMI

Aby lepiej zrozumieć, na czym polega problem z handlem drewna, warto poznać, jak działa system sprzedaży drewna dedykowany przez Lasy Państwowe dla przemysłu.

– Nie prowadzimy zwykłych licytacji na zasadzie, kto da więcej. Już wiele lat temu stworzyliśmy informatyczne narzędzia wsparcia dla stałych klientów. Chodzi o to, by przedsiębiorcy mieli stabilne warunki działania i gwarancje cen – podkreśla Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

W temacie świetnie za to poruszają się przedstawiciele firm drzewnych. Szczególnie ci, którzy kupują najwięcej metrów sześciennych drewna. I dlatego, kiedy z ich ust płyną porównania cenowe, nie może być mowy o pomyłkach. To celowa dezinformacja.

– Kiedy chodzi o zaakcentowanie, że drewno podrożało, niższe ceny oferowane stałym klientom zestawia się z rekordowymi cenami z otwartych aukcji, gdzie ceny ustalają sami przedsiębiorcy, konkurując między sobą – wskazuje dyrektor Lasów Państwowych. – Ten sam chwyt stosują, gdy chcą wykazać, jakoby w Polsce drewno kosztowało najwięcej w Europie. Rekordowe ceny aukcyjne z Polski zestawiają ze średnią ceną w wybranych krajach.

Ta dezinformacja ma swoje duże luki w logice – mówi się o najdroższym drewnie w Europie, a jednocześnie zarzuca się, że polskie drewno jest wykupywane przez zagranicę. Skoro wszędzie wokół drewno jest tańsze, to komu opłaca się je sprowadzać z Polski? Ale przecież… nie o prawdę chodzi.

PRZYKŁADY BEZ WERYFIKACJI

W przestrzeni publicznej pojawia się także opinia, jakoby w Europie standardem było zabezpieczanie w drewno krajowych producentów. Przedstawiciel jednej z polskich organizacji branżowych podaje jako przykład Niemcy: jeśli odpowiednik polskich Lasów Państwowych sprzedaje drewno gdzieś pod Hanowerem czy Monachium, to Polak może co najwyżej ustawić się na końcu kolejki. Kupi dopiero, gdy swój apetyt nasycą firmy z Niemiec. Jak jest naprawdę?

– Nie ma jednej ogólnoniemieckiej organizacji „Lasy Państwowe". Każdy land zarządza lasami na własnych warunkach. Większość ma preferencje dla stałych niemieckich odbiorców, podobnie jak w Polsce – tłumaczy Michał Gzowski, rzecznik LP. Niemiecka Rada ds. Leśnictwa wyjaśniła, że nie istnieją jakiekolwiek dodatkowe obostrzenia wykluczające czy utrudniające zakup dla firm z innego unijnego państwa. Wszyscy podlegają tej samej procedurze sprzedaży uwzględniającej jasne i jawne preferencje dla niemieckich firm. Tak jak w Polsce.

WINNY POSZUKIWANY

Polski przemysł drzewny i meblarski to miara sukcesu naszej transformacji gospodarczej. Od 2010 r. branża podwoiła wartość produkcji sprzedanej. Wyjątkowy sukces miał miejsce w 2021 r. i w pierwszych miesiącach tego roku. Ich miernikami są skokowy wzrost produkcji sprzedanej (z 28 do 39 mld zł), wzrost eksportu (z 4,5 do 5,8 mld euro) i wyjątkowo wysoka rentowność poszczególnych sektorów. Z tych sukcesów należy się cieszyć. Nie jest to zasługą Lasów Państwowych, tylko przedsiębiorczości firm z branży drzewnej. Tak samo nie jest winą Lasów Państwowych obecna redukcja zamówień, z której skutkami boryka się branża drzewna zarabiająca w ostatnich latach rekordowe pieniądze.

Jednak branża drzewna, zamiast szukać oszczędności czy nowych rynków zbytu, winą za rosnące ceny energii i komponentów do produkcji woli obarczyć Lasy Państwowe.

– Lasy Państwowe nadają się najlepiej do roli głównego winowajcy. Duża, państwowa organizacja, której łatwo odmówić przymiotów biznesowych. Dominująca na rynku dostaw, której zadaniem w dodatku jest dostarczać surowiec polskiej gospodarce – zauważa Michał Gzowski. – To łatwy cel ataku.

Stabilne zasady dostaw surowca to jeden z filarów bardzo dobrych wyników polskiego przemysłu drzewnego. Stabilność ta wynika jednak ze stałych zasad prowadzenia zrównoważonej gospodarki leśnej. Polscy leśnicy od dziesięcioleci pozyskują drewno według ściśle określonych limitów, tak aby lasów co roku przybywało. Liczy się rozwój naszego narodowego dobra – polskich lasów. Nie mają tu znaczenia wahania popytu czy cen. Obecne obawy branży drzewnej przed spadkami jej zysków też nie będą mieć znaczenia. Leśnicy nie zaczną pozyskiwać więcej drzew, by biznes leśny mógł więcej zarobić.

Mity kontra fakty

NIEPRAWDA	PRAWDA
• W 2021 r. drewno podrożało o 100 proc.	• W 2021 r. drewno podrożało o 8 proc.
• Leśnicy eksportują drewno do Chin i Niemiec.	• Leśnicy w ogóle nie zajmują się eksportem.
• Nowy regulamin sprzedaży oznacza wzrost cen o 60 proc.	• Nowy regulamin sprzedaży wprowadza ceny wyjściowe na rok 2023 o 21 proc. niższe niż w 2022 r.
• Lasy Państwowe nic nie robią, by powstrzymać eksport nieprzetworzonego drewna.	• Lasy Państwowe wprowadziły nowe kryteria oceny ofert, które promują zaawansowany przerób w Polsce.
• Leśnicy za dużo drewna kierują na otwarte aukcje, zamiast sprzedawać je stałym klientom.	• Leśnicy kierują do stałych odbiorców aż 70 proc. pozyskiwanego drewna, zgodnie z zaleceniami UOKiK.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d5f9371c43

Iga Świątek ma dziś pomoc profesjonalnego sztabu trenerskiego, ale ojciec, który rozpoczął z nią zawodowy sport, wciąż jest dla niej oparciem

FOT. MAREK ZIELIŃSKI/SE/EAST NEWS

Ojcowie sukcesu

Łukasz Zboralski

Iga Świątek właściwie już jest legendą światowego tenisa. Sama przyznaje, że nie osiągnęłaby tego bez taty. Ojcowie stoją za wieloma sukcesami tenisowych gwiazd, jednak czasem ich obsesja sukcesu była dla córek destrukcyjna

Iga Świątek właśnie odebrała kolejny puchar – kilka dni temu w San Diego, na twardej nawierzchni, pokonała w finale Chorwatkę Donnę Vekić. Był to w tym roku dziewiąty finał tenisowego turnieju, do którego dotarła Polka, i ósmy wygrany. Był to zarazem 11. w ogóle turniej wygrany przez 21-latkę z Raszyna (wśród nich są już trzy wielkoszlemowe – dwa French Open i jeden US Open).

Ten sezon Polki jest niesamowity i piszą o tym wszystkie sportowe media na świecie. Jak poważnie deklasuje ona inne rywalki, pokazuje statystyka rankingu WTA. Raszynianka nie dość, że w jednym sezonie zdobyła pięciocyfrową liczbę punktów – a trudno o podobny taki przypadek w historii tenisa – to obecnie jej dorobek punktowy w rankingu jest o połowę większy niż następnej, drugiej w WTA – Tunezyjki Ons Jauber. Polka jest więc kilka długości przed innymi zawodniczkami ze światowej czołówki.

Trzeba już mocno szukać w statystyce, by sprawdzić, jakie rekordy jeszcze nasza 21-latka może pobić. Na pewno jednego jest blisko – liczby setów wygranych do zera w ciągu jednego sezonu. Pokonując w ćwierćfinale w San Diego w jednym z setów 6:0 Amerykankę Cori Gauff, Polka zaliczyła już tzw. 20. bajgla. Na liście tych, które uległy jej do zera, ma oprócz Gauff Andreę Prisacariu (podwójnie), Naomi Osakę, Harriet Dart, Darię Kasatkinę, Anhelinę Kalininę, Madison Keys, Alison Riske, Zheng Qinwen, Viktoriję Golubić, Madison Brengle, Anett Kontaveit, Mihaelę Buzarnescu, Elenę-Gabrielę Ruse, Biancę Andreescu, Łesię Curenko, Janę Fett, Jasminę Paolini i Jule Niemeier.

Lepsza od Polki w wygranych do zera setach w jednym sezonie jest tylko Serena Williams, która w 2013 r. wygrała 25 razy w ten sposób.

TRENER TATA

Z Sereną Williams Polkę – oprócz dominacji w kobiecym tenisie – łączy coś jeszcze. Obie nie zostałyby gwiazdami tenisa, gdyby nie ich ojcowie.

– To tata faktycznie jest powodem, dla którego gram w tenisa – mówiła „Do Rzeczy" Iga Świątek podczas konferencji w siedzibie PZU pod koniec września. – On był właśnie tą osobą, która w najcięższych momentach motywowała mnie do tego, żeby mimo wszystko iść na trening, i w pewnym sensie pokazywała taką perspektywę dorosłej osoby, która wie, że będąc dzieckiem, pracuje

eprasa.pl d5f9371c43

się na swoją przyszłość i że to później w pewnym sensie nam się opłaci. Dzięki tacie miałam pewną dozę profesjonalizmu, która wystarczyła do tego, żeby to wszystko szło w dobrym kierunku.

W przypadku Tomasza Świątka sprawa wydawała się nawet łatwiejsza niż Richarda Williamsa – ubogiego czarnoskórego, który wiódł nie najłatwiejsze życie w Shreveport w Luizjanie, a potem w biednych dzielnicach Chicago. Tomasz Świątek był wioślarzem i olimpijczykiem z Seulu (1988). Miał doskonałe pojęcie o sporcie. To dlatego popchnął w tym kierunku obie swoje córki. Najpierw starszą o trzy lata od Igi – Agatę. Dopiero potem, jak przyznawała po latach Iga – trochę przez zazdrość wobec starszej siostry – i ona trafiła na korty. Tu ta historia, jak wielu innych dzieci trenujących ten sport, mogłaby się zakończyć. Była jednak dopiero początkiem. Nie jest tajemnicą, że wielki w tym udział Tomasza Świątka. Polska gwiazda tenisa nie ukrywała nigdy, że jako dziecko miała wiele momentów zwątpienia, rezygnacji, zmęczenia. To naturalne u dzieci. Po początkowym zapale powtarzalność i nuda pracy w każdej dziedzinie, nie tylko w sporcie, sprawiają największy kłopot. Świątek umiał jednak swoją córkę zmotywować. I wygląda na to, że w sposób, którego nie odczuwała jako uciążliwy, także dla psychiki – bo o ojcu wypowiada się wciąż z dużym szacunkiem, słowami pełnymi miłości.

Wiele szacunku, od początku, dla córek miał też Richard Williams. Legendarna jest jego opowieść o tym, jak usłyszał, że za wygraną w turnieju tenisa można zgarnąć kilkadziesiąt tysięcy dolarów, i usiadł z zeszytem, dokładnie planując karierę córek – zapisując 78 kartek papieru. Na pewno nie był ideałem – w końcu zostawił swoją poprzednią rodzinę, w której miał już pięcioro dzieci. Do swojego planu na biznes potrzebował… jeszcze dwojga dzieci. I namówił na nie swoją drugą partnerkę.

Aby wprowadzać dzieci na kort, musiał się bić o miejsce, nawet z gangsterami. „Nie liczyło się nic, tylko żeby korty były nasze" – wspominał. Córki hartował. Podobno sam płacił białym dzieciom, by wyzywały jego przyszłe gwiazdy podczas treningu. Jego wiara w sukces była niezachwiana. Gdy po latach Serena i Venus mierzyły się ze sobą w turnieju, trzymał na widowni transparent: „Mówiłem Wam!".

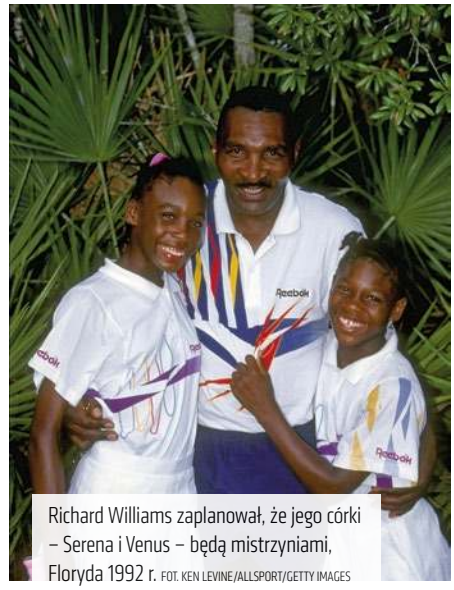

Richard Williams zaplanował, że jego córki – Serena i Venus – będą mistrzyniami, Floryda 1992 r. FOT. KEN LEVINE/ALLSPORT/GETTY IMAGES

Starał się też dbać o dobre wychowanie córek, wpajał im m.in. wiarę w Boga. Zmuszał je do edukacji i od dawna planował, że po skończeniu karier powinny skończyć studia. Dlaczego? „Kiedy skończą kariery, nie chcę opiekować się żującymi gumę analfabetami" – odpowiedział prosto „New York Times".

TRENER TYRAN

Takie ojcowskie podejście do przyszłej gwiazdy nie jest jednak standardem.

Można tu wspomnieć Agnieszkę Radwańską. W przypadku tej poprzedniej światowej gwiazdy kobiecego tenisa (była numerem dwa w rankingu WTA) też wydarzyło się tak, że to ojciec – Robert Radwański – stał za jej początkowymi sukcesami. Trenował swoją córkę przez długich 17 lat, gdy ostatecznie w głośny sposób doszło do rozstania i Isia trafiła w 2021 r. pod skrzydła trenera tenisa Tomasza Wiktorowskiego (tak się zresztą ułożyło, że od początku grudnia 2021 r. Wiktorowski jest trenerem Igi Świątek).

Radwański z córkami (bo grała przecież i Urszula, choć z mniejszymi sukcesami) osiągnął naprawdę wiele, jednak – jak wyznała Agnieszka po latach – było to okupione z jej strony psychiczną mordęgą. Ojciec był dla niej na treningach zimny, bezwzględny. Wszystko planował i oczekiwał dokładnego wykonania jego instrukcji. Nie istniało dla niego słowo „porażka". Paraliżowało ją to do tego stopnia, że jako nastolatka nie chciała przegrywać na korcie głównie dlatego, bo bała się reakcji taty. „Po porażkach nieraz nie odzywał się dwa dni. Nie mieliśmy kontaktu. Nie wiedział, co się dzieje ze mną i Ulą, widziałyśmy się z nim dopiero w taksówce na lotnisko. Panował okrutny reżim" – opowiadała Radwańska serwisowi Sportowe Fakty. „Początkowo uczył nas dyscypliny, lecz kiedy byłyśmy nastolatkami, mógł czasem spytać, jak się czujemy i co nam siedzi w głowie, a tego nie robił. Żyłyśmy z Ulą jak w klasztorze. Liczył się tylko tenis".

Robert Radwański te wyznania po latach skomentował szczerze – jego zdaniem sukces dziecka w sporcie wiąże się z zabraniem mu części dzieciństwa.

Wśród ojców tenisowych gwiazd zdarzały się postawy jeszcze bardziej skrajne. Australijka Jelena Dokić (swego czasu w dziesiątce rankingu WTA) przyznała w tym roku, że była bliska popełnienia samobójstwa. Sukcesy w tenisie jako nastolatka osiągnęła dzięki ojcu, ale twierdziła, że Damir Dokić znęcał się nad nią emocjonalnie i fizycznie. O tym, jak był porywczy, najlepiej świadczą incydenty z pobiciem dziennikarzy czy fotoreporterów, za które trafiał do aresztu.

Podobnie smutna była historia Francuzki Mary Pierce (wygrane dwa wielkoszlemowe turnieje, udział w czterech finałach). Jej ojciec Jim Pierce zobaczył w niej tenisowy talent i postanowił wydusić z niej sukces. Wrzeszczał na córkę, gdy grała, obrażał jej rywalki. Stosował mordercze treningi. „Przez siedem lat, osiem godzin dziennie, 700 razy serwowałem w Mary. Często trenowaliśmy do północy. Mój młodszy syn zasypiał obok siatki. Nie pozwalałem córce skończyć treningu, dopóty, dopóki nie odbijała poprawnie. Oczywiście, że płakała. Ja też. Ale co z tego?" – opowiadał przed laty o swoich metodach „The Sporting News".

Doszło do tego, że na jednym z meczów spoliczkował córkę. Po latach twierdził, że to ona go sprowokowała, bo na jego porady z trybun odkrzyknęła w końcu „Spier…..!".

Po takich przykładach widać, jak wiele szczęścia ma obecna zawodniczka numer jeden żeńskiego tenisa. Tomasz Świątek nadal jest dla córki opoką, choć tenisowymi, a także psychologicznymi aspektami treningu zajmują się już w jej sztabie profesjonaliści. – Teraz rzeczywiście wiele z tych funkcji zostało przejętych przez inne osoby, ale tata zawsze jest ogromnym wsparciem, osobą, która obserwuje, i kiedy dzieje się coś złego, daje znać. I ja to ogromnie doceniam, każdy potrzebuje takiej osoby – powiedziała „Do Rzeczy" Iga Świątek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5f9371c43

NASZ TEST: SMARTWATCH REALME WATCH 3

Rewelacyjny stosunek ceny do jakości, klasyczne wzornictwo, duży i czytelny wyświetlacz, dobra bateria oraz możliwość prowadzenia rozmów przez zegarek – to największe zalety nowej wersji budżetowego inteligentnego zegarka chińskiej firmy Realme.

Jak na tę półkę cenową, design jest bardzo dobrze przemyślany – realme Watch 3 wygląda po prostu jak klasyczny smartwatch. Prostokątny ekran połączony jest z silikonowym paskiem (czarnym – bardziej eleganckim – lub szarym, który wygląda bardziej plastikowo). Zegarek waży zaledwie 40 g, dzięki czemu łatwo zapomnieć, że w ogóle ma się go na ręku. Całość wykonana jest z dobrej jakości plastiku. Wyświetlacz LCD jest wystarczająco duży (przekątna 1,8 cala) i dość czytelny nawet w ostrym słońcu (jasność maksymalna 500 nitów). Rozdzielczość 240 x 286 nie rzuca na kolana, ale dla wielu może okazać się wystarczająca. Bez trudu można odczytać treść powiadomień czy przeglądać menu.

Ciekawą funkcją tego modelu jest możliwość prowadzenia rozmów telefonicznych z wykorzystaniem modułu Bluetooth. Za pomocą zegarka można też łatwo i szybko odebrać lub odrzucić połączenie, co jest szczególnie przydatne podczas służbowych narad czy jazdy samochodem.

Jak na smartwatcha przystało, model Watch 3 nie tylko mierzy czas oraz zlicza kroki, lecz także pozwala na monitorowanie postępów w sporcie. Użytkownik ma do dyspozycji 110 trybów sportowych, a darmowa aplikacja ułatwia szlifowanie rekordów oraz wyznaczanie właściwej długości przerw między kolejnymi treningami. I chociaż nie zawsze to monitorowanie sportowej aplikacji działa tak, jak powinno, to za tę cenę naprawdę nie ma co narzekać. Zwłaszcza że stopień ochrony przed wodą został określony jako IP68, dzięki czemu można w nim biegać w deszczu czy wejść pod prysznic (producent odradza jednak np. branie kąpieli z zegarkiem na ręku czy używanie tego modelu do pływania w basenie).

Model realme Watch 3 ma również wbudowane funkcje, które ułatwiają monitorowanie stanu zdrowia. Mierzy więc puls, poziom stresu, jakość snu oraz pozwala na sprawdzenie, jaki jest poziom natlenienia krwi. Trzeba oczywiście pamiętać, że nie jest to urządzenie medyczne i wskazania należy traktować z mniejszym lub większym przymrużeniem oka.

Bateria o pojemności 340 mAh w zależności od intensywności użytkowania wystarcza na cztery–pięć dni na jednym ładowaniu.

Wady? Jest ich sporo. Po pierwsze, w zegarku nie ma wbudowanego modułu GPS, więc można zapomnieć o używaniu go w nawigowaniu po terenie lub choćby o treningach biegowych bez zabierania ze sobą telefonu. Po drugie, nie da się na niego wgrać ulubionych kawałków do biegania, po trzecie, nie ma NFC, więc nie da się nim płacić. Nie jest to również tytan wydajności, przez co nie wszystko działa tak płynnie jak w droższych modelach.

Trzeba więc jasno napisać: testowany smartwatch to żaden konkurent dla flagowych urządzeń ze stajni Apple, Samsunga czy Huawei, które kosztują od 2 tys. wzwyż. Dla osób szukających taniego smartwatcha to jednak wciąż ciekawa propozycja. Za inteligentny zegarek wyposażony we wszystkie podstawowe funkcje trzeba bowiem zapłacić zaledwie 299 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SŁUCHAWKI NIE TYLKO NA BASEN

H20 Tri Multi-Sport Headphones. Tak nazywa się nowy model słuchawek, które zostały zaprojektowane dla triathlonistów oraz osób aktywnie uprawiających sporty wodne. Według zapewnień producenta słuchawki wykorzystujące technologię przewodzenia kostnego są w 100 procentach wodoodporne (stopień ochrony przekracza IPX8) i powinny wytrzymać zanurzenie do głębokości 3,6 m. Nowy model ma wbudowany odtwarzacz MP3 i Bluetooth, 8 GB pamięci wewnętrznej oraz baterię, która pozwala na ok. dziewięciu godzin pracy na jednym ładowaniu. Cena: 99 dol., czyli równowartość 491 zł.

POTĘŻNA MASZYNA DLA TWÓRCÓW

28-calowy ekran dotykowy PixelSense o rozdzielczości 4500 x 3000 pikseli, wydajny procesor Core i7-11370H oraz karta graficzna Nvidia GeForce RTX 3060. To najważniejsze elementy urządzenia typu all-in-one Surface Studio 2 Plus, które zostało stworzone z myślą o profesjonalnych twórcach, ewentualnie również o zapalonych graczach. Plusem drogiego gadżetu są cztery porty USB-C z Thunderbolt 4. Dzięki kamerze wideo HD 1080p maszyna powinna również sprawdzić się jako narzędzie do telekonferencji z szefem lub spotkań wideo z klientami podczas znów coraz bardziej popularnej pracy zdalnej. Niestety, żeby kupić takie cacko, trzeba się trochę napracować. Cena zależy od ostatecznej konfiguracji, ale widełki zaczynają się od... 25,8 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d5f9371c43

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pilaszkowice, wieś wielkiej miłości

RYS. MART

Pilaszkowice koło Krasnegostawu (obecnie Pilaszkowice Pierwsze) to wieś znana z romantycznej miłości Jana Sobieskiego i Marii Kazimiery d'Arquien, wówczas już Zamoyskiej. Kawaler Sobieski bowiem spędzał tutaj wiele czasu, chcąc przebywać blisko mieszkającej w Zamościu ukochanej, zamężnej z Janem Sobiepanem Zamoyskim.

Pilaszkowice znalazły się w rękach Sobieskich w XVI w., a historia ich właścicieli jest zawiła. Była to królewszczyzna, wymieniana w źródłach w 1339 r., później prawdopodobnie opustoszała lub zniszczona, ponieważ w 1425 r. król Władysław Jagiełło nakazał Piotrowi z Dominowa osadzenie tutaj wsi na prawie magdeburskim. W XVI w. królewszczyzna drogą zamiany przeszła w ręce Jana Tęczyńskiego, wojewody sandomierskiego. Jednak nowy właściciel niedługo zarządzał włością – ok. 1526 r. drogą kolejnego zastawu oddał ją w ręce Sebastiana Sobieskiego, a w 1530 r. król Zygmunt Stary zamienił zastaw na dożywocie. Ostatecznie pod koniec XVI w. Marek Sobieski, zasłużony żołnierz i harcerz Stefana Batorego, otrzymał od sejmu Pilaszkowice jako dobra dziedziczne. Weszły one później w skład rozległych dóbr Sobieskich, rozciągających się aż na ziemie Rusi Czerwonej. O ile wierzyć Glogerowi, gdzieś na przełomie wieków XVI i XVII. Sobiescy wznieśli tutaj murowany dom z drewnianym piętrem, podzielony sienią na pół, przy czym z każdej strony znajdowało się po sześć pokoi. Rezydencja ta mało przypominała dwór – była długa i wąska, jak skrzydło mieszkalne klasztoru, stąd właśnie wzięły się podejrzenia, że był to dom przebudowany z dawnego konwentu zakonnego.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Po Marku Sobieskim Pilaszkowice odziedziczył jego syn Jakub, który powiększył włości po bezpotomnej śmierci brata Jana w 1627 r., dokupując wiele miasteczek i wsi. Sam Jakub wybudował pałace i dworki w Warszawie i we Lwowie, nabył majątki na Wołyniu i wiele innych wiosek. Rozległe dobra odziedziczyli po nim synowie Marek i Jan, przyszły król Polski, któremu przypadły właśnie Pilaszkowice. Sobieski przebywał tutaj bardzo często w latach 50. XVII stulecia, a potem bywał jeszcze okazyjnie, chcąc spędzać czas jak najbliżej ukochanej Marysieńki, będącej wówczas oficjalnie żoną wspomnianego Jana Sobiepana Zamoyskiego. Wiele listów, które zachowały się w archiwach, wydanych w zbiorze „Sobieski: Listy do Marysieńki", zostało napisanych właśnie w Pilaszkowicach. Tutaj też być może miały miejsce ich sekretne schadzki. Później Marysieńka bywała we dworze już jako żona hetmana i właśnie dla niej Sobieski rozbudował surową, kamienną siedzibę szlachecką w rodzaju rezydencji, nad którą pracował znany architekt Tylman z Gameren, dodając zapewne założenie parkowe. Według legendy część lip, które posadzono, tworzyła literę M na pamiątkę ukochanej hetmana. Jeszcze w XIX w. przewyższały one wielkością te z Wilanowa.

Dwór Sobieskiego nie dotrwał do naszych czasów – pod koniec XVIII w. spłonął w okresie insurekcji kościuszkowskiej. W latach 30. XIX w. jego ruiny oglądała Klementyna Hoffmanowa, która wspominała, że kaplica pozostała cała. Obecny dwór znajdujący się w zdziczałym parku pochodzi z lat 80. XIX stulecia i został zbudowany prawdopodobnie przez rodzinę Darowskich, hr. Władysława Mielżyńskiego, być może zaś nawet przez Rudolfa Braunschweiga, od którego Pilaszkowice kupił w 1879 r. Mielżyński. Sam mam zaś pewne podejrzenia, że być może stary kamienny spichlerz usadowiony na zachód od obecnego dworu powstał na pozostałościach i fundamentach dworu Sobieskich, gdyż świetnie pasuje do opisów Klementyny Hoffmanowej, jednak wyjaśnienie tego wymagałoby dokładnych badań. Niestety, dziś jest on oszpecony przez dobudowanie do niego okropnego, PGR-owskiego magazynu, tak że wygląda jak wyjęty z horroru.

Z dworem Sobieskiego związana jest przypowieść o obrazie Matki Boskiej Zwycięskiej, który Jan III rzekomo zabrał na wyprawę wiedeńską w 1683 r. Obraz ocalał z pożaru dworu i znajdował się w kaplicy, skąd przeniesiono go do kościoła w Częstoborowicach, skąd w dziwny sposób znikał i przenosił się w dawne miejsce. Dopiero po poświęceniu przestał płatać figle i można go podziwiać również dzisiaj w kościele parafialnym. Jest to kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, pomimo wielu wątpliwości powstała w XVII w. i związana z Sobieskimi. Historycy sztuki zaprzeczają jednak legendzie, że król zabrał ją pod Wiedeń. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Żółwiowa – polska zupa narodowa

Bogdan Gałązka, szef kuchni i znawca polskiej kuchni historycznej, który przez wiele lat prowadził restaurację na Zamku w Malborku, opowiadał nam kiedyś o polskich tradycjach kulinarnych. Gdy zapytał nas o to, która zupa jest najbardziej polska z polskich zup, odparłyśmy, że albo żurek, albo barszcz, albo rosół. Otóż nie! Jeszcze 100 lat temu w niedzielę tradycyjnie jadało się zupę z… żółwia. Mowa tutaj o stołach magnackich i szlacheckich. Zupa z żółwia błotnego – zdaniem naszego rozmówcy – była wtedy zupą narodową, traktowaną zupełnie tak, jak obecnie rosół.

Przy bogatych domach znajdowały się tzw. żółwiarnie i ślimakarnie. Część majątków posiadała także stawy. Stąd wzięło się ówczesne zamiłowanie do kuchni francuskiej. W XIX-wiecznych książkach kucharskich, na wskroś pałacowych i poświęconych polskim rodom zamieszkałym na terenach dawnej RP, zawartych jest sporo opisów zup. Na 20 przepisów aż 10 dotyczy właśnie zupy z żółwia.

Warto tu dodać, że choć Polacy cenili dawne smaki, to również byli otwarci na zmiany. Jedną z ważniejszych osób dla rozwoju polskiej kuchni narodowej był Jan Szyttler, który trafił na dwór Stanisława Augusta Poniatowskiego. To właśnie on dokonał wielkiej metamorfozy polskiej kuchni. To dzięki niemu stała się ona lekka, smaczna i maślana – uważa nasz rozmówca. Kuchnia tradycyjna wciąż kojarzy się ze smalcem. I choć nie ma w nim niczego złego, to polska kuchnia stoi masłem.

Wracając do zupy – żółw błotny objęty jest w Polsce ochroną od 1935 r., czyli już przed wojną zupa żółwiowa musiała zostać czymś zastąpiona podczas niedzielnych obiadów. Korzystając z bogactwa jesieni, chcemy dzisiaj zaproponować zupę z dyni – wyjątkowo smaczną, pożywną i delikatną. Ten przepis na naszych stołach zawsze robi furorę, a piękny, pomarańczowy kolor zupy pobudza apetyt i cieszy oko.

Zupa dyniowa

Dynię hokkaido kroimy na ćwiartki i pieczemy w piekarniku w 200 st. C przez 30 minut. W garnku szklimy cebulę, pod koniec dodajemy ząbek czosnku. Upieczoną i pozbawioną gniazd nasiennych dynię przekładamy do garnka, dodajemy jeden ziemniak pokrojony w kostkę i zalewamy bulionem warzywnym. Gotujemy ok. 20 min, pod koniec dodajemy gruszkę pokrojoną w kawałki. Doprawiamy sokiem z cytryny i z pomarańczy, żeby złamać mdły smak zupy, dodajemy sól, pieprz; można dodać świeży imbir. Blendujemy. Na koniec dodajemy śmietankę lub masło i podajemy z prażonymi pestkami dyni lub z kawałeczkami chrupiącego boczku. Można też – już na talerzu – dodać odrobinę dobrego octu balsamico. ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X3)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Slalomem na dwóch pasach

Jest tuż za mną i bardzo się denerwuje, że jadę tylko 70, co i tak jest 10 km ponad obowiązujący tu limit. Dziewczyna w niebieskiej bejsbolówce, w volkswagenie, którego modelu ani rocznika nie rozpoznaję we wstecznym lusterku, nie przyjęła do wiadomości przepisu Kodeksu drogowego, który zabrania jeździć na zderzaku. Nie jesteśmy wprawdzie na autostradzie, tylko na zwykłej warszawskiej ulicy, jednak na sporym, prostym odcinku drogi kierowcy dostają skrzydeł. 80 to norma.

Wreszcie udało się jej wyprzedzić i slalomem między trzema pasami drogi dognała do świateł. Tam (o zły losie!) stanęła na czerwonym razem z frajerami, których przed chwilą mijała.

Już miałam wrażenie, że po podwyżce mandatów sporo nóg zdjęło się z pedału gazu. Ale opamiętanie trwało krótko. Legiony młodzieńców w bejsbolówkach w 20-letnich audi, blondynek w mini morrisach (symbol statusu singli z agencji reklamowych) wciąż gazują ile sił.

Niebieska bejsbolówka była drapieżna, ale jednak nie posunęła się do czynów o charakterze kryminalnym. Jak kierowca furgonetki Fiat, który na zatłoczonej dwupasmowej drodze jedzie 5 mm za mną, dając do zrozumienia, że jeszcze chwila, a przejedzie mi po dachu (Jadę 10 km powyżej limitu). Nie ma jak ani gdzie uciec, prawy pas wlecze się tak samo, godzina szczytu.

Wreszcie! Po prawej stronie robi się kawałek wolnego i biały fiat wskakuje tam jak jaguar, po czym równie gwałtownie przeskakuje na lewo, tuż przed moją maskę. Nadszedł czas zemsty! Odegra się na starszej pani, która mu nie ustąpiła miejsca. Odjeżdża trochę, przyspiesza, po czym gwałtownie hamuje, żebym wpadła mu w tył. Będzie z mojej winy oczywiście. Stary manewr piratów, raczej bandytów. Jeżdżą służbowymi samochodami, więc im wszystko jedno. Powtórzył przyspieszenie i hamowanie jeszcze dwa razy, ale byłam czujna.

Agresja, głupota, a może drogi? Kiedy czytam o audi, które gdzieś na wiosce wpadło na drzewo na zakręcie, jadąc pewnie 150 i wioząc dziewczyny z dyskoteki, mam prawie pewność, że byli pijani. Żal, bo młodzi i głupi. Ale ta zacięta twarz niebieskiej bejsbolówki. Dlaczego musi być pierwsza? Odnoszę wrażenie, że najspokojniejszymi użytkownikami dróg są właściciele najdroższych samochodów. Nie muszą niczego udowadniać. Jakoś jaguarowi ani tesli się nie spieszy, chociaż pewnie lubią skorzystać z możliwości swego pojazdu. Ale nie widziałam, żeby jaguar, a na drodze do Konstancina jest ich sporo, przyspieszał i hamował komuś przed nosem. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Stare wraca?

Szpitale zaczynają zakazywać dostępu bliskim do hospitalizowanych pacjentów – alarmuje Rzecznik Praw Pacjenta. Tak, to ten sam rzecznik, który prześladuje lekarzy za to, że ci chcieli leczyć ludzi w czasie pandemii. Oczywiście robił to wtedy w imieniu praw pacjenta, jako wyraziciel karkołomnej tezy, że prawo do leczenia do praw pacjenta nie należy. Dziś się obudził, ale na skruchę (na razie niewyrażoną) oraz pokutę (to przed nami?) wciąż jeszcze jest czas.

Szpitale się zaczynają zachowywać jak w trakcie pandemii. Nie wiem, czy to są bóle fantomowe, czyli taka „tęsknota" za utraconą kończyną pandemicznych benefitów, czy polecenia przychodzą z góry. Doświadczenie mówi – a jest ono ponaddwuletnie – że to raczej miks własnej szpitalnej inicjatywy (follow the money) oraz odgórnych rekomendacji, czyli sugestii o mocy rozkazu. Doświadczenia covidowe co do odmowy odwiedzin wskazują, że mamy tu też do czynienia z procederem ukrywania tego, co się dzieje w szpitalach. Przypomnę, że bez monitoringu rodzin w trakcie odwiedzin na oddziałach działy się niekiedy dantejskie sceny, powstawały całe nieleczone umieralnie, z kolei – jeśli ktoś miał odwagę i MOŻLIWOŚĆ – sporadyczne okazje do zaglądnięcia do trumien pokazywały rzeczy makabryczne, często ukrywane na zawsze pod postacią spopielenia. Do takich doświadczeń chcemy nawiązywać?

Pacjenci alarmują, że w szpitalach zaczyna się masowe testowanie. Ludzie ze złamanymi kończynami, udarami i Bóg wie czym są testowani na okoliczność COVID-19. Tak się robi sztuczne fale. Znowu składa się do kupy odstawiony na razie termometr testów. Każdy kraj, który tego nie zrobił, hoduje własny poziom testowej pandemii. Wystarczyło przejechać Odrę i człowiek znajdował się w innej rzeczywistości. Dwa kilometry różnicy, ten sam wirus i Niemcy dziennie prowadziły 200 000:53. Tyle było u nich chorych na testy, przerabianych medialnie na zakażające zakażenia.

I co, też tego chcemy? Po to wyciągamy ten skompromitowany termometr, który nie dość, że fałszywie pokazuje, to nawet jeśli pokaże prawdziwie, to wcale nie znaczy, że musisz chorować czy że musisz zakażać innych? Przed nami okres sezonowej grypy, która – dziw nad dziwy – przez ostatnie lata ustąpiła miejsca COVID. To znaczy, testy wskazywały COVID-19, a mogła być to normalna grypa. I jak teraz też tak będzie, to sobie sami zafundujemy falę. I znowu ruszą stare młyny – testowanie, maseczkowanie, kwarantanny i lockdowny. Cały ten zestaw skompromitowany badaniami naukowymi w krótkiej przerwie, gdy narracja covidowa ustąpiła na chwilę miejsca narracji wojennej.

Tego chcecie? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Amputują piersi za 1,8 tys. funtów

Przyznam, że chciałem odpocząć już od tematu transseksualizmu i tego, co niesie ze sobą eksplozja identyfikacji LGBTQIA w młodym pokoleniu, ale po moim tekście „Niebezpieczna realność absurdu" otrzymałem kilka głosów, w tym jeden szczególnie intrygujący z Londynu. Polka, mama 14-latki urodzonej na Wyspach, potwierdza informacje o indukującej roli kultury masowej i mediów społecznościowych. W Wielkiej Brytanii, gdzie po głośnej aferze w klinice Tavistock wprowadzono regulacje zabraniające przeprowadzania operacji tranzycji przed 24. rokiem życia, propaganda transseksualizmu nadal jest bardzo agresywna. To, że media społecznościowe są zainfekowane tymi przekazami, już nie dziwi, ale fakt, że w szkołach publicznych nauczyciele i edukatorzy z różnych NGO nawet 12-latkom mącą w głowach, budzi zdumienie.

Według mojej rozmówczyni, mimo pewnego otrzeźwienia, moda na bycie trans, szczególnie wśród nastolatek, nadal zbiera ponure żniwo. Jej córka właśnie podczas pandemii każdego dnia po siedem–dziewięć godzin spędzała przed ekranem komputera i wpadła, jak mówi matka, w czarną dziurę, czyli w środowisko osób trans. Mimo że oficjalnie państwo wprowadziło ograniczenia, w publicznych szkołach funkcjonują kluby LGBT, które dziś w większości już są tylko klubami „T". Córka przyznaje, że w szkole usłyszała od nauczycielki, że jest bardzo wiele płci, a potem pytania: Czy w dzieciństwie bawiła się lalkami, a może wolała grać w piłkę? Czy lubiła się ubierać w chłopięce ubrania? Choć aktywiści lewicowych organizacji LGBT są zupełnie zlaicyzowani, uczniowie na zajęciach słyszą od nich o duszach, które są uwięzione w niewłaściwym ciele. Szczególnie ponurą rolę odgrywa organizacja charytatywna Mermaids, czyli Syrenki, która programowo wspiera dzieci i osoby trans (wysyłając już 13-letnim dziewczynkom pasy do maskowania biustu, tzw. bindery) i pomaga w przeprowadzeniu tranzycji. Ostatnio jeden z aktywistów Syrenek został przyłapany na pedofilskich zachowaniach i choć zrobiło się o tym głośno, to organizacja nie odcina się od swego działacza.

W działaniach Syrenek jest też wątek polski. Otóż jedna z „podopiecznych" chwali się na Twitterze, że choć w UK operacje mastektomii i inne okaleczenia nastolatek są zabronione, to w Polsce jest klinika, gdzie można dokonać takiej operacji. Całość, łącznie z pięciodniowym pobytem pacjentki i rodzica w prywatnym szpitalu, kosztuje jedynie 1,8 tys. funtów. Dotarłem do tej kliniki i wysłałem zapytania: Czy potwierdzają świadczenie takich usług? Czy zdają sobie sprawę, że po latach, gdy dzieci dorosną, mogą ich pozwać przed europejskie sądy tak, jak dziś to się dzieje wobec kliniki Tavistock? Czekam na odpowiedź. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Koronkowe grabie

W polskiej polityce pojawił się nowy termin. Stop. „Koronkowo nadepnąć na grabie". Stop. Sztuki tej dokonał Donald Tusk, ale sprawiedliwie przyznać trzeba, że umiejętnie go na grabie naprowadzano. Stop. W roli naprowadzacza fantastycznie sprawdzili się tygodnik „Newsweek" oraz redaktor Rzeczkowski Grzegorz. Stop.

Rzeczkowski informował w okładkowym tekście, że wspólnik Falenty (tego od podsłuchów w restauracji Sowa) Marcin W. zeznał, iż Falenta sprzedał wszystkie nagrania rosyjskim służbom, co miało być gigantycznym skandalem uderzającym w PiS, ponieważ prokuratura w ogóle nie zajęła się wątkiem szpiegostwa w tej sprawie. Stop. Wtedy Donald Tusk zapowiedział na Twitterze konferencję prasową następującym wpisem, nawiązującym do wpisu historycznego: „Przykra sprawa. Nie lekceważę jej. We wtorek o 13 odniosę się do niej publicznie. Tak, to o aferze podsłuchowej. Pisowskiej aferze.
I o scenariuszu napisanym dla Kaczyńskiego obcym alfabetem". Stop. Tusk na konferencji zażądał powołania komisji śledczej, która miałaby wyjaśniać rzekome powiązanie PiS z Rosjanami zainteresowanymi wtedy odsunięciem Platformy od władzy. Stop. Przypomnijmy, że cały artykuł i buńczuczna konferencja Tuska były osadzone wyłącznie na słowach Marcina W., którego i „Newsweek", i Tusk, i opozycja uznali za wielce wiarygodnego. Stop. Wielce. Stop.

I wtedy wszedł Ziobro cały na zeznaniowo-teczkowo. Stop. Zbyszek z Grzywką ujawnił zeznania Marcina W., który stwierdzał w nich z całą pewnością, że wręczył w obecności Falenty synowi Donalda Tuska, Michałowi, 600 tys. euro łapówki w torbie reklamowej z Biedronki za korzystne rozstrzygnięcia biznesowe. Stop. Marcin W. miał zeznać, że Michał Tusk próbował się przy tym zachowywać jak ćwierćgangster, a nikt nie miał wątpliwości, że pieniądze mają trafić do Donalda. Stop. Rzeczkowski z „Newsweeka" napisał, że nie znał tych zeznań. Stop. Tusk, który na konferencji uznał, że Marcin W. jest wiarygodny, po ujawnieniu zeznań z biedronkową torbą milczał wymownie. Stop.

Może i dobrze, że Małgorzata Kidawa-Błońska nie jest jednak prezydentem Polski, choć trochę startowała. Stop. Na spotkaniu w Przemyślu, mówiąc o odbudowie Pałacu Saskiego, rzekła: „Wybudowali to Rosjanie w Warszawie jako nasi zaborcy. To nie było nigdy historycznie związane z Polską". Stop. Pałac wybudował w 1661 r. Jan Andrzej Morsztyn, a w 1713 r. król August II Mocny kupił go i przebudował. Stop. Złośliwi komentowali, że wiedzę pani Gosia czerpie z głowy, czyli znikąd. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Anioł Stróż w świecie multi-kulti

Małgośka, mówią mi, a ty się nie boisz tak sama podróżować po Hiszpanii? „Ja nie, ale na miejscu innych Polek to bardzo bym się bała". Nauczono nas gardzić tym, co mamy tak cennego – poczuciem bezpieczeństwa w Polsce. I całe szczęście, że stanął mur na granicy, bo Polki wychodzą o północy z pieskiem na ulicę i nawet nie zdają sobie sprawy, że takiego samotnego spaceru może nam pozazdrościć pół Europy. Mieszkanka Barcelony nie wyjdzie bez trwożnego oglądania się, czy nie przywita jej „manada" – banda młodocianych imigrantów, wyspecjalizowanych w zaczepkach i gwałtach zbiorowych.

Oczywiście ta kwestia dla naszych Lempartów feminizmu zdaje się nie mieć żadnego znaczenia, bo może też niespecjalnie magnetyzują czyjś wzrok. Taka niegdyś spokojna Barcelona to dziś nowy Bronx Europy, gdzie według danych popełnianych jest ponad 400 przestępstw dziennie, zresztą polski konsulat wie o tym najlepiej, ratując codziennie naszych okradzionych turystów. Zarządzany przez prawicę Madryt jest bez porównania bezpieczniejszy (i czyściejszy) od Barcelony, będącej od lat w łapach lewackich separatystów.

Ledwie Lewandowski dołączył do Barçy, a już zaliczył sprint za złodziejem. Ja na gorszej diecie i zawsze w butach na obcasie, więc wolę zawczasu unikać sytuacji pogoni za zbirem. Czekam, kiedy w mrokach politpoprawności ukaże się wreszcie poradnik typu: „Polak sam, nocą, w obcym mieście wobec multikulturalnej ekipy przechodniów".

Tak, zbieram wszystkie historie kreatywnego wydobywania się z opresji. Bardzo mnie rozbawiła relacja jednego z naszych krakowskich profesorów: bo zapuściwszy się niechcący w czarną dzielnicę, w sytuacji zdawało się bez wyjścia, zaczął wydzierać z piersi rozpaczliwe: „Kto się w opiekę odda Panu swemu…", co przy jego ekstrawaganckim ubiorze koncertowo dopełniło rolę czubka, którego lepiej nie tykać. Ja też mam zresztą swoje patenty. Gdy niedawno w Barcelonie wiózł mnie zwyczajowo muzułmański taksówkarz, ale wpijając we mnie ślepia, zaczął „halalować" dziwnie przez telefon, pomyślałam: „Rety! Noc, on wie, gdzie mnie wysadzić. Przekazuje kolegom?". Od razu więc zapytałam: „Pan wie, gdzie jest komisariat Mossos?". „A po co ci to?". „Szkolenie jutro mamy, koledzy z jefatury zaprosili nas -policjantki z Polski. Rano muszę dojechać."

W tym świecie urządzonym przez lewicę to nie LGBT-y narażone są na przemoc, ale my, kobiety. Mój Anioł Stróż musi bardzo cierpieć, suflując mi w ucho takie i inne kłamstwa, by wydobyć mnie z tarapatów w nowej, ubogaconej Europie. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Postprawda i rzeczywistość

Jak słusznie zauważył niedawno ks. prof. Piotr Mazurkiewicz, liberalna moralność prowadzi do osłabienia determinacji w obronie wartości, jednak bezpieczeństwo państwa liberalnego zależy od żołnierzy, których sposób myślenia musi być daleki od liberalnej moralności (ks. prof. Piotr Mazurkiewicz, „Pieniądz jest osią Unii Europejskiej – to on stanowi o jej sile i kruchości", „Wszystko Co Najważniejsze" nr 45). Jest to tym bardziej oczywiste, jeśli zauważymy, jak głęboko zakorzeniona jest w dzisiejszej polityce kategoria „postprawdy", czyli sytuacji, w której kategoria prawdy została uznana za coś nieistotnego, bezwartościowego i pozbawionego znaczenia w komunikacji między ludźmi.

Kanclerz Scholz użył wielokrotnie pierwszej osoby liczby mnogiej „my", jakby sugerując, że Niemcy mówią w imieniu całej Unii Europejskiej

Idealnym wręcz przykładem sytuacji, w której najistotniejsze problemy współczesnego świata są zagadywane w sposób, w którym trudno odróżnić pustosłowie od kłamstw lub półprawd wypowiadanych w tonie proroka i dobroczyńcy przez kanclerza Niemiec Olafa Scholza podczas jego niedawnego wystąpienia na uniwersytecie praskim.

Słowa powinny coś znaczyć i nieść ze sobą jakieś konsekwencje. Tymczasem przywódca najsilniejszego ciągle państwa Unii Europejskiej używa słów jako zasłony dymnej. Bije się w piersi za niemieckie zbrodnie z okresu drugiej wojny światowej, ale jednocześnie twierdzi, że sprawa reparacji wobec Polski jest zamknięta. Przez kogo? Minister Zbigniew Rau świetnie odpowiedział na to pytanie: „Nikt w Niemczech czy Polsce nie może wskazać systemu moralnego czy porządku prawnego, w którym sprawca zbrodni był władny samodzielnie i wyłącznie określać zakres swojej winy, a także zakres i czas swojej odpowiedzialności". „Rosja Putina – mówił Scholz – pragnie przemocą zmienić przebieg granic – czyli zrobić dokładnie to, czego w Europie nie chcemy więcej doświadczyć". Czy dlatego niedawno niemiecki kanclerz bardzo dwuznacznie dotknął kwestii granicy polsko-niemieckiej?

„Dewizą Unii Europejskiej nie jest wywyższanie się nad innymi ani podporządkowywanie sobie kogokolwiek" – stwierdził Scholz w Pradze. Czy dlatego kluczowe stanowiska w Unii zajmują Niemcy lub osoby przez nich wskazane? Czy dlatego niemieccy europosłowie starają się nie dopuścić do utworzenia prawicowego rządu we Włoszech? Scholz użył wielokrotnie pierwszej osoby liczby mnogiej „my", jakby sugerując, że Niemcy mówią w imieniu całej Unii. Tymczasem stwierdzenie: „Udzielamy Ukrainie wszechstronnego wsparcia humanitarnego, a także wojskowego" świadczyć by miało, że Niemcy odgrywają w tej kwestii rolę wiodącą.

Czy dlatego wysłali na Ukrainę niesprawne haubicoarmaty, a teraz awanturują się, gdzie mają one być naprawiane w Polsce? „Przyjęliśmy miliony ukraińskich kobiet, mężczyzn i dzieci szukających u nas schronienia. Zwłaszcza Czechy i inne państwa Europy Środkowej dały dowód wielkiej solidarności". Chyba jednak Polskę można było przy okazji wspomnieć, bo przez jej terytorium przejechało już prawie 7 mln prawdziwych uchodźców wojennych z Ukrainy.

Odświeżyliśmy znaczenie słowa »solidarność« w innych obszarach" – powiada niemiecki kanclerz. Rzeczywiście, w kwestii solidarności europejskiej Niemcy wniosły ostatnio wiele świeżości. Najpierw Berlin planował na spółkę z Moskwą uzależnić Europę Wschodnią od rosyjskiego gazu tłoczonego rurociągami Nord Stream 1 i 2, a kiedy plan ten się zawalił, władze niemieckie chciały wymóc na partnerach europejskich „solidarne" podzielenie się kosztami tej katastrofy. Ostatnio, równie „solidarnie", Niemcy planują zainwestowanie 200 mld euro pomocy rządowej w ratowanie swojego przemysłu, podczas gdy zawsze protestowali przeciw takiej pomocy w polityce innych państw Unii. Zniesienie zasady weta proponowane przez Scholza też ma, jak się zdaje, wzmocnić „solidarność" państw członkowskich wobec decyzji Berlina.

„Ideologia ustąpiła miejsca pragmatyzmowi" – oświadczył triumfalnie niemiecki kanclerz, przechodząc płynnie do wiązania funduszy europejskich z „praworządnością", interpretowaną w Berlinie na sposób zupełnie selektywny: co wolno bowiem Niemcom w kwestii nominacji sędziowskich, ma być karane w przypadku innych państw. Włosi też powinni wybierać mniej ideologicznie, a bardziej „pragmatycznie", czyli zgodnie z wolą Berlina. Scholz nie pozostawia tu złudzeń, mówiąc: „Będziemy przyglądać się uważnym politycznym okiem procesowi wdrażania tych zaleceń" (pełny tekst: Olaf Scholz, „Różnice hamują nas i dzielą", „Wszystko Co Najważniejsze" nr 45). Strach się bać: kanclerz Scholz żyje w świecie postprawdy. Tymczasem rzeczywistość kształtują nie puste słowa, ale krew żołnierzy ukraińskich. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

RODZINA to BUNT

Amerykanie zmieniają dom przeciętnie 12 razy w życiu. Ich podejście do budynku jest podobne do naszego podejścia do samochodu. Zmiana potrzeb życiowych powoduje wymianę auta. Stare auto wymieniamy na nowe, bo nam się nie chce naprawiać starego, bo nam się zmienił gust albo urodziło się dziecko i sportową bryczkę trzeba zastąpić vanem. Można więc powiedzieć, że Amerykanie w pewnym sensie „wyrzucają" swoje domy. Nie mają sentymentu, bo rzadko kto w USA ma rezydencję rodową.

***

W Polsce wciąż dość mocno trzymamy się miejsca, ale coraz słabiej. Ja się trzymam, bo mam takie osobiste potrzeby – chcę być blisko grobów, gdzie leżą moi przodkowie, lubię chodzić do tego samego kościoła, do którego chodziłem za młodu, lubię mieszkać blisko moich kuzynów. Siostra mego Ojca mieszka za płotem i po prostu woła na zupę, stryj mieszka dwa płoty dalej i zawsze wiem, kiedy przyjechał, bo gdy jedzie naszą piaskową drogą, to widzę go z mojego okna w kuchni. Lubię takie rzeczy, ale to są sentymenty i one są dziś w zaniku.

Dom rodzinny jako koncepcja znika razem z zanikaniem rodziny jako koncepcji. Młodzi się rozmnażają coraz mniej i znajdują oparcie w innych rzeczach niż rodzina. Nie znamy jeszcze późnych powikłań takiej sytuacji. Co będzie, gdy dzisiejsi młodzi zrobią się starzy? Mają pieska zamiast synka, a piesek żyje lat kilkanaście i nie pomoże na starość oraz… nie pochowa cię i nie zapali świeczki na twoim grobie w nadchodzące Zaduszki.

Dom rodzinny jest potrzebny wyłącznie tym, którzy mają rodzinę lub przynajmniej planują mieć. Gdy rodziny brak, dom rodzinny traci sens i można go zastąpić mieszkaniem tańszym – wynajmowanym od kogoś lub nawet pokojem hotelowym. Rodzina to ciągłość i masa przedmiotów, które gdzieś trzeba trzymać – zabawki dla dzieci, stare łóżeczko przechowywane dla dziecka następnego, książki, które trzymasz, bo… skoro masz dzieci, to one będą czytać twoje ulubione książki. Gdybyś nie miał dzieci i nie planował rodziny, możesz wszystkie swoje książki i całą masę innych rzeczy wywalić i zamieszkać TANIEJ w kawalerce.

Gdy masz rodzinę, nie zmieniasz miejsca zamieszkania zbyt często lub nie robisz tego wcale, bo… nie chcesz wyrywać dzieci ze szkoły, którą znają, nie chcesz im odbierać kolegów, nie chcesz się wyprowadzać daleko od dziadków.

Rodzina jest więc przeszkodą dla rynku nieruchomości, rodzina jest przeszkodą dla korporacji i jest też przeszkodą dla władzy. Dlaczego dla władzy? Bo JEDYNYM powodem, dla którego ludzie gotowi są obalać władzę, jest ich rodzina. Wtedy, gdy władza rzuca się na twoją rodzinę lub gdy władza powoduje, że twoja rodzina ma źle lub przymiera głodem – wtedy i tylko wtedy gotów jesteś poświęcić siebie (dla rodziny!) i rzucić się władzy do gardła bez oglądania na konsekwencje. Dla własnej żony czy dziecka, dla matki czy brata człowiek jest w stanie zaatakować wredną wyrodną władzę, dyktatora, prześladowcę.

Kiedy ludzie w Polsce protestowali wobec zamordyzmu w pandemii? Gdy im kazano zakładać kaganiec ma mordę? Nie! To przełknęli grzecznie. I zamknięcie kościołów i kin też przełknęli. Ale gdy policja pałowała ojca za to, że po miesiącu siedzenia w areszcie domowym wyprowadził swoje dzieci do piaskownicy, wówczas wszyscy byli rozjuszeni; nawet zwolennicy pandemii.

Z takich powodów rodzina jest przeszkodą dla władzy.

***

Społeczeństwa buntują się rzadko i robią to dopiero wtedy, gdy jest już za późno. Czy widział ktoś „bunt prewencyjny"? Bunt, ZANIM wprowadzono podwyżki cen prądu, węgla, kiełbasy?

Ludzie nie buntują się jeszcze teraz, gdy słyszą, że „praca z domu to nieuchronna przyszłość" (bo biura są zbyt kosztowne w porównaniu z pracą zdalną z twojego mieszkania). A przecież to jest jak klatkowy chów kur. To współczesna wersja niewolnictwa – siedzisz uwiązany do ziemi, zamknięty w mieszkaniu, które ci dała firma, i tam masz pracować, żreć, wydalać i oglądać telewizję. Masz być sam – bez rodziny, bo ona przeszkadza, tak jak kogut przeszkadza kurom hodowanym w klatkach.

Jedzenie dowiozą do domu. To jest tańsze i bardziej higieniczne niż utrzymywanie sklepów. Zakupy zaczną dostarczać dronem i masz się cieszyć! A krok następny to dwa zsypy w mieszkaniu – jeden zsyp do wywalania śmieci, a drugi do podrzucania twoich przesyłek z paszą wprost do mieszkania. Na dachu ląduje maszyna i wrzuca każdemu porcję wybranej paszy. Bill Gates już przygotowuje paszę – wykupuje miliony akrów ziemi i stawia fabryki syntetycznego „mięsa", które smakuje jak gówno, ale jest pożywne i zdrowe dla planety, bo nie pierdzi jak krowy i świnie produkujące steki, tatara i kiełbasy.

Czy ja cytuję książkę SF? Owszem, cytuję, ale…

Komunistyczna Partia Chin stosuje w praktyce najwięcej takich pomysłów, które u nas nadal uchodzą za fantastykę naukową. Automaty wyłapują ludzi podejrzanych o kontakt z COVID-19 i nie wpuszczają ich do metra – wszyscy o tym słyszeliśmy. Oraz o niewypuszczaniu ludzi z domów – w drzwiach jest zamek elektroniczny blokowany z centralnej bazy. Masz przy tyłku komórkę i nie potrzebujesz klucza do własnych drzwi, bo twoje drzwi cię rozpoznają, a złodzieja nie wpuszczą. Śliczne ułatwienie, ale… Władza może ingerować z drugiej strony tego samego kija – skoro komórka nie wpuszcza cię do metra, to komórka może cię nie wypuścić z mieszkania. Amen.

***

Czy taka przyszłość jest nieuchronna w Polsce, UE, USA?

Żaden scenariusz, żadna rynkowa tendencja, żaden ludzki pomysł nigdy nie są nieuchronne. Pojawia się nowy czynnik, który wszystko zmienia. Pojawia się komputerowy wirus, który możesz zaciągnąć na swoją komórkę, zapłacić za niego kryptowalutą i nagle odzyskujesz władzę nad zamkiem w drzwiach, a władza tego nie widzi.

Pojawia się… pracodawca, który proponuje pracę w prawdziwym biurze, bo wymyśli sobie, że na rynku, gdzie wszystkich pozamykano w domach, znajdzie chętnych do pracy w lepszych warunkach i wtedy… system zacznie pękać. Nie na zasadzie buntu społecznego, bo o to trudno, ale na zasadzie innowacji. Każdy system da się ograć. Każdy system jest nieszczelny. Każdy system kiedyś padnie. ©℗

eprasa.pl d5f9371c43

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

PAKIET KSIĄŻEK

KS. R. SKRZYPCZAK, P. CHMIELEWSKI: „OGIEŃ W KOŚCIELE", BP J. E. STRICKLAND: „ŚWIATŁO I ZACZYN" ORAZ KARD. W. J. EIJK, A. GALLI: „BÓG ŻYJE W HOLANDII"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~537 ZŁ~~

219,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 318 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d5f9371c43

NARODOWY BANK POLSKI

WIELCY POLSCY EKONOMIŚCI

SERIA WYJĄTKOWYCH SREBRNYCH MONET KOLEKCJONERSKICH

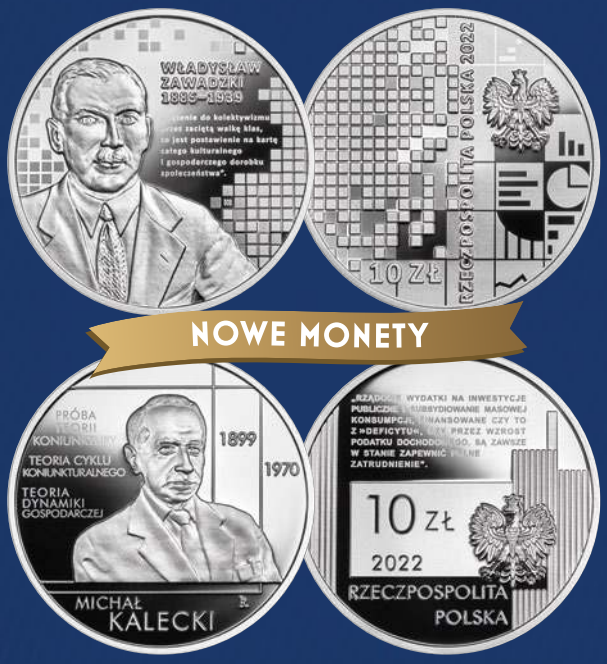

DOROBEK TYCH WIELKICH POLAKÓW TWORZY HISTORIĘ RODZIMEJ EKONOMII

26 października 2022 r. Narodowy Bank Polski wprowadzi do obiegu dwie kolejne monety o nominale 10 zł z serii WIELCY POLSCY EKONOMIŚCI – Władysław Zawadzki oraz Michał Kalecki.

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Monety kolekcjonerskie NBP są dostępne w Oddziałach Okręgowych NBP oraz na stronie: **KOLEKCJONER.NBP.PL**

eprasa.pl d5f9371c43